

Andrzej Kurz:
Spotkania
z Krzysztofem Kozłowskim

Zrzutka.pl, czyli
zbieranie na wszystko

Eliza Sarnacka-Mahoney:
Kapitalizm zawiódł
młodych Amerykanów

Jacek Pałkiewicz:
Wyprawa na Borneo



GŁOWĄ W MUR

• TEATR CAPITOL •

KULTURALNE LATO, CAPITALNE LATO!



GRAMY
CAŁE WAKACJE

• KUP

BILET

TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

PRZEBOJOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • BRAWUROWE FARSY



FESTIWAL TEATRALNY

CAPITOL KULTUROWY.

TEATR TU I ÓWDZIE III EDYCJA

DZIENNIKI GOMBROWICZA

19 LIPCA 2023 GODZ.17:00
TEATR CAPITOL WARSZAWA



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Oficjalny partner
teatru i sztuki w Warszawie
i w całym kraju

Patroni Medialni

MAXX

onet

WYBORNA

tytuł

ROBIEITY

ams

familie.pl

P

kicket

Obag

mokosh

ARTYSTA

STREFA

WARSZAWA

WARSZAWA

RECMAN

WARSZAWA

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

epi.sasa.pl/9b4a35243d



Ludobójstwo niezapomniane

Jak w południe 6 lipca wyglądało w Warszawie otoczenie pomnika ofiar ludobójstwa na Wołyniu? Tak jak stosunek kolejnych ekip rządzących na Ukrainie do odpowiedzialności za te zbrodnie. Brud, bałagan, chwasty i bazgroły graffiti. Można to obejrzeć na naszych zdjęciach. Oczywiście na 80. rocznicę IPN i inne władze odpicują ten zakątek przy trasie S8. Niewielu warszawiaków nawet wie, że taki pomnik jest na Marymoncie. Czy trzeba lepszego symbolu, by zobaczyć, jak politycy traktują historię swojego kraju? Nie ma innego państwa, które by przeszło do porządku dziennego nad tym, że co najmniej 120 tys. rodaków leży w dołach na śmieci i na polach porośniętych lasem.

Z ponad 1,2 tys. wsi, których mieszkańców zamordowano ze szczególnym okrucieństwem, nie zostało nic. Kompletnie nic. Rozkradziony dobytek trafił do domów sprawców. Żyją jeszcze ci, którzy brali udział w ludobójstwie. Niemcy stawiają przed sądem 98-letnich zbrodniarzy. A na Ukrainie stawia się im coraz więcej pomników. Na tych kłamstwach nie da się niczego sensownego zbudować.

Nierozliczone zbrodnie jako mit założycielski państwa w XXI w. Toż to paranoja, w której nikt uczciwy nie będzie brał udziału. I chodzi tu nie o zemstę, ale o najbardziej elementarną sprawiedliwość. Uciszenie rodzin wołyńskich to podłość ze strony prezydenta Dudy.

Jak na tak haniebne zachowanie może się zdobyć tak ultratolicki polityk? Gdzie jest hierarchia Kościoła katolickiego, która udaje, że brak ekshumacji i mogił z krzyżami to jakaś nowa normalność? Historii sprzed 80 lat nie przykryje też wojna.

Dość już bólu rodzin wołyńskich. Na ekshumację ofiar nie ma zgody kolejnych władz ukraińskich. Mało tego. Z roku na rok jest coraz gorzej. Na straży kłamstw stoi pokolenie wnuków sprawców. Mają swoją wersję historii. Nie ma w niej miejsca na miliony kości Polaków pomordowanych przez ich przodków. Nie przeszkadza im to jednak w braniu ogromnej pomocy od polskiego społeczeństwa.

Pisanie o ludobójstwie, jakiego doświadczyli Polacy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, jest jak bicie głową w mur. Mur wypełniony niewiedzą, obojętnością i świadomie zafałszowaną historią. Ale też, co jeszcze gorsze, hipokryzją, obłudą i głupotą polityków.

A martwiącym się o relacje z Ukrainą dedykuję słowa niezjącego już płk. Jana Niewińskiego, byłego komendanta placówki Armii Krajowej i Polskiej Samoobrony Kresowej we wsi Rybca na Wołyniu: „To nie Ukraińcy dopuścili się zbrodni na Polakach, tylko OUN-UPA, która oprócz ok. 150 tys. Polaków wymordowała też ok. 80 tys. swoich rodaków”.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa
i za wsparcie finansowe.

Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



**Wakacje z e-bookami
PRZEGLĄDU**

**Czytasz TANIEJ
Wiesz WIĘCEJ**

Teraz tylko po 15 zł!

**Czeka już
41 tytułów**

**50%
TANIEJ**

**KUPUJ NA
sklep.tygodnikprzeglad.pl**

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Głową w mur**
Nierozliczone zbrodnie wołyńskie
- 12 Na wojnę, na grzyby, na Eurowizję**
Zrzutka.pl na wszystko
- 16 Pornografia w Sejmie**
Polityka zamiast realnych działań

ZAGRANICA

- 20 USA: Polaryzacja ponad wszystko**
Rozmowa z Elizą Sarnacką-Mahoney
- 23 Tajne więzienia i tortury**
Raport Biura Wysokiego Komisarza NZ
- 26 Wszystkie grzechy republiki**
Francja w płomieniach
- 30 Jedno miasto, dwa światy**
Hebron podzielony

OPINIE

- 34 Andrzej Kurz**
Moje spotkania z Kociem
- 37 Ewa Nowakowska**
Kraina kwitnących waśni

HISTORIA

- 40 Pasionka**
Dziecko wiejskie robotnikiem

KULTURA

- 46 Manipumatki**
– rozmowa z Olgą Chajdas
- 49 Zderzenie cywilizacji**
albo kilka uwag na marginesie
afery genewskiej
- 50 Culturalia**
- 66 Kolor życia. Frida Kahlo**

OBSERWACJE

- 52 Mechanizm drzwi obrotowych**
Choroby psychiczne poza szpitalem
- 56 Popularna i wciąż nieodkryta**
Do Bułgarii nie tylko nad morze
- 59 Trans Borneo**
Podróże Jacka Pałkiewicza

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Ludobójstwo niezapomniane
- 15 Jan Widacki**
Dryfowanie polskiej nauki
- 19 Andrzej Szahaj**
Wieczny dramat kobiet
- 29 Roman Kurkiewicz**
Czas entropii, czas bełkotu
- 33 Tomasz Jastrun**
Zawodna pamięć
- 45 Wojciech Kuczok**
Sztuka organiczna w dolinie Jasiołki
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Wylinka



20

ZAGRANICA

**USA: POLARYZACJA
PONAD WSZYSTKO**
Rozmowa z Elizą
Sarnacką-Mahoney



40

HISTORIA

PASIONKA
Dziecko wiejskie robotnikiem



MANIPUMATKI
– rozmowa z Olgą Chajdas

46

KULTURA



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

✉ Jacy to wybrańcy?

Ja bardzo przepraszam za moje oburzenie, ale coraz dotkliwiej uwiera mnie kit, który media i politycy nam wciskają. A gdy to się dzieje w moim ulubionym tygodniku, jeszcze się potęguje. O co mi chodzi? O niby niewinne zdanie w komentarzu redaktora naczelnego „Z totemem po kraju”, cytuję: „Kolejny raz bez żalu żegnamy wybrańców narodu”.

Kolejny raz żegnamy – PEŁNA ZGODA – ale „wybrańców narodu”?! MY??? My jako naród nie wybieramy do władz swoich przedstawicieli, wolno nam jedynie w wyborach głosować na wybranych przez centrale partyjne ich kandydatów. Uważam, że w Polsce nie ma wolnych wyborów do władz centralnych i do władz samorządowych. W wyborach do władz samorządowych jest jeden wyjątek – w wolnych wyborach wybieramy prezydenta miasta. Prezydent miasta jest przedstawicielem mieszkańców. Oni wybierają go w wyborach większościowych i mają prawo go odwołać w trakcie kadencji drogą referendum. Pozostałe wybory są elementem totalitaryzmu partyjnego, który trwa mimo transformacji ustrojowej.

Jotbe

f Cień przeszłości

Wielkie podziękowania dla pana Bohdana Piętka za bardzo ciekawy i świetnie napisany tekst na temat Wołynia. A także podziękowania dla całej redakcji, że nie boi się podejmować tego tematu w obliczu wojny na Ukrainie. Dzisiaj o Wołyniu? To tak, jak w PRL mówić o Katyniu! Trzeba mieć jaja! I jeszcze jedna uwaga. Pan Piętko w swoim tekście przywołuje wystąpienie prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina, który w czasie ostatniego Międzynarodowego Forum w Sankt Petersburgu – cytuję – „miał poruszyć problem »denazyfikacji« Ukrainy oraz wyświetlić film o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich na Polakach”. Pan Piętko pisze, że tę informację podał tylko portal Kresy.pl, więc nie potrafi jej zweryfikować. Nie wiem, w jakim wieku jest autor tego tekstu, ale ja jestem 60+ i znam bardzo dobrze język rosyjski, co obecnie bardzo się przydaje w obliczu wojny na Ukrainie. Zaglądam często do rosyjskich mediów i porównuję z tym, co u nas publikują media, bazując tylko na źródłach ukraińskich. Potem wyciągam własne wnioski. Śledziłam również forum w Sankt Petersburgu. No i tak, owszem, Kresy.pl podały prawdę. Władimir Putin miał długie przemówienie do zgromadzonych gości, a potem wyświetlił im krótki, ale mocny film pokazujący udział ukraińskich formacji w Holokauście oraz ludobójstwie Polaków. To było niesamowite zagranie propagandowe, do tego oparte na faktach. Fragment tego wystąpienia Putina oraz film (z polskim tłumaczeniem) znaleźć można na YouTube, wpisując taką oto frazę: W.Putin. Międzynarodowe Forum Ekonomiczne w Petersburgu 2023.

Alicja Łukawska



ZDJĘCIE TYGODNIA



Wieniec w stulecie urodzin gen. Wojciecha Jaruzelskiego na grobie złożyli (od lewej): Agnieszka Wołk-Łaniewska, Wiesław Uchański, Monika Jaruzelska, Jerzy Domański, Paweł Dybiczy i Robert Walenciak. 6 lipca 2023 r.

Ponad 1 mld zł wynoszą zaległości Polaków wobec firm telekomunikacyjnych i dostawców internetu (Krajowy Rejestr Długów).

Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu orzekł, że **sędzia Igor Tuleya**, który przez 740 dni był zawieszony przez rządzącą władzę, został pozbawiony immunitetu z naruszeniem Europejskiej konwencji praw człowieka. ETPC nakazał Polsce wypłacić sędziemu 30 tys. euro zadośćuczynienia i 6 tys. euro zwrotu kosztów postępowania. Wyrok nie jest prawomocny.

Nowym przewodniczącym Kolegium IPN został **prof. Tadeusz Wolsza**. Ciało ma charakter dekoracyjny, ale posady w nim są dobrze płatne. W składzie nowego kolegium są starzy członkowie rekomendowani przez Radio Maryja, Solidarność i skrajną prawicę. Trudno pojąć, **co w tym gronie robi dr Bartosz Machalica, bliski współpracownik Włodzimierza Czarzastego**. Lewica legitymizująca tak skompromitowaną instytucję jak IPN to paranoja w najczystszej postaci.

Potwierdziło się, że Igrzyska Europejskie w Krakowie i Małopolsce mimo wydania 500 mln zł były imprezą drugorzędną, mało prestiżową, słabo interesującą kibiców i media. **Najlepiej bawiła się ekipa ministra sportu Kamila Bortniczuka**, choć nie osiągnięto żadnego z założonych celów. I TVP, telewizja pisowska, która tak pokazywała polityków władzy, jakby to oni byli sportowymi herosami.

Teatr im. Słowackiego w Krakowie decyzyjną Zarządu

Województwa Małopolskiego, czyli PiS, traci dyrektora. **Krzysztof Głuchowski, współtwórca sukcesów** i wysokiego poziomu teatru, został odwołany, bo marszałkowi województwa Witoldowi Kozłowskiemu nie mieści się w głowie ten artystyczny fenomen.

Większość (65%) ankietowanych przez Ipsos dla OKO.press i TOK FM w sprawie klauzuli sumienia jest przeciw. 26% zgadza się na możliwość odmowy wykonania świadczeń z powodu przekonań.

Gen. broni Jarosław Gro-madziński, były dowódca 18. Dywizji Zmechanizowanej, jest pierwszym Polakiem, który stanął na czele 60-tysięcznego Eurokorpusu, największej jednostki szybkiego reagowania w Europie.

Nagrodę im. Andrzeja „Wuja” Potoka, przyznawaną przez Ogólnopolską Komisję Historyczną Ruchu Studenckiego, za 2022 r. otrzymali: **Grzegorz Bukala, Andrzej Leparski i Zbigniew Theus**.

Potwierdziła się ocena, jaką ministrowi Andrzejowi Adamczykowi wystawił swego czasu Michał Dworczyk, który podważał jego inteligencję i uczciwość. Adamczyk maszeruje od skandalu do skandalu. Najnowszy to kupno za pieniądze podatników antyradaru Yanosik za 1411 zł.

Ponad 600 tys. imigrantów przybyło w 2022 r. do Wielkiej Brytanii. To trzy razy więcej niż roczna średnia przed brexitem.

W 1106 gminach w Polsce nie ma żadnego złobka ani żadnej instytucji opiekuńczej dla dzieci do lat trzech.

PRZEBŁYSKI

Dzidzia z „Gazety Wyborczej”

Na setne urodziny gen. Wojciecha Jaruzelskiego „Gazeta Wyborcza” wydrukowała tekst jednego z zastępców redaktora naczelnego. Bartosz T. Wieliński zaczął od tego, że miał trzy lata, gdy wprowadzono stan wojenny i 12 lat, gdy Jaruzelski odszedł z polityki. I na tym mógł skończyć. Bo jego wiedza o tamtych czasach jest kalką epitetów i zwykłych bredni. Dzidzia z „Gazety Wyborczej” pisze też o zasługach Generała, łatwo jej przychodzi ferowanie wyroków. Ileż razy czytaliśmy takie teksty! Po Wielińskim też nie spodziewaliśmy się niczego głębszego. I uczciwego.



Abp Jędraszewski kręci z rozwodami

Coś chyba z nami nie tak. Bo rozbawił nas taki nudziarz jak abp Marek Jędraszewski. Zwykle, jak metropolita krakowski się odezwie, to



ręka świerży do... polemik. A tu taka niespodzianka. Na Twitterze abp Jędraszewski napisał, że „człowiek wierzący nie może z czystym sumieniem głosować na ludzi, którzy nie szanują sakramentu małżeństwa”. Czyli wezwał wierzących, by broń Boże nie głosowali na Ryszarda Terleckiego, Marka Kuchcińskiego, Adama Bielana, Mariusza Kamińskiego czy Małgorzatę Gosiewską. To zresztą tylko wierzchołek wielkiej góry prawicowych rozwodników. Są jednak rozwodnicy bliscy sercu Jędraszewskiego. Przecież nie tak dawno osobiście dawał ślub kościelny Jackowi Kurskiemu, który po 24 latach unieważnił swoje pierwsze małżeństwo kościelne, i Joannie Klimek – też recydywa i unieważnienie wcześniejszego ślubu kościelnego.

Wojownicy z mieczem

Gdy w czerwcu turyści spragnieni jodu zjechali do Rumi (Pomorskie), mogli w bonusie obejrzeć egzotyczne widowisko. Ponad 6 tys. mężczyzn z rodzinami wzięło udział w pasowaniu 352 nowych braci i 12 księży na wojowników Maryi. Wcześniej musieli oni zaliczyć dwu-, trzyletnią formację i weryfikację, zwaną braterską rozmową. Jeśli spełniali wymagania Statutu i Kodeksu Wojowników Maryi, zostali przyjęci.



Ta męska wspólnota liczy już ok. 15 tys. wojowników. A ok. 30 tys. jest w procesie formacji. Jeszcze trochę i zastąpią oddziały Błazczaka. Z chorągwiami, w czarnych koszulkach, z mieczami i różańcami w rękach pomaszerują w obronie polskich rodzin, małżeństw i wiary.



Mentalny inkwizytor

Była sobie Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości w Kaliszu, która kształciła funkcjonariuszy Służby Więziennej. Miała nawet rektora. Ulubieńca gazety o. Rydyzka. Dr Michał Sopiński to mentalny wytwór systemu bezprawia i niesprawiedliwości. Rektor ma duże ambicje. Podobnie jak Zbigniew Ziobro, który przekształcił SWWS w – jakżeby inaczej – Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. Kasiora (16 mln) poszła na biurowiec w Warszawie. Wynajęto hotel dla studentów. Zarzuty wysuwają Najwyższa Izba Kontroli, Senat oraz Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Nic to. Ziobro górą. A rektor? Mentalny inkwizytor. Chce tak zlustrować administrację publiczną, by było miejsce dla kolejnych cyników. Kumpeli i rodziny dojrzej zmiany.



PYTANIE TYGODNIA

Jakie są cechy nowoczesnego człowieka?

PROF. MAGDALENA ŚRODA,
filozofka, Uniwersytet Warszawski

O ile sporo wśród nas ludzi ponowoczesnych (zagubionych w postprawdzie, postpolityce, postwładzy i posttożsamości) i bardzo dużo ludzi o usposobieniu feudalnym (zwłaszcza wśród polityków), o tyle człowiek nowoczesny jeszcze w pełni nie zaistniał. To oświeceniowy ideał. Człowiek nowoczesny to ten, który kieruje się rozumem, polega na wiedzy, jest ciekawy świata, otwarty i tolerancyjny, złaicyzowany, niechętny wszelkim irracjonalizmom, czy chodzi tu o istnienie smoków, czy o dziewictwo Maryi. To również człowiek, który ceni demokrację, a w niej różnorodność i równość (wszak rodzimy się nie tylko wolni, ale i równi). To ktoś, kto ceni tradycję, ale nie robi z niej bożka, bo woli patrzeć w przyszłość. Wierzy w postęp, nie tylko techniczny, ale i moralny. Jest myślący, krytyczny, choć rozum nie ogranicza jego wyobraźni. Potrafi więc nawet wyobrazić sobie nowoczesną Polskę.

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA,
futurolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Nawet trudno mi stwierdzić, kim właściwie jest „nowoczesny człowiek” – myślałam, że nowoczesność jako epoka już jest za nami. Ale gdybym miała powiedzieć, jakie cechy daje się obserwować u ludzi współczesnych, to wymieniałabym elastyczność i adaptacyjność, bo żyjemy w czasach, gdy zmiany technologiczne, społeczne i ekonomiczne dokonują się w szybkim tempie.

Poza tym nowoczesność – w pozytywnym sensie – wiąże się z dążeniem do samorozwoju i poszerzania horyzontów. Nowoczesny człowiek niezależnie od wieku czy zawodu dąży do ciągłego doskonalenia swoich umiejętności, pogłębiania wiedzy i rozwijania siebie jako jednostki. Ale wydaje mi się również, że człowiek współczesny to człowiek zdecydowanie przebudzowany, nierzadko przemęczony i skonfundowany nadmiarem bodźców i informacji.

KATARZYNA KUCEWICZ,
psycholożka

Nowoczesność dziś oznacza otwartość. Otwartość na różnorodność i szacunek dla niej. Nowoczesny człowiek ma umiejętność dostrzegania, że ludzie są różni pod wieloma względami. Szanuje odrębność innych i nie ma maniackalnej potrzeby pozostawiania w szufladkach, np. wyuczonych w toku własnej socjalizacji. Świat bardzo dynamicznie się zmienia i żeby pozostawać nowoczesnym, trzeba od tych zmian się adaptować. Z perspektywy psychologicznej nowoczesna osoba rezygnuje z samopoświęcenia. Stawia siebie na pierwszym miejscu, choć nie w sposób egocentryczny. Po prostu dba o siebie i swoje zdrowie psychiczne, pyta: czego ja dziś potrzebuję? Odchodzimy od mitów matki Polki czy człowieka, który przede wszystkim poświęca się dla bliźniego. Wchodzimy jako społeczeństwo w nowoczesność dzięki narracji: pomagaj innym, ale pamiętaj, aby siebie nie stawiać na końcu kolejki.

Rozmawiał Kornel Nawrzymiak

GŁOWĄ W MUR

Polska klasa polityczna a rozliczenie zbrodni wołyńskich

Bohdan Piętko

Przed 80. rocznicą ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego głośnym echem odbiły się słowa prezydenta Andrzeja Dudy skierowane do ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, znanego z zaangażowania w walkę o upamiętnienie ofiar zbrodni OUN-UPA. Gdy ksiądz zarzucił prezydentowi, że ten podczas wizyty w Kijowie pod koniec czerwca nie wypowiedział się oficjalnie na temat nadchodzącej rocznicy rzezi wołyńskiej, Andrzej Duda stwierdził: „Ja bym mimo wszystko wołał, żeby ks. Isakowicz-Zaleski zajmował się tym, czym powinien zajmować się ksiądz (...). My prowadzimy spokojną politykę, a nie politykę bieganą z widłami, politykę spokojnego

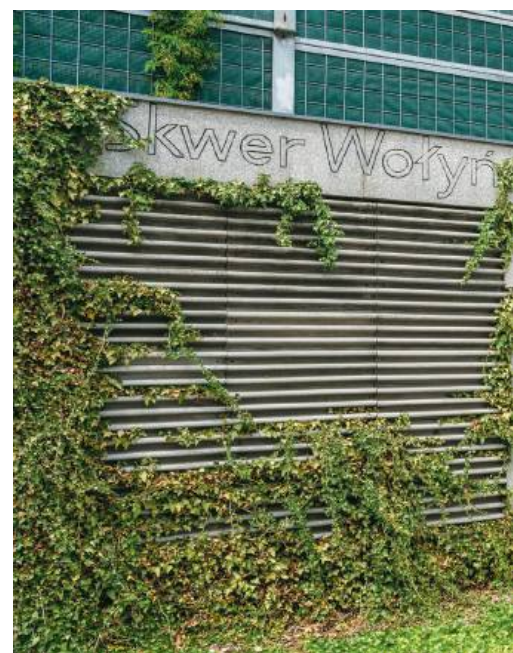
szukania porozumienia w sprawach trudnych historycznie, które liczą sobie wiele dziesięcioleci, są bardzo skomplikowane, niezwykle bolesne dla istotnej grupy naszych rodaków”.

Użyte przez prezydenta sformułowanie o „bieganiu z widłami” przez tych, którzy domagają się od władz państwowych konkretnych rezultatów w sprawie historycznego rozliczenia z Ukrainą kwestii zbrodni nacjonalistów ukraińskich, było niefortunne i nieestosowne. Z widłami (i siekierami) biegali bowiem w 1943 r. podkomendni Dmytra Kłaczkiwskiego („Kłyma Sawura”), dowódcy UPA na Wołyniu i Polesiu, jednego z inicjatorów ludobójstwa wołyńskiego, który w jego przeprowadzeniu odgrywał kierowniczą rolę.

Już w 1995 r. – a więc na długo przed przewrotami politycznymi

z 2004 i 2014 r. – lokalne władze ukraińskie ufundowały „Kłymowi Sawurowi” pomnik w Zbarażu. W 2002 r. jego pomnik stanął także w Równem – jednym z głównych miast Wołynia. Poświęcono mu też w 2015 r. pamiątkowy krzyż w pobliżu Orzewa koło Równego. Imieniem Kłaczkiwskiego nazwano wiele ulic w miastach zachodniej Ukrainy. Pamięci „Kłyma Sawura” oraz Jewhena Konowalca, przewodniczącego Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w latach 1929-1938, Tarnopolska Rada Obwodowa poświęciła rok 2011. W roku 2020, a więc już za prezydentury Wołodymyra Zełenskigo, Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła uchwałę w sprawie wydarzeń i postaci historycznych, które zostaną upamiętnione na szczeblu państwowym w 2021 r. Wśród tych postaci znalazł

Pomnik Rzezi Wołyńskiej odsłonięty 11 lipca 2013 r. na Skwerze Wołyńskim w Warszawie.



się właśnie Dmytro Klaczkiwski. W uchwale został on nazwany „wojskowym i politycznym działaczem, organizatorem i pierwszym dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii, kierownikiem Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu i uczestnikiem walk o niepodległość Ukrainy w XX w.”.

Polska klasa polityczna oraz polskie media głównego nurtu ani razu (przynajmniej oficjalnie) nie zwróciły uwagi partnerom z Ukrainy, że taka polityka historyczna to nic innego jak „bieganie z widłami”, ponieważ jest niebezpieczna dla samej Ukrainy. Nie dlatego, że roznieca nastroje nacjonalistyczne, ale dlatego, że zostanie wykorzystana przeciw Ukrainie przez Rosję. Dzisiaj już wiemy, że istotnie została przez Rosję wykorzystana – do uzasadnienia agresji z 24 lutego 2022 r. jako operacji mającej „denazyfikować” Ukrainę.

Bezsilność i milczenie

Polskie czynniki oficjalne nie zareagowały też, gdy w 2018 r. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej bezzwłocznie ogłosił, że tajna dyrektywa „Kłyma Sawura” z czerwca 1943 r. w sprawie wymordowania ludności polskiej na Wołyniu jest „polskim mitem”. W tym kontekście pouczanie rok temu ks. Isakowicza przez prezydenta Dudę, żeby „ważył

słowa”, i teraz jego uwaga o „bieganiu z widłami” świadczą jedynie o bezsilności najwyższych przedstawicieli władz polskich wobec polityki historycznej Ukrainy. Mimo różnych deklaracji zarówno Warszawy, jak i Kijowa strona ukraińska wciąż mnoży przeszkody na drodze do historycznego rozliczenia ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego poprzez ekshumację i upamiętnienie ofiar. Bijąc stale głową w mur ukraińskiej nieustępliwości, polscy politycy czasem reagują agresją wobec tych,

mające decydujący wpływ na politykę historyczną na szczęblu Ukraińskiego IPN oraz władz lokalnych i centralnych, wcale nie sprzyjają budowaniu wzajemnego szacunku, szukaniu zrozumienia i sprawiedliwości w sprawie trudnej historii. Prezydent Wołodymyr Zełenski musi się liczyć z głosem tych środowisk, czyli epigonów OUN-UPA, zwłaszcza w sytuacji trwającej wojny z Rosją. Dlatego w kolejną okrągłą rocznicę ludobójstwa wołyńskiego prawdopodobnie znowu nie będzie przełomu.

Już za prezydentury Zełenskiego Dmytro Klaczkiwski – dowódca UPA na Wołyniu i Polesiu – znalazł się wśród postaci, które miały być upamiętnione na szczęblu państwowym.

którzy krytykują ich niemoc i postawę strony ukraińskiej.

W dalszej części wypowiedzi dla Radia Zet prezydent Duda stwierdził, że „poważnym zadaniem władz, ale i ludzi w Polsce odpowiedzialnych za sprawy publiczne, jest prowadzenie tych spraw tak, żeby one pomiędzy Polakami a Ukraińcami układały się na zasadach wzajemnego szacunku, zrozumienia, sprawiedliwości i szukania wspólnej przyszłości”. Pełna zgoda, ale taki sam obowiązek leży po stronie ukraińskiej. Niestety, tamtejsze środowiska nacjonalistyczne,

W konkluzji prezydent Duda powiedział, że „powinniśmy mieć pojednanie w sprawie Wołynia”. „Potrzebna jest prawda historyczna, potrzebny jest szacunek dla ofiar i potrzebny jest szacunek i braterstwo wzajemne, między narodami”, podsumował.

Tego typu deklaracje padały ze strony przedstawicieli najwyższych polskich władz przez minione 20 lat wielokrotnie. Nie zwiastowały one jednak żadnego postępu w kwestii zamknięcia tragicznego rozdziału historii relacji polsko-ukraińskich ▶



► w pierwszej połowie XX w. Prawdy historycznej niestety nie będzie, nawet gdy Ukraina zgodzi się na ekshumację ofiar i ich upamiętnienie. Jeżeli bowiem upamiętnienia ofiar znajdują się w cieniu pomników ich katów, to jedno będzie przeczyć drugiemu. Albo upamiętniamy katów, albo ofiary, ale nie jednych i drugich. Rozumieją to czynniki polityczne w Kijowie, które nie chcą zrezygnować z czczenia katów jako domniemyanych bojowników o niepodległość Ukrainy.

Rosja będzie grała Wołyniem, dopóki politycy z Warszawy i Kijowa tego problemu nie załatwią.

Dopóki sprawcy ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego będą na Ukrainie tak postrzegani, raczej nie należy oczekiwać zgody na upamiętnienie ich ofiar.

W związku z 80. rocznicą rzezi wołyńskiej wypowiedział się też Jarosław Kaczyński. „Jest to trudne, nie będę tego ukrywał. Nie chcę tego tematu rozwijać. Mówię jasno – kiedy przyjdzie ta rocznica, a to już bardzo niedługo, trzeba powiedzieć, że to było ludobójstwo wyjątkowo wręcz brutalne, okrutne, jeszcze gorsze niż to niemieckie. To było ludobójstwo i trzeba się z tym rozliczyć”, powiedział prezes PiS w radiu RMF FM.

Podkreślił, że ofiary należy „właściwie pochować, tak jak na to zasługują”. W związku z tym oświadczył: „Kiedyś powiedziałem to Petrowi Poroszenko w gmachu Sejmu, i to nawet w takich formach może bardziej zdecydowanych. Ale w tej chwili nie sądzę, żebym tym pomógł temu, co jest w tej chwili także naszym głównym celem, to znaczy pokonanie Rosji. Oni uważają, że w tym momencie nie mogą. Nie podzielam tego zdania, ale to oni prowadzą wojnę, oni giną na frontach, oni są bombardowani, niszczeni na różne sposoby. Wobec nich też zaplanowano, bo przecież taki był plan, ludobójstwo. Tak to trzeba określić”. Równocześnie jednak dodał: „Nie możemy się z tego wycofywać, bo żaden naród nie może zaakceptować ludobójstwa popełnionego na jego obywatelach, i w ogóle nie może

zaakceptować – jeżeli jest narodem i państwem cywilizowanym – żadnego ludobójstwa”.

W podobne tony uderzył wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Wąsik na antenie Polskiego Radia 24: „Oczywiście to jest pewien cierni w naszych relacjach polsko-ukraińskich. My musimy Ukrainie pomagać, bo Ukraina walczy w polskim interesie. Polska racja stanu wygląda w ten sposób, że Ukraina musi wygrać tę wojnę, nie

może jej przegrać, bo nie możemy dopuścić, by wojska Putina stanęły na Bugu. Ale są oczywiście rachunki krzywd, o których trzeba mówić, o których trzeba pamiętać i które trzeba twardo stawiać, i Polska będzie twardo stawiała te sprawy”.

Proukraiński wektor

Z powyższych wypowiedzi można wywnioskować, skąd bierze się bezsilność polskiej klasy politycznej wobec polityki historycznej Ukrainy. Bierze się ona m.in. z przyjęcia radykalnie proukraińskiego wektora polityki wschodniej. W obecnej sytuacji ja tego nie podważam i zgodzę się

powiedzieć: „Przepraszam i proszę, prosimy o wybaczenie”. Na te słowa natychmiast zareagował ambasador Wasyl Zwarycz, który oświadczył, że wszelkie próby narzucania Ukrainie, „co musimy w sprawie wspólnej przeszłości, są nieakceptowalne i niefortunne”. W konsekwencji Łukasz Jasina został zawieszony w funkcji rzecznika MSZ (formalnie wystąpił na bezterminowy urlop). Było to klasyczne uderzenie głową w mur, uświadamiające, kto jest partnerem silniejszym w partnerstwie polsko-ukraińskim. Nie może jednak być inaczej, jeśli stoi się na stanowisku bezalternatywności opcji proukraińskiej (czy proamerykańskiej).

Zbieżne z opinią rzecznika MSZ oczekiwania pod adresem prezydenta Zełenskiego wyraził Leszek Miller, komentując wizytę prezydenta Ukrainy w Warszawie na początku kwietnia br. „Pomyślałem sobie, że to jest wspaniała okazja, żeby prezydent Zełenski przeprosił za tę zbrodnię, jakże okrutną, co więcej, zbrodnię, która nie ma żadnej kontynuacji, w sensie że kości tych okrutnie pomordowanych leżą na polach pszenicy, w lasach i nawet nie ma zgody władz ukraińskich na ekshumację”, mówił „Rzeczpospolitej”. I dodał: „Myślę, że słowa te nie padły dlatego, że ani władze ukraińskie, ani społeczeństwo ukraińskie nie jest gotowe do zmierzenia się z tym problemem.

Rozwiązanie jest bardzo proste. Trzeba nazwać zbrodniarzy i zbrodnie po imieniu, ekshumować i upamiętnić ofiary.

z ministrem Wąsikiem, że nie leży w polskim interesie graniczenie na Bugu z Rosją lub z rosyjską strefą wpływów. Niemniej jednak oparcie polityki proukraińskiej na zasadzie wspierania Ukrainy za wszelką cenę spowodowało, że Polska w aliansie z Ukrainą stała się partnerem słabszym.

Przekonał się o tym rzecznik prasowy Ministerstwa Spraw Zagranicznych Łukasz Jasina. 19 maja w rozmowie z Onetem stwierdził on, że Wołyn jest „problemem blokującym bardzo wiele wspólnych inicjatyw”, a prezydent Zełenski powinien

To zbrodnia, która w uchwale Sejmu polskiego została określona jako ludobójstwo”.

Prezydent i społeczeństwo Ukrainy nie potrafią zmierzyć się z tym problemem, ponieważ nie chcą narażać się środowiskom nacjonalistycznym, które są wpływowe politycznie, a od drugiego Majdanu mają decydujący głos w sprawie kształtu ukraińskiej polityki historycznej.

Dopytywany jednak, czy gdyby był premierem, naciskałby na Ukrainę w sprawie historycznego rozliczenia Wołynia, Miller odparł, że „publicznie nie, z uwagi na kontekst

wojenny, ale w rozmowach prywatnych owszem, zwracałbym się dosyć stanowczo, aby nie przemilczać tej kwestii". Czyli zajmowałby taką postawę jak obecne władze.

Rano 7 lipca premier Mateusz Morawiecki wkopał drewniany krzyż w miejscu polskiej wsi Ostrówki, która została wymordowana 30 sierpnia 1943 r. przez kureń UPA pod dowództwem Iwana Kłymczaka „Łysego”. Niestety, władze ukraińskie nie pozwolą napisać przy tym krzyżu, kogo on upamiętnia i kto kogo zamordował. Tak jest z wszystkimi (nielicznymi) krzyżami postawionymi w miejscach zbrodni UPA na Wołyniu.

Władza więc od tematyki wołyńskiej nie ucieka, choć postawę jej można krytykować. Natomiast politycy opozycyjni zupełnie nie wypowiadają się na ten temat. Tak jakby opozycja chciała ten problem przemilczeć. Należy przypomnieć, że Platforma Obywatelska podczas swoich rządów (2007-2015) niechętnie odnosiła się do społecznych inicjatyw upamiętnienia krwawej niedzieli, a w 2013 r. doprowadziła do wykreślenia z sejmowej uchwały w sprawie 70. rocznicy rzezi wołyńskiej słowa ludobójstwo.

Podobnie jest z mediami. Temat rocznicy 11 lipca poruszają głównie media prorządowe, czasem wyrażając obawy, że zostanie wykorzystana przez Rosję na szkodę relacji polsko-ukraińskich. Na przykład w prorządowym portalu wPolityce czytam wypowiedź red. Jakuba Maciejewskiego: „11 lipca odbędą się w całej Polsce uroczystości upamiętniające ludobójstwo ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności cywilnej. Ogromna, niewystarczająco upamiętniona zbrodnia, wokół której uroczystości odbywają się jednocześnie w cieniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Rosyjska dezinformacja będzie próbowała to wyzyskać nie dla pamięci i sprawiedliwości, ale dla skłócenia Polaków i Ukraińców dziś, by osłabić opór nad Dnieprem”.

No właśnie, dlaczego ta zbrodnia jest „niewystarczająco upamiętniona”? Na Ukrainie jest w ogóle nieupamiętniona i do tego negowana przez tamtejszą politykę historyczną za pomocą kultu katów i absurdu.

tezy o „wojnie chłopskiej”. Co do rosyjskiej dezinformacji, to Rosja zawsze będzie tę sprawę wykorzystywać do podkopywania relacji polsko-ukraińskich, nie tylko przy okazji rocznicy 11 lipca. Rosja będzie grała Wołyniem, dopóki politycy z Warszawy i Kijowa tego problemu nie załatwią. A rozwiązanie jest bardzo proste. Trzeba nazwać zbrodniarzy i zbrodnie po imieniu, ekshumować i upamiętnić ofiary. Niby proste, lecz niemożliwe do osiągnięcia z powodu ukraińskiej polityki historycznej i bezsilności polskiej klasy politycznej wobec tej polityki.

Jednostronna ekspiacja

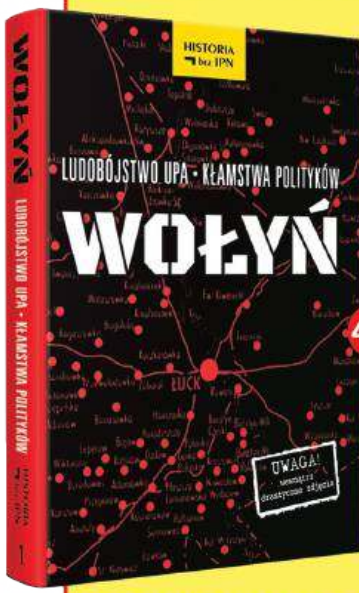
Polskie elity nigdy nie miały dobrego pomysłu na to, co zrobić z trudną przeszłością polsko-ukraińską. W latach 90. XX w. dominowało przekonanie, że jeśli Polska dokona jednostronnej ekspiacji za niewspółmiernie mniejsze winy wobec Ukraińców, to Ukraina na zasadzie wzajemności dokona ekspiacji za Wołyn. Ekspiacji za operację „Wisła” dokonano kilkakrotnie na szczelbie parlamentu i urzędu prezydenta, a wzajemności ze strony ukraińskiej nie było. Mało tego, gesty te zostały uznane na Ukrainie za polskie przyznanie się do winy w sprawie odpowiedzialności za konflikt polsko-ukraiński w pierwszej połowie XX w.

Potem próbowano temat Wołynia zamykać pod dywan, a gdy to się nie udało, próbowano przerzucić odpowiedzialność za zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na Sowieć (w domyśle Rosję). Chodzi o słynną wypowiedź Bronisława Komorowskiego z 2008 r. (wówczas marszałek Sejmu), że „za Wołyn odpowiadają Sowieci”, oraz wypowiedź Antoniego Macierewicza z 2016 r., że „w tle tej ogromnej tragedii stoi Rosja”.

Kiedy okazało się, że pomajdano- wa Ukraina brnie w radykalną gloryfikację OUN i UPA, skrajnie proukraińskie środowiska w Polsce z obu stron sceny politycznej postulowały, by to afirmować. Mam tutaj na myśli

choćby artykuł Andrzeja Talagi opublikowany w 2017 r. w „Rzeczpospolitej”, zatytułowany „Lepiej z Banderą niż z Moskwą”. Talaga postulował w nim, by „wziąć UPA w nawias” i postawić „rację stanu ponad racją moralną”. Ta racja stanu to niedopuszczenie do tego, by Ukraina znalazła się w rosyjskiej strefie wpływów. Ale przecież nie znajdzie się w rosyjskiej strefie wpływów dlatego, że zrezygnuje z kultu UPA czy potępi jej zbrodnie. Wręcz przeciwnie – Ukraina

KSIĄŻKA PRZEGLĄDU



PRAWDZIWA DO BÓLU
– ZBRODNI
BANDEROWCÓW
OPISANE PRZEZ TYCH,
KTÓRYM UDAŁO SIĘ
PRZEŻYĆ

Zamów książkę
na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nieregistrowanym Poczta Polska.

► znalazłaby się wtedy automatycznie „w Europie”, w dosłownym tego znaczeniu. I to powinni polscy politycy oraz publicyści wytłumaczyć partnerom z Kijowa.

Trzy lata wcześniej Kazimierz Wóycicki wpadł w zachwyt po zwiedzeniu muzeów Stepana Bandery i Romana Szuchewycza pod Lwowem i ogłosił na swoim blogu, że Szuchewycz „powinien być również dla Polaków postacią o cechach bohatera”. Te i inne wysoki skrajnie proukraińskich polityków i autorów również są jedną z przyczyn tego, że Ukraina prowadzi taką, a nie inną politykę historyczną i lekceważy polskie oczekiwania w kwestii historycznego rozliczenia ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego.

Przełomu w związku z 80. rocznicą tych wydarzeń nie spodziewam się po naszych i ukraińskich politykach, tak jak nie oczekiwałem go po zapowiedzianym na 7 lipca oświadczeniu przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego i zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, arcybiskupa większego kijowsko-halickiego Światosława Szewczuka. Po 2004 i 2014 r. greckokatolickiego duchowieństwa nie zabrakło przy poświęcaniu pomników nowych bohaterów Ukrainy z OUN, UPA i dywizji Waffen SS „Galizien”. Dlatego nie przypuszczam, by Kościół greckokatolicki na Ukrainie dokonał ekspiacji za wspieranie nacjonalistów ukraińskich w czasach, gdy kolaborowali oni z III Rzeszą i dokonywali zbrodni przeciw ludzkości. Wspomnę tutaj chociażby nabożeństwo, które odprawił 28 kwietnia 1943 r. biskup lwowski Josyf Slipyj dla ochotników do 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS „Galizien”, czczonej na dzisiejszej Ukrainie.

Pod jednym z postów na Facebooku przypominających 80. rocznicę krwawej niedzieli przeczytałem wypowiedź człowieka przedstawiającego się jako wykształcony, którą zacytuję dosłownie: „To było dawno”. Skoro takie podejście do historii mają niektórzy Polacy (a podejrzewam, że nie jest to margines), to może nie należy za dużo wymagać od polskiej klasy politycznej.

Bohdan Piętko

Na wojnę, na grzyby, na Eurowizję

Katalog celów, na które Polacy zbierają pieniądze w sieci, stale się poszerza

Michał Sobczyk

Szukanie pomocy w leczeniu chorego dziecka czy odbudowie spalonego domu za pośrednictwem Pomagam.pl czy Siepomaga.pl stało się czymś oczywistym. Zdziwienia nie budzą decyzje o społecznościowym sfinansowaniu wydania książki, płyty czy gry planszowej, np. z wykorzystaniem platformy Wspieram.to. Niszowy pozostaje tzw. crowdfunding inwestycyjny, czyli próby rozkręcenia biznesu dzięki wpłatom od osób fizycznych, które w zamian za wsparcie stają się współwłaścicielami przedsięwzięcia (tu najpopularniejszym narzędziem jest Beesfund). Każda z powyższych kategorii zbiórek spotyka się ze zrozumieniem i akceptacją, bo jest w istocie nową formą dobrze znanych instytucji życia społecznego: ulicznych kwest oraz imprez charytatywnych, przedsięwzięcia, publicznej emisji akcji.

Równolegle prężnie rozwija się świat zbiórek, które nie mają tak oczywistych odpowiedników poza internetem. Wiele z nich budzi odruchową sympatię, ale niektóre wywołują konsternację, nieufność lub wręcz wrogość.

Zbierać każdy może

Zdecydowanie największym serwisem do samodzielnego i darmowego organizowania dowolnych zbiórek pieniężnych jest Zrzutka.pl. Przez 10 lat istnienia serwisu przeprowadzono w nim ok. 1 mln akcji tego rodzaju, na które przekazano łącznie ponad 1 mld zł, a każdego dnia uruchamianych jest średnio ponad

400 kolejnych. W 2022 r. wszystkie zrzutki zrealizowane za pośrednictwem portalu zgromadziły w sumie 305 mln zł. Średnia wartość wpłat na jedną zbiórkę to ponad 2,2 tys. zł.

Zrzutka.pl podkreśla, że z jej pomocą organizacje społeczne, firmy i osoby prywatne mogą zbierać środki na dowolny cel, oczywiście jeśli jest zgodny z prawem. Dzięki temu portal jest nie tylko jednym z kilku miejsc w sieci, w których apelują o wsparcie osoby w poważnych tarapatkach, np. wymagające kosztownej rehabilitacji, fundacje prozwierzęce, których potrzeby zawsze są większe niż posiadane środki, a w okresie koronakryzysu także restauracje, kawiarnie czy schroniska turystyczne. To również narzędzie, które pozwala założyć wirtualną skarbonkę na wszelkie składki – na prezent, wspólny wyjazd, organizację studniówki – a ponadto tuba dla osób, które z pomocą współobywateli zamierzają zrealizować pożyteczne przedsięwzięcie lub własne marzenia. Są jednak i tacy, którzy wykorzystują je w walce politycznej, a nawet na wojennym froncie.

Ku chwale nauki

Zdaniem Tomasza Chołosta, współzałożyciela i członka zarządu Zrzutki.pl, Polaków ogarnęła prawdziwa zrzutkomania, której jednym z przejawów jest rosnąca liczba i skala zbiórek niestandardowych, czasami wręcz unikatowych. Jako przykład podaje zrzutkę na stworzenie modelu czaszki gigantycznego prehistorycznego gada, należącego do gatunku nieznanego wcześniej nauce, którego szczątki polscy paleontolodzy odkryli w Lisowicach na Śląsku. Jak wyjaśnili

w opisie akcji jej organizatorzy, twórcy bloga Crazy Nauka, pieniędzy na rekonstrukcję nie dały ani Polska Akademia Nauk, ani Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Do portfeli sięgnęli za to miłośnicy wiedzy i dzięki przekazanym przez nich ponad 14 tys. zł eksponat wzbogacił zbiory stołecznego Muzeum Ewolucji.

– Świeżym tematem jest zrzutka na pierwszy, testowy start bezałogowej rakiety suborbitalnej Perun, która wyróżnia się m.in. tym, że jej poszczególne elementy da się odzyskać i wykorzystać w kolejnych lotach – opowiada Chołast. Konstruktorzy z firmy SpaceForest nie zawiedli darczyńców: dzięki 84 tys. zł, które od nich otrzymali, pod koniec czerwca

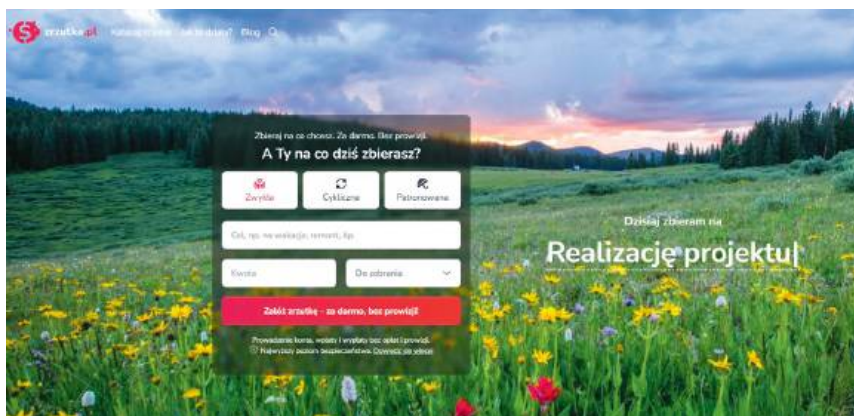
krok w rozwoju stworzonego przez niego Centrum Uprawy Grzybów, które służy nie tylko jemu, ale także studenckiemu kołu naukowemu oraz innym pracownikom uczelni.

Cel: pa!

W odpowiedzi na rosyjską agresję zaczęto masowo tworzyć zrzutki na Ukrainę i Ukraińców. O ile solidarność okazana rannym czy pozbawionym dachu nad głową wprost wpisuje się w długą tradycję pomocy humanitarnej, o tyle nieoczywistą inicjatywą była internetowa kwesta na zakup drona bojowego dla zaatakowanego państwa. Zapoczątkował ją Sławomir Sierakowski z „Krytyki

nas trudne sytuacje, bo jesteśmy trochę między młotem a kowadłem. Obrywa się nam za rzekome wspieranie tego czy innego celu, zdarzają się nawet żądania zablokowania danej zrzutki, tymczasem my jesteśmy jak bank – naszym zadaniem jest świadczenie usług każdemu, bez oglądania się na jego poglądy. Oceniamy zrzutki nie pod kątem etycznym, a jedynie zgodności z prawem. Uważamy, że jeśli są ludzie, którzy chcą wpłacać na dany cel, bo jest im bliski, to powinni mieć taką możliwość – wyjaśnia Tomasz Chołast.

Być może jeszcze więcej emocji budzą zbiórki mające wesprzeć nie określone postulaty polityczne, ale bezpośrednio osoby je głoszące. W 2021 r. skrajne emocje części komentatorów, m.in. na Twitterze, wywołała aktywistka na rzecz praw człowieka Hanna M. Zagulska. Z okazji 30. urodzin napisała na Zrzutce.pl, że idealnym prezentem byłby dla niej komputer stacjonarny plus artykuły biurowe. „Dzięki tej zrzutce kupię komputer, powstanie moja wymarzona przestrzeń do nauki, pisanie, pracy, robienia rzeczy, grania w gierki i spotkania się z terapeutką”, wyliczała działaczka w opisie akcji, co zapoczątkowało lawinę opinii. Krytycy pisali, że to wstyd zaspokajać swoje



Przez 10 lat istnienia serwisu Zrzutka.pl przeprowadzono w nim około miliona akcji, na które przekazano łącznie ponad miliard złotych.

Perun został wystrzelony z poligonu w Ustce, a zdobyte doświadczenia mają być wykorzystane podczas jesiennego lotu w kosmos.

Trzecim przykładem bezinteresownego wsparcia udzielonego projektowi naukowemu może być reakcja na zrzutkę Piotra Zięby, doktoranta na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie, który fascynuje się uprawą oraz właściwościami grzybów. Jak tłumaczy badacz, jego status („bycie taką krzyżówką studenta, pracownika technicznego i pracownika naukowego”) oraz biurokratyczne obwarowania ministerialnych grantów sprawiają, że standardowe źródła finansowania modernizacji laboratoriów są dla niego niedostępne. 10 tys. zł od zrzutkowiczów pozwoliło mu zrobić kolejny

Politycznej”, a publicznego poparcia udzielili m.in. Agnieszka Holland, Adam Bodnar czy ks. Kazimierz Sowa. Ponad 220 tys. darczyńców wpłaciło łącznie prawie 25 mln zł, bijąc historyczne rekordy Zrzutki.pl.

Coraz częstsze są internetowe składki na potrzeby innej, mniej krwawej wojny – światopoglądowej. W ten sposób środki na kampanie zbierają zarówno aktywistki Aborcyjnego Dream Teamu (jedna z ich zrzutek zajmuje czwarte miejsce pod względem liczby wpłat w całej historii platformy), jak i ruchy antyaborcyjne. – Był taki moment, że na naszym portalu zbiórki prowadziły zarówno środowiska związane ze Strajkiem Kobiet, jak i osoby deklarujące brońienie przed nim kościołów. To dla

prywatne potrzeby innym sposobem niż praca zarobkowa, z kolei obrońcy Zagulskiej wskazywali, że mowa nie tyle o apelu do społeczeństwa, ile o podpowiedzi dla życzliwych jej osób w sprawie tego, co sprawiłoby jej największą radość. Zbiórka zakończyła się sukcesem.

Podróże za jeden uśmiech

Swoją szansę w istnieniu Zrzutki.pl widzą też miłośnicy wypraw. Piotrowi Kilianowi i jego przyjacielowi Jędrzejowi Józefowiczowi, którzy relacjonują w sieci zorganizowane przez siebie eskapady, spokoju nie dawała myśl o zimowym wyjeździe na Grenlandię, na który potrzebne są m.in. specjalne sanki. „Jeśli ktoś ma możliwość ▶

► finansową, lubi nasze wpisy z wypraw, dowiedział się jakiejś ciekawostki z prelekcji podczas spotkań podróżniczych oraz szanuje nasz styl, to prosimy i zachęcamy do wsparcia tego projektu”, uzasadnili swoją prośbę o 2 tys. zł. Byli przekonujący, bo zebrałi sporo więcej – 3,4 tys. zł.

Identyczną kwotę przyniosła zrzutka założona przez Maksyma Pisteloka, młodego kontrabasistę, który ma już na koncie kilka nagród ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów. Wybierając się na kolejną taką imprezę do Brna, napisał wprost, że wpisowe

akrobatykę sportową pojechały na obóz szkoleniowy, ambitni uczniowie z Kraśnika polecili do Houston na finał międzynarodowych młodzieżowych zawodów w budowie robotów, Krystian Embradora nakręcił pierwszy teledysk, a Tomasz Krakowiak już wkrótce zaprezentuje światu debiutancki tom opowiadań.

Na to, że ich wirtualny portfel dobrowolnie wesprze mniejsza bądź większa grupa nieznanych im osób, mogą liczyć także autorzy cenionych treści publikowanych za darmo w internecie. Dwa skrajne przykłady to

W zrzutkach siła

Należy się spodziewać, że różnorodne formy zbiórek będą coraz powszechniejsze. Tomasz Chosta zwraca uwagę, że podczas gdy w innych krajach popularne są różne rodzaje finansowania społecznościowego, charakterystyczna dla Polski jest zdecydowana dominacja jego wariantu opartego na darowiznach celowych. – Po prostu ktoś na nas oddziałuje, czujemy, że to, o czym pisze, prezentując swoją akcję, jest nam bliskie, i go wspieramy – mówi współtwórca Zrzutki.pl, która wkrótce doczeka się wersji międzynarodowej (4fund.com). Przewiduje ponadto powstawanie platform poświęconych konkretnym dziedzinom lub branżom oraz dalszy wzrost popularności zrzutek cyklicznych, czyli wspierania m.in. artystów i mediów stałą opłatą.

Zrzutka.pl przez dekadę urosła od jednoosobowej działalności do firmy zatrudniającej kilkudziesięciu pracowników, wszystkie swoje usługi oferuje jednak za darmo, a jej model biznesowy można streścić w dwóch słowach: co taska.

Michał Sobczyk

m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

W ubiegłym roku wszystkie zrzutki zgromadziły 305 mln zł.

(ok. 550 zł) plus koszty tygodniowego pobytu to dla niego jako studenta akademii muzycznej duży wydatek i każda dorzucona złotówka będzie bardzo cenna. 39 osób poczuło, że chętnie przez chwilę zostanie mecenasem utalentowanego muzyka.

Sukcesem zakończyło się również wiele innych kwest na rzecz osób pragnących szlifować swoje uzdolnienia lub docierać z nimi do nowych odbiorców. Dzięki udanym kampaniom z wykorzystaniem Zrzutki.pl trzy dziewczynki ze Szczecinka ćwiczące

autorzy podcastu politycznego Dwie Lewe Ręce, Marcin Giełzak i znany z naszych łamów Jakub Dymek (za pośrednictwem Patronite.pl otrzymali już łącznie ponad 25 tys. zł od słuchaczy swoich analiz i wywiadów), oraz trzyosobowa redakcja portalu dla... miłośników Konkursu Piosenki Eurowizji. Odbiorcy Eurowizja.org wpłacili na ich zrzutkę 2,6 tys. zł, pokrywając w ten sposób część kosztów relacji na żywo z tegorocznego finału imprezy, odbywającego się w Liverpoolu.

NIE TRZEBA BAĆ SIĘ ZRZUTEK

Skąd mogę mieć pewność, że moja wpłata trafi do organizatora zbiórki?

Zrzutka.pl sp. z o.o. uzyskała pozwolenie na działalność w charakterze tzw. krajowej instytucji płatniczej, a więc ma status taki jak operatorzy płatności, których znamy z zakupów w sklepach internetowych (PayU, Przelewy24, Dotpay, Tpay). Działalność firmy jest nadzorowana przez Komisję Nadzoru Finansowego, a jej własne środki muszą być oddzielone od tych wpłaconych przez użytkowników platformy na wskazane przez nich zrzutki. Nie musimy zatem obawiać się tego, że np. ewentualna niewypłacalność właściciela portalu uniemożliwi jego rozliczenie się z organizatorami zbiórek.

W jaki sposób Zrzutka.pl zapobiega oszustwom?

Platforma wypracowała wiele mechanizmów minimalizujących ryzyko nadużyć ze strony zbierających pieniądze za jej pośrednictwem. Po pierwsze, ich tożsamość jest potwierdzana. Po drugie, po przekroczeniu określonej sumy wpłat lub na wniosek organizatora zrzutki obsługa serwisu weryfikuje jej wiarygodność (m.in. informacje przedstawione

w opisie akcji) oraz sposób dotychczasowego wydatkowania środków, np. żądając przedstawienia faktur. Po trzecie, kontrolą skutkuje nawet pojedyncze zgłoszenie w sprawie potencjalnej nieuczciwości prowadzącego zbiórkę. W uzasadnionych przypadkach serwis blokuje możliwość dalszych wpłat, a jeśli podejrzenia się potwierdzą – zwraca pieniądze darczyńcom.

Czy od zebranych środków muszę zapłacić podatek?

Jeśli zorganizujesz zrzutkę i żaden z wpłacających nie przekaze na nią więcej niż 5308 zł (ani suma jego darowizn na twoją rzecz w ciągu ostatnich pięciu lat nie przekroczy tej kwoty), wówczas nie zapłacisz fiskusowi ani grosza – tyle bowiem wynosi kwota wolna od podatku od darowizn od osób niespokrewnionych. Od nadwyżek nad kwotą wolną należy zapłacić 12% podatku.

Kiedy otrzymam zebrane pieniądze?

Każda wpłata jest księgowana już po mniej więcej minucie od jej zlecenia przez wpłacającego. Zgromadzone środki możesz pobierać, kiedy chcesz i tak często, jak tego potrzebujesz, a dzięki opcji ekspresowych wypłat trafią one na twoje konto w ciągu kilku minut od wydania takiej dyspozycji.

Z Galicji



Jan Widacki

Dryfowanie polskiej nauki

Niedawno na łamach „Polityki” ukazał się wywiad z prof. Stanisławem Mazurem, rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. W wywiadzie tym rektor nie tylko trafnie wskazuje słabe punkty nauki polskiej, ale też docieka ich przyczyn, przewiduje konsekwencje w przyszłości i sugeruje działania zaradcze. Wydawać by się mogło, że „Polityka” czytana jest w środowiskach naukowych, więc wywiad i postawione w nim tezy spotkają się z szerokim odzewem. Nic takiego się nie stało. A szkoda. Oczywiście są gorące, doraźne tematy – wojna na Ukrainie, coraz brutalniejsza kampania wyborcza (choć termin wyborów jeszcze niezany), premier bijący rekordy chamstwa. Czymże bowiem, jak nie okropnym chamstwem i oszczerstwem było chociażby lekko rzucone zestawienie Prigożyna i grupy Wagnera z Tuskiem i „grupą Webera”? Z innej beczki: kompletny niewypał Igrzysk Europejskich i rozważania,

Spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nauka polska znajduje się w tym miejscu, w którym obecnie się znajduje.

ile to coś kosztowało. A to znów wieszcz Jackowski ma okropne wizje nadchodzącej katastrofy (i Onet znów te brednie bezkrytycznie upowszechnia w swoim serwisie). No, dzieje się. Kto by w takim ciekawym czasie przejmował się kondycją nauki?

W odróżnieniu jednak od tego, z czym mamy do czynienia na bieżąco, co ważne jest może na dziś, może nawet na jutro, kondycja polskiej nauki i szkolnictwa wyższego jest ważna na dziesięciolecia. Pomijam już sławny cytat z Jana Zamoyskiego, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, który każdy zna (choć często przypisuje innemu autorowi), ale mało kto wyciąga z niego jakiegokolwiek wnioski. Takie będą nasze elity intelektualne jutro i pojutrze, jakie są uniwersytety dziś. Nie o elity jako takie wszak chodzi. Od dzisiejszego poziomu nauki polskiej w perspektywie lat zależeć będzie innowacyjność i konkurencyjność naszej gospodarki, a w konsekwencji także poziom życia obywateli oraz, co szczególnie teraz ważne, siła naszej armii.

A jakie są nasze uniwersytety, każdy widzi. No, może nie każdy. Ale każdy, kto zagląda do międzynarodowych rankingów uniwersytetów. Gdy tam zajrzy, zobaczy, że najlepsze polskie placówki w światowych rankingach placzą się w trzeciej lub czwartej setce (w jednym z rankingów jeszcze niżej), wyprzedzane nie tylko przez najlepsze uniwersytety amerykańskie, brytyjskie czy niemieckie, ale również przez dziesiątki uniwersytetów z krajów zaliczanych niegdyś do Trzeciego Świata. Czy ktoś próbował dociec, dlaczego tak jest? Nie ma podstaw, by twierdzić, że polscy naukowcy lub studenci z natury są głupszy od zagranicznych kolegów. Przeciwnie. Gdy pracują lub studiują na dobrych zagranicznych uczelniach, w niczym nie ustępują miejscowym. Z całą pewnością to nie materiał ludzki powoduje, że nauka polska ustępuje nauce zagranicznej, a co więcej, że dystans między nauką polską a zagraniczną zamiast się zmniejszać, z każdym rokiem rośnie i z każdym rokiem trudniej go nadrobić.

Zamiast dobrze lokować pieniądze w najlepszych ośrodkach naukowych i najwartościowszych badaniach, mnoży się marne publiczne szkoły wyższe, prowincjonalne uniwersytety, mnoży się marna, źle opłacana kadra naukowa, pozorująca (czasem nieświadomie, ale to jeszcze gorzej!) pracę naukową. Marni profesorowie na marnych uczelniach produkują jeszcze marniejszych doktorów i doktorów habilitowanych. Gdybyż jeszcze rządili marksści, można by podejrzewać, że oni naprawdę wierzą, że ilość przechodzi w jakość. Otóż nie przechodzi, szczególnie w nauce. Dwa tuziny półgłówków nie stworzą tyle samo, ile tuzin mędrców! Co więcej, tak jak marny pieniądź wypiera pieniądź lepszy (jak to odkrył swego czasu Kopernik), również rzesze marnych uczonych wyprą uczonych lepszych. To oni będą recenzować, promować, popierać lub krytykować. Oni będą pisać marne prace, których zalew już dziś jest przerażający, obniżać standardy badań naukowych i poziom nauczania. To oni będą dostarczać władzy argumentów, wspierając ją swoimi opiniami, ekspertyzami.

„Przegląd” czyta wielu pracowników nauki. Zachęcam do dyskusji. Spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nauka polska znajduje się w tym miejscu, w którym obecnie się znajduje. A w którym? Popatrzmy na międzynarodowe rankingi.



PORNOGRAFIA W SEJMIE

Polityka zamiast realnych działań

Kornel Wawrzyniak

Politycy twierdzą, że od 1 września będą chronić dzieci. Jednak blokada pornografii to jedynie przedwyborcza zagrywka. Dlaczego prawie jednogłośnie przegłosowany w Sejmie projekt nie ma szans działać?

– Pierwszy film porno obejrzałem, gdy miałem 12 lat. Znalazienie odpowiedniej strony i wejście na nią już wtedy nie stanowiło żadnego problemu, a działo się to kilkanaście lat temu, nie było wtedy w sieci tylu stron dla dorosłych. Filmy pornograficzne, które są mocno przesadzone, w krótkim czasie bardzo mnie wciągnęły. Miałem wręcz obsesję, żeby chociaż raz dziennie obejrzeć kilka minut. Być może właśnie dlatego swoją inicjację seksualną przeżyłem już jako 15-latek i od razu na wiele lat straciłem zainteresowanie seksem. To było rozczarowanie – wyznaje 28-lletni Wojtek.

Dziś, dzięki łatwemu dostępowi do internetu, z pornografią mają styczność nawet siedmioletnie dzieci. Eksperci zajmujący się seksuologią i psychologią jednogłośnie uznają, że kontakt dzieci z filmami dla dorosłych jest zjawiskiem niebezpiecznym w każdym możliwym aspekcie. Od reakcji młodego organizmu na wyrzut dopaminy do mózgu, który wywołują filmy porno, przez przekłamaną obrazostunków płciowych, które w tego typu

nagraniach są pełne fizycznej i słownej agresji, aż po wyrzuty sumienia, że robi się coś złego, o czym mogą dowiedzieć się rodzice. Porno w przypadku dzieci nawet na socjalizację wpływa destrukcyjnie.

Ruchy pozorowane

W ograniczeniu dzieciom dostępu do treści pornograficznych mają pomagać tzw. blokady rodzicielskie, które można uruchomić zarówno w smartfonie, jak i w komputerze. Wyłączają one dostęp do określonych stron internetowych lub aplikacji. I choć brzmi to obiecująco, badania Urzędu Komunikacji Elektronicznej pokazują niestety, że z programów do kontroli rodzicielskiej korzysta zaledwie 40% rodziców.

Tymczasem dane o dostępie osób niepełnoletnich do stron pornograficznych są przytłaczające. Z raportu Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej (NASK) „Nastolatki wobec pornografii cyfrowej” wynika, że ponad 72% ankietowanych dzieci i młodych osób deklaruje, że w internecie łatwo znaleźć treści o charakterze pornograficznym. Z czego ponad 50% respondentów chociaż raz je oglądało. Co czwarty badany nastolatek ogląda treści pornograficzne codziennie, wśród dzieci zaś – ponad 20%. Średni wiek, w którym dziecko w Polsce ma dzisiaj pierwszy kontakt z pornografią,

to zaledwie 11 lat. Badanie NASK wskazuje też, że kontrola rodzicielska nie stanowi dla młodszych użytkowników żadnej przeszkody – 38% ankietowanych stwierdziło, że kontrola rodzicielska nad oglądanymi przez nich treściami jest nieskuteczna. – Wszystko rozbija się o pewne skomplikowanie systemów blokady rodzicielskiej. Pracuję w szkole z dziećmi i widzę, że rodziców to ciągle zatwierdzanie i sprawdzanie, co dziecko ogląda, frustruje lub nawet nudzi. Niestety, wymaga to ogromnej cierpliwości i wręcz aptekarskiej precyzji. A ja nawet kilka razy dziennie tąpnię dziecaki na oglądaniu filmów porno na smartfonach – opowiada Beata, 40-letnia nauczycielka z Gdańska.

Według Ministerstwa Cyfryzacji problem pornografii wśród dzieci i młodzieży ma rozwiązać ustawa przyjęta przez Radę Ministrów w maju br. Politycy chcą, aby firmy dostarczające usługi telekomunikacyjne były zobligowane do zapewnienia abonentom takich mechanizmów, które na życzenie użytkowników wprowadzą ograniczenia treści nieodpowiednich dla małoletnich. W czerwcu ustawa trafiła do Sejmu i została prawie jednogłośnie przyjęta. Ma wejść w życie od 1 września 2023 r.

I choć w projekcie po konsultacjach społecznych doprecyzowano, czym są treści pornograficzne, nadal zdaje się

on niczym więcej jak przedwyborczym picem na wodę. Ustawa napisana jest tak, aby coś robić, ale nic nie zrobić. Są to ruchy pozorowane, które znamy bardzo dobrze z działań PiS podczas pandemii, kiedy ustalano nowe obstrżenia i zmieniano np. dopuszczalną odległość między ludźmi z 2 m na 1,5 m albo zamykano lasy.

Blokadą stron porno mają się zająć według projektu resortu cyfryzacji operatorzy telekomunikacyjni do spółki

NASK, aż 60% i tak nie ma pojęcia, jak się zabrać do uruchomienia kontroli rodzicielskiej.

Operatorzy telekomunikacyjni od dawna oferują usługi, które blokują strony z pornografią. Problem polega na tym, że użytkownicy często nie są świadomi ich istnienia, a poza tym trudno, żeby znali wszystkie portale z treściami dla dorosłych. Nie zmienia to jednak faktu, że są dostępne narzędzia, które w jakimś stopniu ułatwiają ochronę młodych w sieci. Dziś każda z takich usług jest dodatkowo

płatna. Plus oferuje aplikację ochronny rodzicielskiej za 4 zł miesięcznie dla dwóch urządzeń. Play życzy sobie już 10 zł, a nawet 20 zł za program Bezpieczna Rodzina. T-Mobile za 6 zł miesięcznie oferuje Dzieci w sieci. Najciekawiej jest zaś w Orange, bo można płacić 10 zł za usługę Bezpieczne Dziecko w Sieci albo 0 zł za włączenie specjalnego filtra Cyber Ochrona, który ma możliwość blokowania stron z pornografią.

NASK stworzyła zaś darmową aplikację mOchrona. Służy ona do monitorowania aktywności dziecka w sieci.

pornograficznych. Przy czym nie mówimy tutaj o działaniach takich jak w Indiach, gdzie z nakazu rządowego zablokowano z dnia na dzień dostęp do 827 stron oferujących pornografię. Wystarczy spojrzeć na własne podwórko. Przecież można zadziałać dokładnie tak samo jak w przypadku ustawy hazardowej, gdy dostawcy usług telekomunikacyjnych dostali od strony rządowej listę stron do zablokowania. Tymczasem według ludzi od ministra Cieszyńskiego firmy telekomunikacyjne same mają wybrać, co uważają za strony dla dorosłych, z uwzględnieniem wytycznych zawartych w ustawie, które brzmią: „Wszelkie treści ukazujące rzeczywiste lub symulowane zachowania o charakterze seksualnym, w tym prezentujące różne formy kontaktów seksualnych oraz przedstawiające organy płciowe w funkcjach seksualnych”. Równie dobrze z marszu można zablokować część witryn należących do muzeów, które w kolekcjach mają takich klasyków malarstwa jak Picasso, Rubens czy część przedstawicieli renesansu, których twórczość nacechowana była metaforą dotyczącą seksu.

Na dodatek to rodzice mają zgłaszać operatorom, że chcą coś zabloko-

Średni wiek, w którym dziecko w Polsce ma dziś pierwszy kontakt z pornografią, to 11 lat.

z rodzicami, którzy mają zgłaszać swoim dostawcom internetu, jakie treści ich zaniepokoiły. Ministerstwo Cyfryzacji tłumaczy, że wzorowało się na prawodawstwie innych państw. Problem polega na tym, że zrobiono wszystko dokładnie odwrotnie, niż postępuje się za granicą. Ministerstwo powołuje się w ustawie m.in. na Niemcy czy Wielką Brytanię. Wszędzie tam zastosowano prosty trik – wymaga się od stron pornograficznych, aby rzetelnie weryfikowały wiek użytkowników. Te zaczęły więc po prostu wymagać skanu dokumentu tożsamości, zanim ktoś będzie mógł się zalogować. Nasze ministerstwo twierdzi tymczasem, że taka praktyka byłaby naruszeniem prywatności użytkowników, więc z tego najprostszego i skutecznego mechanizmu zrezygnowało. W krajach, gdzie wymagana jest taka weryfikacja, same pornoportale stworzyły odpowiednie narzędzia, zapewniając klientom anonimowość.

Bezpieczeństwo dziecka kosztuje

Głównym założeniem projektu proponowanego przez Ministerstwo Cyfryzacji jest właściwie sprawienie, aby obecnie płatne narzędzia oferowane przez usługodawców telekomunikacyjnych do ochrony przed treściami 18+ stały się darmowe. Nawet więc w założeniu nie jest to blokada, jak szumnie ogłaszano, lecz ograniczanie dostępu. Można się zastanawiać, czy rząd daje w takim razie cokolwiek od siebie, skoro cała odpowiedzialność nadal ma spoczywać na rodzicach, z których, jak wykazała sama rządowa

Cała odpowiedzialność nadal ma spoczywać na rodzicach, z których aż 60% nie ma pojęcia, jak uruchomić kontrolę rodzicielską.

Ma też funkcję blokowania pewnych kategorii stron. Wszystko to brzmi bardzo obiecująco, jednak rozbija się o brutalną rzeczywistość. Według dr. Rafała Langego z NASK codziennie powstaje 300 stron pornograficznych. Na dodatek w każdej minucie do sieci trafia 13,5 GB nowych treści dla dorosłych. Zdaniem badacza dziecko w sposób nieunikniony trafi w pewnym momencie na treści pornograficzne. Przy takiej skali monitorowanie i wykluczanie kolejnych stron dla dorosłych jest właściwie niemożliwe. Tym bardziej przez poszczególnych rodziców.

W swoim projekcie Ministerstwo Cyfryzacji przerzuca całą odpowiedzialność na podmioty zewnętrzne. Nikt po rządowej stronie nie kwapie się do stworzenia listy portali

wać. W przytaczanym wyżej badaniu NASK niemal 24% dzieci i nastolatków deklarowało, że w domu nigdy nie zakazano im oglądania pornografii, a prawie 34% ankietowanych nie potrafiło określić, jaki jest stosunek rodzica do takich treści. Rodzice po prostu tego nie ogarniają, bo sami nie są w żaden sposób wyedukowani seksualnie.

Kapitał polityczny kosztem dzieci

Zdaje się, że rząd jak zwykle zabiera się do rzeczy, w szczytnym celu, nie od tej strony co trzeba. Przecież wystarczyłoby wymagać większej odpowiedzialności od stron oferujących pornografię, pod rygorem szybkiego i permanentnego ich zablokowania. ▶

► Wystarczyłoby, aby pisowski rząd odrzucił na moment swoją fasadową pruderię i potraktował portale z porno jak przedsiębiorstwa, które boją się utraty zysków. Nie trzeba udawać, że walczy się z jakimś wcielonym złem. Wystarczy wprowadzić regulacje, zamiast zrzucać odpowiedzialność na użytkowników.

Sensownych rozwiązań za granicą jest zaś sporo. Mówiliśmy już o Niemczech czy Wielkiej Brytanii. W amerykańskim stanie Utah wprowadzono bardzo podobne przepisy – strony z treściami dla dorosłych mają obowiązek weryfikować wiek użytkowników. Najbardziej znany serwis z pornografią, czyli Pornhub, po wprowadzeniu tego prawa natychmiast zaczął blokować użytkowników logujących się z adresów internetowych z Utah. Portal nie chciał dostosować się do nowego prawa, więc odciał dostęp wszystkim użytkownikom z tej okolicy. Ale nie miał też wyjścia, bo gdyby złamał prawo, wyciągnięto by przewidziane przepisami konsekwencje. Natomiast polski resort cyfryzacji grozi karami, ale przedsiębiorcom,

którzy zapłacą, jeśli np. w salonie fryzjerskim da się poprzez firmowe WiFi obejrzeć film porno, siedząc z farbą na głowie. – Naszym zdaniem najsukcesowniejse byłoby wdrożenie i stosowanie przez portale pornograficzne narzędzi weryfikacji wieku – mówi Katarzyna Nowicka ze Stowarzyszenia Twoja Sprawa, która od lat zajmuje się walką o ograniczenie dostępu dzieci do pornografii.

Podobną opinię wyrażają przedstawiciele Polskiej Izby Informatyki i Telekomunikacji. Nie zgadzają się z przewidzianym w ustawie sposobem ograniczenia pornografii. „Projektowana ustawa wszystkie obowiązki związane z ochroną małoletnich przed treściami pornograficznymi składa na barki polskich dostawców internetu, nie nakładając absolutnie żadnych obowiązków na dostawców treści pornograficznych – zwraca uwagę PIIT w 24-stronicowym dokumencie, w którym dalej czytamy: – Projektowana ustawa wydaje się nie dostrzegać istniejących, w tym finansowanych ze środków publicznych, rozwiązań służących ochronie małoletnich. Wreszcie

projektowana ustawa, zamiast budować na istniejących przepisach prawa służących ochronie małoletnich przed kontaktem z treściami pornograficznymi (np. przepisach Kodeksu karnego), ignoruje fakt ich istnienia”.

Oczywiście kto będzie chciał porno obejrzeć, ten do niego dotrze. Skoro jest technologia mogąca blokować dostęp do czegoś, powstaje natychmiast taka, która ten dostęp ułatwi. Jak zwykle wystarczy wpisać odpowiednią frazę w wyszukiwarkę internetową, aby dotrzeć do stosownej instrukcji i programu. Nie zmienia to jednak faktu, że ograniczenie młodemu osobom dostępu do treści pornograficznych jest konieczne. Musi to być zrobione w sposób przemysłowy, a nie za pomocą ustawy pisanej na kolanie, bo wynik tej potyczki, co już wiemy, będzie mizerny. Ustawa ma wejść w życie półtora miesiąca przed wyborami. PiS będzie zbijało kapitał polityczny na pozornej walce z pornografią. Szkoda, że odbędzie się to kosztem dzieci.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



W bieżącym numerze także:

- Ha-Joon Chang
Jak zaniedbujemy fundamenty naszej gospodarki
- Adam Leszczyński
Na Zachodzie nas szkalują, że mamy niewolników
- Ryszard Jamka
Ponowne odkrycie Rabacji
- Jean-Numa Ducange
Czas rad robotniczych

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Wieczny dramat kobiet

Kolejna kobieta w ciąży zmarła, nie otrzymawszy pomocy lekarskiej. Tragedia. Gdyby to mężczyźni rodziła dzieci, sytuacja taka nigdy nie miałaby miejsca. Oddziały położnicze byłyby luksusowo wyposażone, a lekarzy by nie brakowało. Nikt też nie wpadłby na pomysł tak restrykcyjnego prawa antyaborcyjnego. To już setki, jeśli nie tysiące lat cierpień, które kobiety muszą znosić tylko dlatego, że są kobietami. Niepytane o zdanie w swoich sprawach. Mężczyźni wszak zawsze wiedzą lepiej. Są gotowi urządzić życie kobiet wedle swoich wyobrażeń. Na szczęście gdzieś tam, wyspowo, sytuacja kobiet znacznie się poprawiła. Na przykład w krajach skandynawskich.

A w Polsce? Wątpię. Córka mojej przyjaciółki się rozwiodła. Jej były mąż wyrzucił ją z mieszkania, które kupili wspólnie, nie chce płacić alimentów. Żałośnie niskich. I co? I nic. Przyzwolenie na tego typu praktyki jest w naszym kraju powszechne, a długi alimentacyjne rosną w nieskończoność. Uznaje się jednak, że to kobiety, nie mężczyźni mają dzieci. Dlatego ci z reguły odchodzą, gdy okazuje się, że dziecko jest niepełnosprawne. I tak oto wszędzie wołało pełno kobiet samotnie dźwigających ciężary życia. Oraz facetów, którzy nigdy nie dorośli, całe dni i noce spędzają na grach komputerowych, popijaniu piwa z niemądrymi politykami i narzekaniu w internecie na swój ciężki los, wynikający z tego, że spora część kobiet nie życzy sobie mieć w domu pana tyrańskiego albo darmozjada.

A przecież nie tak miało być. Nasza pokojowa rewolucja z 1989 r. niósła nadzieję na równość, także w wymiarze relacji kobiet i mężczyzn. Przynajmniej tak mi się wydawało, gdy z entuzjazmem brałem w niej udział. Dopiero wiele lat później, uświadomiony przez swoje koleżanki, zwróciłem uwagę na to, że od początku była to rewolucja mężczyzn, choć często największe jej koszty ponosiły kobiety; one też z reguły stały za mężczyznami poświęcającymi się Wielkiej Zmianie. Męskocentryczny świat znany nam od setek lat, jeśli nie od tysięcy, również w tym wypadku wyrzucił kobiety na margines i zatarał ślad ich działań.

Podobne mechanizmy istniały i wciąż istnieją w nauce. Kobiety pracowały nad ważnymi odkryciami naukowymi, lecz gdy te już się dokonywały, cały splendor spadał na kolegów naukowców. Emblematyczny jest przypadek Rosalind Franklin, która w istotny sposób przyczyniła się do odkrycia budowy DNA, lecz cała chwała stała się

udziałem jej bezwzględnych w dążeniu do sukcesu i sławy kolegów – Francis Cricka i Jamesa Watsona (Nagroda Nobla w 1962 r.).

A teraz obrazek z mojego życia. W 1990 r., gdy byłem profesorem w St John's College w Cambridge, jego master, czyli rektor, prof. Robert Hinde, światowej sławy psycholog, człowiek uroczy i postępowy, postanowił zacząć zatrudniać kobiety jako profesorki, co w tym studenckim koedukacyjnym, lecz profesorsko męskim koleżu wywołało istną burzę. Nigdy nie zapomnę moich kolegów (*fellows*) narzekających, że świat schodzi na psy, a szacowny St John's College przestaje być tym, czym był. O czym będę rozmawiać z kobietami przy ciągłych godzinach i suto zakrapianych kolacjach? Bidulki. Gdy mówiłem, że w pełni popieram działania mastera, machano na mnie ręką, mówiąc, że mój pogląd to wynik komunistycznego wychowania i nie można mnie traktować serio. Przez lata jako jedyny na moim uniwersytecie uczyłem

zyczliwie o feminizmie.

I zawsze miałem wrażenie, że traktuje się to jak dziwactwo.

Dziś jest oczywiście lepiej.

Do nauki weszło pokolenie młodych kobiet, które nie

mają kompleksów i słusznie domagają się uznania i szacunku. Coraz trudniej usłyszeć opinię, w mojej młodości powszechną, że kobiety nie nadają się do uprawiania filozofii, szerzej – nauki. Jako dowód podawano często, że nigdy ich w dziejach tej dyscypliny nie było. Ale jak miały być, skoro nikt nie pozwalał im nawet spróbować? Mężczyźni najpierw blokowali ścieżki edukacyjne kobiet, aby potem orzec, że one nigdy niczego się nie nauczą. Odsyłali kobiety do robótek ręcznych i kuchni, aby potem narzekać, że nie mają z nimi o czym rozmawiać. Traktowali je jak gorszy gatunek człowieka, by potem się dziwić, jak kobiety mogą być tak zastraszone i uległe.

Jednak tym, co najbardziej mnie smuci, jest mający czasami miejsce brak solidarności kobiet z kobietami. Gdy jednego z moich kolegów naukowców słusznie oskarżono o molestowanie seksualne i psychiczne znęcanie się nad młodymi kobietami, w jego obronie stanęły kobiety. Nie mogłem tego zrozumieć i nadal pozostaje to dla mnie zagadką. Przypominam sławne słowa Alberta Camusa: „Buntuję się, więc jestem”. Pora na bunt kobiet. I na solidarność. Kobiet i z kobietami. A także na czujne przyglądanie się postępowaniu tych polityków, którzy kiedyś nie kiwnęli palcem w obronie spraw kobiet, a dziś deklarują, że są po ich stronie. ■

Pora na bunt kobiet. I na solidarność. Kobiet i z kobietami.

USA: Polaryzacja ponad wszystko

Kapitalizm zawiódł młode pokolenie Amerykanów, które wie, że będzie miało gorzej niż poprzednie generacje

Rozmawia Jakub Dymek

W którym miejscu jest dziś Ameryka na linii od globalnego hegemonu do państwa walczącego z tendencjami rozsadzającymi je od środka?

– Obserwujący Amerykę z zewnątrz, a szczególnie z naszej części Europy, widzi globalne imperium. Amerykanin zaś, jeśli sięga pamięcią nieco dalej w przeszłość – raczej kraj, który najlepsze lata ma za sobą. Widzi ogromne podziały polityczne,

ELIZA SARNACKA-MAHONEY

biedę i niesprawiedliwość dotyczącą milionów ludzi, bałagan i dysfunkcyjny model ustrojowy. Dlatego nie wyklucza nawet nowego podziału, jeśli nie wojny domowej.

I dlatego liderzy obu największych partii, Trump i Biden, obiecują powrót do tego, co już było? Trump mówi, że „uczyni Amerykę znów wielką”, Biden, że „Ameryka wróci na swoje miejsce”.

– Politycy wiedzą, co wyborca chciałby od nich usłyszeć. A wśród wyborców nie brakuje tych, którzy chcą większej stabilizacji, czasów sprzed globalizacji, mniejszych nierówności. Kandydaci na prezydenta grają więc oczywiście na tej tęsknocie, ale nie tylko. Bo język „powrotu do przeszłości” mówi też o realnych problemach: spadku realnych płac, mniejszej siły nabywczej przeciętnej pensji, słabszej przewadze amerykańskiego konsumenta nad resztą świata itd. Nie dla wszystkich klas społecznych, regionów czy pokoleń zmiany wywołane przez globalizację były korzystne.

A do tego dochodzi poczucie schyłkowości związane z pozycją globalnego hegemonu...



– Tak. Ale też nie można o tym rozmawiać bez wspomnienia o różnicach pokoleniowych, które pozwalają zrozumieć podziały we współczesnej Ameryce. Pokolenia, które pamiętają czasy bezkonkurencyjnej dominacji USA w świecie, są czasem zabetonowane w swojej nostalgii. Ci ludzie pamiętają, że było dobrze, sami się czegoś dorobili, więc są w bardzo wygodnej

Kontrakt społeczny, który obiecywał każdemu kolejnemu pokoleniu lepsze życie, załamał się?

– Myślę, że tak. Kapitalizm w jego obecnym wcieleniu przestał się sprawdzać. Mechanizmy, które kształtują system ekonomiczny w USA, zawiodły ludzi – generują olbrzymie nierówności i podziały społeczne bez nadziei, że ten trend się odwróci, prowadzą do pauperyzacji

W najbliższych wyborach ważniejsza może się okazać cena benzyny niż los Ukrainy.

pozycji do narzekania – bo nawet jeśli się pogorszy, ich samych to już nie dotknie aż tak bardzo. Starsze pokolenie jest również dość odporne na krytykę Ameryki. Z kolei młodsza generacja – odwrotnie. Żywo interesuje się tym, co dzieje się gdzie indziej na świecie, i ma świadomość, że są kraje, w których w wielu sferach życia państwo i społeczeństwo są urządzone lepiej niż USA. Wie, że system ekonomiczny jest egalitarny, instytucje publiczne działają tam sprawniej, a ochrona zdrowia czy edukacja są bardziej dostępne. I zastanawia się, co i jak w systemie zmienić, by żyło się lepiej. To tworzy interesujące rozłamy psychologiczne w amerykańskim społeczeństwie. Bo młodzi są także dużo bardziej skłonni przychylić się do głosów krytyki wobec USA na arenie globalnej. Czasami wręcz przyjmują tę krytykę USA i negatywne opinie o roli Waszyngtonu w świecie aż nazbyt jednoznacznie.

milionów. Kurczy się klasa średnia, a ludzie, którzy do niej dziś należą, mogą sobie z jednej pensji pozwolić na dużo mniej niż w poprzednich pokoleniach – stoją za tym twarde wyliczenia. Rzesze osób ciężko i uczciwie pracujących, zamiast awansować ekonomicznie, trafiają zaś do grupy zwanej...

Kult sukcesu w Ameryce nadal obowiązuje.

...pracującymi biednymi?

– No właśnie. Bo tak to się nazywa, gdy pracujących na cały etat – i o nich również piszę w książce – nie stać na wynajem dwupokojowego mieszkania. Od kilkunastu lat w niektórych stanach nie podnoszono godzinowej stawki minimalnej – mamy za sobą najdłuższy okres w historii, gdy nie podniesiono jej także na poziomie federalnym. Są branże, np. gastronomia, w których pracownik, aby zarobić na mieszkanie nie

w najdroższej, ale zwyczajnej okolicy, musiałby pracować 80-90 godzin w tygodniu – to jest zwyczajnie nierealne w XXI w. I tu wracamy do tego, jak młodzi Amerykanie postrzegają świat. Widzą, że w zamożnych państwach Europy nie jest może idealnie, ale na tyle udało się uregulować rynek pracy, mieszkań czy system edukacji, że młodym łatwiej wejść w dorosłość. Jeśli więc kontrakt społeczny polega na tym, że elity polityczne uzyskują legitymację w zamian za walkę o lepsze życie przyszłych pokoleń, to dziś Waszyngton wypełnia to zobowiązanie bardzo nieudolnie. A z braku wizji bierze się to, że obie partie nawołują dziś do powrotu do przeszłości.

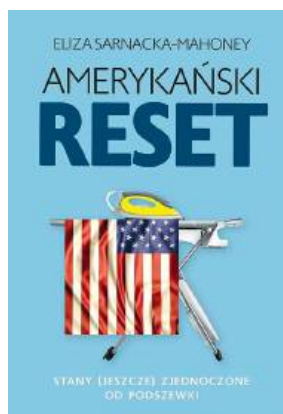
To coś, w co Polacy mogliby nie uwierzyć, ale są okresy, gdy prezydent Biden – „przywódca wolnego świata” – ma nawet gorsze notowania, niż miał w tym samym momencie kadencji Donald Trump. Polityka zagraniczna wobec Ukrainy, NATO,

Rosji, energetyki nie jest dla sympatii wyborców tak istotna jak np. inflacja.

– Ale też polaryzacja stała się tak olbrzymia, że żaden przywódca – czy to demokrat, czy republikanin – nie ma już szans na szerokie zaufanie społeczne. Te wyniki siłą rzeczy są więc wypaczone względem czasów Reagana czy Kennedy’ego. Nawet najlepszy prezydent demokratyczny nie znajdzie poparcia u zwolenników republikanów i na odwrót. Pole kompromisu się zawęża, nie tylko na poziomie Kongresu. Polaryzacja, co może nawet gorsze, jest już w polityce lokalnej i na poziomie bliskim człowiekowi, gdzie dotychczas zatapiało się większość rzeczy. Powoduje ona, że jedni będą bezmyślnie bronić wszystkiego, co zaproponują republikanie, drudzy zaś wszystkiego, co wyjdzie z obozu demokratów.

I to sprawia, że wyborcy są – jak to określili niedawno amerykańscy politolodzy – skostniali w swoich wyborach.

Eliza Sarnacka-Mahoney – dziennikarka i pisarka, z wykształcenia anglistka, związana z mediami w Polsce i USA, korespondentka amerykańska i publicystka m.in. „Dziennika Gazety Prawnej”, „Przeglądu”, „Nowego Dziennika” (Nowy Jork), „Gazety” (Toronto) specjalizująca się w zagadnieniach społecznych i politycznych, a także ekspertka ds. dwujęzycznego wychowania związana z portalem edukacyjno-kulturalnym Dobra Szkoła NY w Nowym Jorku. Autorka nagradzanych książek publicystycznych, poetyckich i powieści. Ostatnio wydała „Amerykański reset. Stany (jeszcze) Zjednoczone od podszewki”. Mieszka w Kolorado.



► – Weźmy wspomnianą przez pana Ukrainę. Mamy Bidena, który nie tylko wychodzi z tej próby nie najgorzej, ale wręcz realizuje politykę tak naprawdę bliższą tradycyjnym celom i wartościom Partii Republikańskiej. Podkreśla znaczenie amerykańskiej potęgi militarnej, buduje sojusz oparty na amerykańskiej dominacji i atlantyzmie, zwiększa budżet Pentagonu, a jego polityka pozwala nakręcać wydatki na zbrojenia. Przecież w normalnych okolicznościach

Ogromny udział w porażce Trumpa mieli właśnie wspomniani przeze mnie młodzi, którzy nie identyfikują się z trumpowską Ameryką. Wyniki ostatnich wyborów uzupełniających z ubiegłego roku pokazały, że tym młodym nie jest po drodze także z wizją forsowaną przez opanowany przez konserwatystów i osoby głęboko religijne Sąd Najwyższy. Zresztą przy okazji upadł mit, że młodzi ludzie są pasywni i nie interesuje ich polityka.

kuleje, ale po linii swoich poglądów na aborcję, prawa mniejszości, politykę imigracyjną. Skoro Trump jest politykiem partii, która reprezentuje jego pogląd w tych sprawach – to ma jego poparcie.

Nie mogę na koniec nie zapytać, jak z tego wybrać. Skoro polaryzacja jest tak definiującą cechą dzisiejszej amerykańskiej polityki, to nie będzie zmian bez wyjścia z tych kolein.

– Powiem tak: jeśli spojrzymy na Białą Dom i Waszyngton, to mówimy o najbardziej wiekowej elicie władzy na świecie. Nie wiem, czy jest inny kraj, w którym mielibyśmy do czynienia z taką gerontokracją jak w Ameryce. Ale młode pokolenie jest wolne od przesądów starszej generacji i nie ma wyjścia, musi szukać rozwiązań, także przychodzących spoza Ameryki. Najmłodsza generacja wie, że długo nie pociągnie, grając na starych zasadach, a walka toczy się o naprawdę najważniejsze sprawy życiowe: godziwe zarobki, bezpieczeństwo publiczne, prawo do opieki zdrowotnej i do nauki, na którą można sobie pozwolić finansowo, a nawet o prawo do urlopu wypoczynkowego i macierzyńskiego,

Współczesny Amerykanin głosuje nie na programy naprawy tego, co w państwie kuleje, ale po linii swoich poglądów na aborcję, prawa mniejszości, politykę imigracyjną.

prawica powinna cieszyć się z tego i mu kibicować!

I sukcesy lub porażki międzynarodowe mają mniejsze znaczenie?

– Za chwilę zaczyna się rok wyborczy, wielu kandydatów już zresztą rozpoczęło swoje kampanie i może się okazać, że kwestia Ukrainy będzie miała dużo mniejsze znaczenie, niż się wydaje. Mówiąc obrazowo: ceny benzyny będą ważniejsze niż los Ukrainy. Dlaczego? Znowu trzeba zrozumieć, co tak naprawdę napędza polaryzację postaw amerykańskich wyborców. Tym paliwem od dłuższego czasu są nie sprawy międzynarodowe, żadna tzw. wielka polityka, ale bardzo osobiste, indywidualne przekonania dotyczące głównie dwóch rzeczy: jakie masz poglądy na aborcję i na sprawy osób LGBT. Jeśli jesteś za, trafiasz do obozu demokratów, jeśli przeciw, do republikanów.

A nie jest tak, że prezydent Biden wygrał dzięki odklejeniu się od tego stereotypu, który demokratom szkodzi – partii zajętej wyłącznie sprawami tożsamościowymi, wojnami kulturowymi, zaspokajaniem różnych intelektualnych politycznych mód?

– Nie zgadzam się. My dalej tkwimy w pułapce wojen kulturowych. Moim zdaniem nie to było kluczowe. W zwycięstwie Bidenowi pomogło raczej zmęczenie Trumpem. A przede wszystkim niesmak i lekka panika przed utratą przez USA prestiżu i wiarygodności w oczach świata.

Ale Trumpa składano do grobu już wielokrotnie. Ostatecznie miała go odsunąć afera #Russiagate, potem oskarżenia o szantażowanie Ukrainy i pierwszy impeachment, potem wyrzucenie z platform cyfrowych, 6 stycznia i drugi impeachment... I dalej jest wiodącym kandydatem wśród republikanów w wyścigu o nominację.

– Trump jest biznesmenem i jakieś sukcesy odniósł – tego odmówić mu nie można. A to jest wciąż ważne,

W niektórych stanach od kilkunastu lat nie podnoszono godzinowej stawki minimalnej.

kult sukcesu w Ameryce nadal obowiązuje. Ktoś, kto może się pochwalić sukcesem, dostaje dużo większy kredyt zaufania na start – bo już się sprawdził w biznesie. Co więcej, na rzecz popularności Trumpa pracowały wszystkie przysługi, które jako prezydent oddał biznesowi, zwłaszcza ulgi podatkowe. Bo choć reforma podatkowa była promowana zupełnie inaczej, bardzo szybko się okazało, że na obniżkach podatków zyskały przede wszystkim wielkie korporacje, a nie zwykły człowiek, którego Trump rzekomo brał w obronę. Dziś z kolei na rzecz Trumpa pracuje głównie podział światopoglądowy, o którym mówiłam. Współczesny Amerykanin głosuje nie na programy naprawy tego, co w państwie

bo tych Amerykanie wciąż ustawowo nie mają. Może więc się okazać, że szybciej porzucimy dotychczasowy model życia w USA, niż nam się wydawało.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Tajne więzienia i tortury

Raport Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka

Marek Czarkowski

„Jeśli zastrzelą mnie na punkcie kontrolnym, nie okazuj żadnych emocji i idź dalej. Dopiero potem będziesz mogła płakać”, instruował żonę na przejściu granicznym mężczyzna z obwodu donieckiego. To zdanie pochodzi z raportu „Zatrzymanie osób cywilnych w związku ze zbrojnym atakiem Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. 24 lutego 2022-23 maja 2023” opublikowanego pod koniec czerwca br. przez działające w Kijowie Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka (OHCHR). Jego pracownicy udokumentowali 864 indywidualne przypadki arbitralnego zatrzymania cywilów przez żołnierzy lub funkcjonariuszy Federacji Rosyjskiej, w tym 763 mężczyzn, 94 kobiety i siedmiorga dzieci. Część to tzw. zniknięcia, czyli zatrzymania, a następnie przetrzymywanie ludzi w tajnych więzieniach lub aresztach bez powiadamiania bliskich.

Wielu obywateli ukraińskich stało się ofiarami prowadzonej przez funkcjonariuszy Federacji Rosyjskiej na zajętych terytoriach „filtracji”, której celem było zidentyfikowanie żołnierzy ukraińskich, funkcjonariuszy służb porządkowych i specjalnych oraz przedstawicieli władz administracyjnych. Wystarczyło podejrzenie lub donos, by znaleźć się za kratami, w piwnicy lub w mieszkaniu zamienionym w tajny areszt.

Do podobnych zdarzeń dochodziło także w Ukrainie. Pracownicy Biura Wysokiego Komisarza opisali i udokumentowali 75 przypadków arbitralnego zatrzymania 57 mężczyzn, 17 kobiet oraz chłopca przez ukraińskie siły bezpieczeństwa. Osoby te podejrzewano o popełnienie

przestępstw przeciwko bezpieczeństwu narodowemu oraz o przestępstwa kryminalne związane z toczącą się wojną.

OHCHR udokumentowało też 65 przypadków przetrzymywania przez ukraińskie służby cywilów w nieoficjalnych miejscach zatrzymania przez okres od kilku godzin do czterech i pół miesiąca. Byli oni więzieni bez kontaktu z bliskimi i adwokatami. Praktyka ta była stosowana w celu wymuszenia na zatrzymanych przyznania się do winy lub złożenia innych obciążających zeznań.

To twarz wojny, o której mało wiemy i wiedzieć nie chcemy. Jakże różna od serwowanych przez stacje telewizyjne obrazków, na których dziarscy wojacy opowiadają o swoich przewagach i wykonanych zadaniach bojowych.

Rosjanie milczą

„Wielu spało na zmianę w niewielkiej przestrzeni. Inni, w tym ja, nie mogli spać z powodu stresu i niepokoju. Czuję się, jakby czas się zatrzymał”. Tak cywil, ukraiński obywatel, opisał swoje odczucia, gdy rosyjscy żołnierze zamknęli go wraz z 32 osobami w niewielkim pomieszczeniu obozu „filtracyjnego” w pobliżu Doniecka.

Najwięcej zatrzymań obywateli ukraińskich przez rosyjskie wojsko i służby specjalne miało miejsce w pierwszych miesiącach wojny. Według autorów raportu ich szczyt przypadł na marzec 2022 r. Powodem mogło być podejrzenie udzielenia pomocy Siłom Zbrojnym Ukrainy poprzez przekazywanie informacji, przechowywanie broni i amunicji, udzielenie schronienia rannym żołnierzom.

By stwierdzić, że dana osoba była zaangażowana w taką działalność, Rosjanie przeglądali zawartość smartfonów, komputerów i innych urządzeń elektronicznych. Do tego, by zostać zatrzymanym, wystarczyło posiadanie odzieży wojskowej, pojazdu terenowego, broni myśliwskiej, amatorskiego sprzętu radiowego, lornetek, teleskopów oraz cywilnych dronów. Szczególną uwagę zwracano na ukraińską symbolikę: naszywki, plakaty, a także tatuaże określane jako nacjonalistyczne.

Zdarzało się, że zatrzymywano osoby, których rosyjskie władze nie były w stanie zidentyfikować. Na zasadzie: nie wiemy, kim jesteś, ale posiedzisz i się dowiemy. W co najmniej dziesięciu udokumentowanych przypadkach Rosjanie zatrzymali i uwięzili cywilów tylko dlatego, że ich krewni służyli w Siłach Zbrojnych Ukrainy. Osoby te trafiły do „nieoficjalnych miejsc przetrzymywania”, jak nazywają je autorzy raportu, czyli do tajnych więzień. Były w nich przetrzymywane od kilku dni do kilku miesięcy.

W raporcie opisany został przypadek kobiety kilkakrotnie zatrzymywanej i więzionej przez Rosjan. Gdy 31 lipca 2022 r. rosyjscy żołnierze wkroczyli do wioski w rejonie berysławskim w obwodzie chersońskim, zarzucili jej przekazywanie informacji bratu, który służył w ukraińskiej armii. Została zatrzymana i przewieziona do rosyjskiej bazy wojskowej w miejscowości Czajkino niedaleko Chersonia. Po dwóch dniach została zwolniona, lecz niedługo cieszyła się wolnością. Następnego dnia została aresztowana przez inną grupę rosyjskich żołnierzy i przewieziona do aresztu policyjnego w Snihuriwce w obwodzie ▶

► mikołajowskim. Przetrzymano ją przez trzy dni w osobnej celi. W trakcie przesłuchań bito ją plastikową butelką wypełnioną wodą. Później przewieziono ją do Nowej Kachowki, gdzie była więziona w prowizorycznej celi urządzonej w biurze paszportowym dawnego komisariatu policji. Prześluchiwali ją

informacje dotyczące jego połączeń telefonicznych.

Szczególnie dramatyczne były przypadki dotyczące ukraińskich dzieci i nastolatków. „Widzimy, że jesteś zbyt odważny. Wybijemy ci to z głowy!” – tymi słowami rosyjscy żołnierze zwrócili się do zatrzymanego 15-latkę, zanim zaczęli

w celu wymuszenia na ofiarach przyznania się do udzielania pomocy ukraińskim siłom zbrojnym, zmuszenia do współpracy z władzami okupacyjnymi lub zastraszania osób o proukraińskich poglądach. Sprawcy uciekali się do bicia i kalectwa ofiar, wkładania ostrych przedmiotów pod paznokcie, bicia pałkami i kolbami karabinów, duszenia, podtapiania, rażenia prądem, pozbawiania snu, wody i jedzenia oraz pozorowania egzekucji.

Wobec zatrzymanych obywateli ukraińskich stosowano formy przemocy seksualnej, takie jak gwałty, groźby gwałtów wobec ofiar i ich bliskich, rażenie prądem genitaliów lub sutoń, bicie w genitalia, przymusowe rozbieranie się do naga oraz nieuzasadnione przeszukania połączone z rozbieraniem.

Władze rosyjskie odmówiły pracownikom kijowskiego Biura Wysokiego Komisarza jakiegokolwiek pomocy w trakcie gromadzenia i weryfikacji faktów opisanych w raporcie.

Ukraińcy też milczą

„Wyciągnęli ze mnie wszystko, co chcieli. Teraz nawet prawnik nie pomoże”, powiedział pracownikom Biura Wysokiego Komisarza Ukrainiec zatrzymany i torturowany

Pracownicy OHCHR udokumentowali 864 przypadki zatrzymania cywilów przez żołnierzy lub funkcjonariuszy Federacji Rosyjskiej.

i torturowali funkcjonariusze Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB), m.in. przypinając jej druty do sutoń i rażąc ją prądem. Grozili jej też zgwałceniem. Gdy została zwolniona i wróciła do domu, odkryła, że stacjonujący w nim rosyjscy żołnierze ukradli wszystko, co mogli wynieść.

„Czy wiesz, dlaczego tu jesteś? Z powodu swoich proukraińskich poglądów. Wpadłeś w poważne tarapaty”, usłyszał zatrzymany w Chersoniu mężczyzna od oficera FSB, który go przesłuchiwał i torturował.

Pracownicy Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka udokumentowali w raporcie „zaginięcie” jednego z liderów lokalnej społeczności w miejscowości Izium w obwodzie charkowskim. Na początku marca 2022 r. czterech żołnierzy próbowało zmusić go do współpracy z władzami okupacyjnymi. Gdy odmówił, został pobity. 18 czerwca 2022 r. rosyjscy funkcjonariusze ponownie wtargnęli do jego domu i zabrali go ze sobą. Jego żonie powiedzieli, że wróci wieczorem. Z zawiązanymi oczami został zamknięty w celi na dwa dni. W tym czasie Rosjanie próbowali zmusić go biciem i torturami do współpracy. Gdy odmówił, wywieźli go na parking, gdzie po raz kolejny został pobity i kilkakrotnie rażony prądem. Po 21 dniach został zwolniony, ale pod koniec lipca znów go zatrzymano. I znów poddano torturom. Tym razem, by wymusić

go bić za proukraińskie poglądy. W raporcie opisano również historię 17-latkę, który wraz z 30-letnim bratem 26 marca 2022 r. został zatrzymany przez żołnierzy rosyjskich w obwodzie kijowskim. Przewieziono ich w okolice Czarnobyla, gdzie zostali uwięzieni i poddani torturom. Następnie wywieziono ich do miejscowości Narowla na Białorusi i rozdzielono. Młodszy chłopiec trafił do sierocińca w Możyżu, skąd udało mu się zadzwonić do matki. 22 kwietnia 2022 r. dyrektor sierocińca zabral go na granicę białorusko-ukraińską i przekazał rodzinie. Los i miejsce pobytu starszego brata, wywiezionego na teren Federacji Rosyjskiej, pozostaje niezny.

Opisano i udokumentowano także 75 przypadków zatrzymania 57 mężczyzn, 17 kobiet oraz chłopca przez ukraińskie siły bezpieczeństwa.

W konkluzji autorzy raportu podkreślili, że Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka jest poważnie zaniepokojone powszechnymi praktykami stosowania tortur i złego traktowania ludności cywilnej przez rosyjskie siły zbrojne, organy ścigania i zakłady karne. Osoby zatrzymane były poddawane „przyjęciu” lub „biciu na powitanie” oraz losowemu biciu podczas inspekcji w ich celach, w czasie korzystania z pryszniców, stołówek lub oddziału medycznego. Tortury stosowano

przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Ukrainy w Odessie.

Autorzy raportu udokumentowali 65 przypadków przetrzymywania przez ukraińskich funkcjonariuszy ludzi przez okres od kilku godzin do 135 dni w tajnych miejscach zatrzymań – czyli de facto tajnych więzieniach – w mieszkaniach, hotelach, piwnicach, pomieszczeniach lokalnych organów ścigania. Bliscy tych osób bardzo często nie byli informowani o ich losie. Biuro Wysokiego Komisarza NZ otrzymało wiarygodne informacje,

że jedno z tajnych miejsc, w których przetrzymywano ludzi, znajdowało się do listopada 2022 r. w sali gimnastycznej i piwnicy budynku przy ulicy Wołodymirskiej 32-35 w Kijowie. Czyli w centrali Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Więżono w nim głównie mężczyzn. Pracownikom Biura Wysokiego Komisarza udało się zdobyć dowody, że owo tajne więzienie działało od lutego 2022 r. Zatrzymani spali na rozłożonych na podłodze materacach i nie wolno im było wstawać ani komunikować się między sobą. Z toalety mogli korzystać trzy razy dziennie. Pościłki otrzymywali raz, czasem dwa razy dziennie. Wodę dostarczano im w niewielkich ilościach. Kilku rozmówców powiedziało, że przez cały okres uwięzienia mieli zawiązane oczy.

W raporcie opisana została historia kijowianina przetrzymawanego w tym miejscu przez 135 dni. Aresztowano go 2 marca 2022 r. i przywieziono do centrali SBU wraz z żoną i 85-letnim ojcem, którzy po kilku dniach wyszli na wolność. Jego trzymano aż do 16 listopada, gdy funkcjonariusze doprowadzili go do sądu, a sędzia śledczy zalegalizował jego uwięzienie, wydając postanowienie o areszcie na 60 dni.

Ludzie przetrzymywani przez SBU mówili prawnikom Biura Wysokiego Komisarza, że stres i strach przed tym, co mogą im zrobić funkcjonariusze, wynikający z izolacji oraz tajnego przetrzymywania, zmusił ich do przyznania się do czynów, których nigdy nie popełnili. Oczywiście nie mieli oni dostępu do adwokata, poddawano ich przesłuchaniom, w trakcie których stosowano wobec nich tortury. A ich bliscy nie byli informowani o przyczynach zatrzymania ani miejscach, w których się znajdują.

Jeden z opisanych przypadków dotyczy mieszkańca obwodu charkowskiego, którego w marcu 2022 r. zatrzymano na punkcie kontrolnym i dwa dni więziono w piwnicy w Charkowie. Następnie został on przeniesiony do ośrodka odosobnienia w mieście Dnipro (dawniej Dniepropietrowsk). Strażnicy pozwolili mu skontaktować

się telefonicznie z krewnymi po 24 dniach. Temu mężczyźnie nigdy nie postawiono zarzutów. Nie zapewniono mu dostępu do adwokata ani nie postawiono przed sędzią. Ostatecznie został zwolniony w czerwcu 2022 r., po tym jak zgodził się nagrać obciążające go filmy, na których przyznał się do udzielania pomocy rosyjskim siłom zbrojnym.

W maju 2022 r. SBU w Krzywym Rogu zatrzymała Ukrainkę i przez siedem dni więziła go na terenie lokalnego biura. Przez trzy dni poddawano go torturom. Powodem

Ofiary bito, duszono, podtapiano, rażono prądem, pozbawiano snu, wody i jedzenia.

były niekorzystne wyniki badania na poligrafie, do którego ofiara została zmuszona. Funkcjonariusze SBU bili mężczyznę po głowie, żebrach i nogach. Rozebrali do naga i grozili, że odetną mu genitalia, zgwałcą go, a nagrania wyślą jego dzieciom.

Ponad 40 osób, z którymi rozmawiali pracownicy OHCHR, opisało tortury, jakim zostały poddane przez funkcjonariuszy ukraińskich służb. Bito je, rażono prądem za pomocą paralizatorów, stosowano przemoc seksualną, w tym bicie narządów płciowych i rozrodczych, zmuszano do obnażania się, grożono okaleczeniem, gwałtami na osobach bliskich, egzekucjami, postrzeleniem, a następnie wywiezieniem na linię frontu i porzuceniem na pastwę losu. Świadkowie powiedzieli pracownikom Biura Wysokiego Komisarza, że tortury i złe traktowanie stosowano w celu wyciągnięcia zeznań lub informacji, zmuszenia zatrzymanych do współpracy.

Autorzy raportu udokumentowali dziewięć przypadków, w których strażnicy oficjalnych aresztów pobili zatrzymanych pięściami i pałkami podczas „procedur przyjęcia”. Kilkunastu zatrzymanych zgłosiło stosowanie wobec nich przez strażników agresji werbalnej, poprzez nazywanie ich „pedałami”, „zdrajcami”

czy „prostytutkami”. Opisane też zostały dwa przypadki, gdy ukraińscy obywatele zostali uprowadzeni przez „nieznanych sprawców” na terenie będącym pod kontrolą Kijowa i ślad po nich zaginął.

Pierwszy dotyczy młodego dziennikarza, którego już w roku 2017 uprowadzili i torturowali ukraińscy policjanci. 27 marca 2022 r. został on zatrzymany na ulicy przez kilku mężczyzn – sądząc po ich wyglądzie i umundurowaniu, funkcjonariuszy ukraińskich organów ścigania – którzy położyli go na ziemi i zaciągnęli za ogrodzenie lokalnego

centrum handlowego. Mimo próśb rodziny żaden ukraiński organ nie potwierdził ani zatrzymania dziennikarza, ani przetrzymywania go. Ukraińska policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie, traktując ten incydent jako uprowadzenie, a nie zniknięcie, w które zamieszane są tamtejsze służby.

Drugie zdarzenie dotyczy byłego sołtysa wsi Nowoługanskoje, który 10 kwietnia 2022 r. został na oczach sześciolatniego syna uprowadzony przez pięciu uzbrojonych mężczyzn. Policja traktuje to jako uprowadzenie przez członków uzbrojonej bandy lub inscenizację porwania przez samą ofiarę. Śledczy nie wzięli pod uwagę możliwości, że ofiara została zatrzymana przez agentów służb ukraińskich.

Pewnie nigdy się nie dowiemy, co z tymi ludźmi się stało. Wojna nie sprzyja wyjaśnianiu podobnych spraw, gdy codziennie giną setki, a może tysiące osób. Nikt też nie chce oglądać brudnej, śmierdzącej ekskrementami, potem i krwią wojny. To źle się sprzedaje. Dlatego mało kogo zainteresuje raport kijowskiego Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Wszystkie grzechy republiki

Francja stoi dziś w płomieniach, ale ten pożar tlił się co najmniej od pół wieku

Mateusz Mazzini

W pewnym sensie wydarzenia rozgrywane się w ostatnich kilkunastu dniach na ulicach największych francuskich miast są kwintesencją francuskiej obywatelskości. Tak się protestuje nad Sekwaną i tamtejsze tradycje społecznego nieposłuszeństwa są pierwszą i najbardziej fundamentalną rzeczą, którą trzeba wziąć pod uwagę przy analizie bieżących zająć. Obserwator z zewnątrz,

Przede wszystkim jednak wtedy też o śmierć dzieci imigrantów oskarżano policję. To przed policjantami uciekali Zyed Benna i Bouna Traoré, śpieszący się do domu o zachodzie słońca w trakcie ramadanu. Skracałi sobie drogę przez teren budowy wraz z trzecim nastolatkiem, który przeżył całe zajście. Ktoś zobaczył ich przez okno, zadzwonił na policję, młodzi wystraszyli się mundurowych, zaczęli uciekać, schowali się w stacji, dwóch zmarło. Dalej był już tylko gigantyczny wybuch gniewu, jedna

wykorzystują do własnych celów, niż są ich siłą napędową.

Nie są to również protesty natury ekonomicznej, choć nierówności materialne we Francji rosną w tempie wręcz lawinowym, a różnice pomiędzy centrami miast a przedmieściami są coraz większe. Błędem jednak byłoby zakładanie, że w tej awanturze chodzi tylko o kwestie rasowe. Owszem, model asymilacyjny wobec migrantów, dominujący we francuskiej polityce publicznej praktycznie od czasów dekolonizacji Afryki w latach 60., nie zadziałał. A dokładniej przez dekady dawał jedynie iluzję tego, że działa. Niemniej francuskie państwo rozczarowało nie tylko swoich kolorowych obywateli. Francja ma dziś problem z tym, by nadal funkcjonować jako stabilna demokracja, zapewniająca wszystkim swoim mieszkańcom równy udział w życiu publicznym. I to problem znacznie szerszy niż samo wykluczenie rasowe.

Gdy chce się pisać o współczesnym francuskim społeczeństwie, jedną z trudności jest to, że nie do końca wiadomo, z kogo ono się składa. W 1978 r. rząd w Paryżu zakał pytania w spisach powszechnych o przynależność rasową i etniczną, dlatego publicznych danych na ten temat nie ma. Są natomiast badania instytutów pozarządowych i jednostek akademickich, według których co piąty Francuz jest zagranicznego pochodzenia. INSEE, Państwowy Instytut Statystyki i Badań Ekonomicznych, wlicza w to wszystkich, którzy mają przynajmniej jednego rodzica niebędącego Francuzem lub którzy sami urodzili się poza granicami kraju. Takich osób w 68-milionowej Francji jest, według różnych szacunków, od 11 mln do 13 mln. Co ciekawe jednak, niemal połowa to Francuzi pochodzący z innych krajów europejskich.

**Na przedmieściach trudno o spokojne życie.
Nie ma tam społeczności o długiej tradycji, to obszary,
gdzie najszybciej wymieniają się mieszkańcy.**

z zagranicy, może stwierdzić, że bliżej im do miejskiej wojny podjazdowej niż okresu wzbурzenia opinii publicznej. Sami Francuzi jednak, bardziej chyba niż jakikolwiek inny europejski naród, przyzwyczajeni do spalonych samochodów, rozprutych bankomatów, zablokowanych placów i wielodniowych protestów, patrzą na nie nieco inaczej niż reszta kontynentu. Ulice bowiem płonęły i w czasie niedawnych demonstracji po podniesieniu wieku emerytalnego, i w grudniu 2020 r., po brutalnym pobiciu przez policjantów czarnoskórego artysty Michela Zeclera, i podczas protestów ruchu Żółtych Kamizelek w latach 2018-2019.

Sięgając jeszcze głębiej w przeszłość, można przypomnieć trzytygodniowe zamieszki z późnej jesieni 2005 r. – i to porównanie wydaje się najbardziej zasadne. Wtedy też zaczęło się na przedmieściach wielkich miast, kontekst także był rasowy – dwójka nastolatków, Francuzów afrykańskiego pochodzenia, zginęła porażona prądem w stacji przekątnikowej.

ofiara śmiertelna protestów, straty mienia publicznego wynoszące wówczas 200 mln euro i stan wyjątkowy w całej republice.

Obywatele, czyli kto

Widać więc ponad wszelką wątpliwość, że Francja ma poważny problem. Pytanie tylko, jaka jest tego problemu natura. Trzeba bardzo uważać, żeby nie wpaść w koleiny zbyt prostych odpowiedzi. Zamieszki, które trwają po śmierci 17-letniego Nahela, zastrzelonego 27 czerwca podczas kontroli policyjnej w podparyskim Nanterre, nie są protestami politycznymi. Nie mają konkretnego lidera ani komitetu organizacyjnego, nie kieruje nimi żadna usystematyzowana ideologia. Owszem, z każdym kolejnym dniem pojawia się coraz więcej dowodów na udział w demonstracjach anarchistów i radykalnych lewicowców z ugrupowań antysystemowych i antydemokratycznych, takich jak słynny Czarny Blok, aczkolwiek oni raczej zamieszki



Protest w Bordeaux,
30 czerwca 2023 r.

Osób wywodzących się z Maghrebu, krajów Afryki Subsaharyjskiej i Azji Południowo-Wschodniej, czyli dawnych posiadłości kolonialnych francuskiego imperium, jest nieco ponad 6 mln.

Co więcej, nie jest prawdą, że wszyscy przybyśsze spoza Europy lądują na marginesie społecznym, całkowicie pozbawieni możliwości osiągnięcia sukcesu. Według najnowszych danych INSEE, z 2021 r., w rodzinach imigranckich rodzi się w tej chwili właściwie tyle samo dzieci, ile w rodzinach białych Francuzów. To zadaje kłam mitowi, że migranci rozmnażają się znacznie szybciej niż „rdzenni” mieszkańcy kraju.

To jeden z głównych stereotypów, napędzający zwłaszcza na skrajnej prawicy słynną teorię wielkiego zastąpienia (ang. *The Great Replacement Theory*). Zakłada ona, że masowe otwieranie granic dla migrantów spoza Europy nieuchronnie doprowadzi do zastąpienia chrześcijańskiej populacji Starego Kontynentu (a więc i Francji, dla wielu matki współczesnej, postwojennociowej Europy) społeczeństwem muzułmańskim, co skończy się upadkiem cywilizacji europejskiej, przymusową konwersją na islam i wszelkimi innymi katastrofami społecznymi. Teoria ta już dawno przestała być polityczną

egzotyką, w ubiegłorocznej kampanii poprzedzającej wybory prezydenckie jako jej zwolenniczka ujawniła się nawet centroprawicowa kandydatka Valérie Pécresse, doskonale wykształcona, absolwentka najważniejszych w kraju szkół administracji publicznej, mająca doświadczenie w rządzeniu na szczeblu ministerialnym.

Wrzenie przedmieść

Tymczasem dane pokazują coś odwrotnego. Dzietność wśród kobiet w rodzinach imigranckich wynosi w tej chwili 1,90 dziecka na gospodarstwo domowe, podczas gdy w „białej” Francji to 1,86. Czasy, gdy imigrantów rodziło się znacznie więcej, dawno minęły. INSEE wskazuje, że w latach 1960-1974, czyli w okresie gwałtownego wzrostu gospodarczego, kiedy rozrastająca się ekonomia nad Sekwaną przyjmowała najwięcej imigrantów zarobkowych, wskaźnik dzietności wynosił 2,35. Teraz jest znacznie niższy, a Didier Reynaud, autor analiz demograficznych instytutu, jako przyczynę tego zjawiska jednoznacznie wskazuje awans społeczny. Kobiety w rodzinach imigranckich coraz częściej są dobrze wykształcone, mają dyplomy uczelni, a to przekłada się na mniejszą dzietność.

Bezpośrednio wpływa to również na pozycję społeczną następnych pokoleń. Według innych danych INSEE, cytowanych w ostatnich dniach przez BBC, co trzeci niebiały Francuz mający ojca o podstawowych kwalifikacjach (bez wyższego kształcenia) dochodzi do stanowiska kierowniczego, podczas gdy u białych Francuzów odsetek ten wynosi 27%. Oczywiście to tylko niektóre z wielu statystyk opisujących życie Francuzów mieszanego lub obcego pochodzenia, ale doskonale pokazują one, jak kłamliwy i uproszczony jest obraz tej części społeczeństwa w przestrzeni publicznej.

Prawdą jest natomiast co innego – imigranci w pierwszym lub drugim pokoleniu znacznie częściej wchodzi w bezpośredni kontakt ze służbami mundurowymi, najczęściej nie z własnej woli. Według badania przeprowadzonego w 2017 r. przez francuską organizację pozarządową Défenseur des Droits (Obróńca Praw) prawdopodobieństwo zatrzymania przez policję młodych mężczyzn arabskiego i azjatyckiego pochodzenia jest 20 razy wyższe niż w przypadku białych Francuzów w tym samym wieku. Ponadto francuscy policjanci są wyjątkowo brutalni. Dane serwisu World Population Review wskazują, że spośród wszystkich krajów europejskich, ▶

► które przekazały informacje na ten temat, właśnie Francja ma największą liczbę śmiertelnych ofiar interwencji policji. W 2018 r. było ich 26, przy 11 w Niemczech i zaledwie pięciu w Belgii, a trzech w Wielkiej Brytanii.

Śmierć Nahela nie była jednostkowym przypadkiem. Tylko w ubiegłym roku aż 13 osób zostało zastrzelonych przez policję z powodu odmowy zatrzymania się do kontroli pojazdu. Dane te można mnożyć, ale żeby zrozumieć ich znaczenie, należy opisać rzeczywistość tych miejsc we Francji, gdzie rodzin mieszanych i imigranckich jest najwięcej, czyli przedmieść dużych miast.

Tu o spokojne życie naprawdę trudno. Po pierwsze, dlatego że nie ma tam prawdziwej społeczności o długiej tradycji. To obszary, gdzie najszybciej wymieniają się mieszkańcy. Według danych cytowanych przez dziennik „Le Monde”, pochodzących z badań sprzed sześciu lat, co roku aż 10-12% mieszkańców przedmieść zmienia miejsce zamieszkania. Po drugie, pomimo ogromnych wydatków publicznych na infrastrukturę na przedmieściach, sięgających według informacji rządu nawet 10 mld euro rocznie, państwo

pozostaje tam szalenie nieefektywne. A dokładniej próbuje teraz naprawić grzechy z przeszłości, kiedy po dekolonizacji de facto zamieniło te obszary w getta.

Jedną z najbardziej zaniedbanych spraw była edukacja. Nagminny stał się proceder wysyłania do szkół na przedmieściach nauczycieli młodych, bez kwalifikacji i doświadczenia, dla których jedyną metodą zapanowania nad uczniami z wielu różnych kultur było wprowadzenie opresyjnej dyscypliny. Na papierze wszystko się zgadzało. W latach 80. republika starała się dać dzieciom imigrantów równe szanse. Prestiżowe uniwersytety, z Sciences Po na czele, prowadziły akcje rekrutowania młodzieży z przedmieść, podobnie jak francuskie wojsko i administracja publiczna.

Problem zaczynał się później, w strukturach tych organizacji. Francuzi, którzy z dumą od II wojny światowej prowadzili politykę niedostrzegania rasy, w takim układzie nie byli też w stanie dostrzec własnego instytucjonalnego rasizmu. Chłopaków w wojsku nie czekały awanse, tylko szykany, nastolatków z przeszłością w szkołach Afryki czy Bliskiego Wschodu z definicji uznawano za niezdolnych do normalnego studiowania na uczelniach publicznych. Jeśli dodać do tego problemy infrastrukturalne, rozsypujące się bloki budowane pośpiesznie dla imigranckich rodzin, dostępność narkotyków i obecność zorganizowanych grup przestępczych, często rdzennych, francuskich, łatwo zrozumieć, dlaczego młodzież z przedmieść jest dziś dla reszty Francji problemem.

Czarny rynek

Ten problem jednak Francuzi wyhodowali sobie sami, głównie nietrafionymi decyzjami w polityce społecznej. W 2018 r. Emmanuel Macron wprowadził prawo, na mocy którego dziecko nielegalnego imigranta czy imigrantki z Francuzem będzie miało francuskie obywatelstwo, jeśli rodzic spoza

kraju przez rok będzie pomagał w jego utrzymaniu.

Prezydent chciał zapewne dobrze, ale nie przewidział powstania czarnego rynku francuskiej spermy. W rezultacie jego ustawy kobiety z Afryki masowo płacą za zajście w ciążę z obywatelami Francji, a potem kłamią, że otrzymują od nich wsparcie finansowe, tylko po to, żeby dziecko było w kraju legalnie. To nakręca spiralę kłopotów: samotne macierzyństwo, trudności w szkole i bardzo często późniejsze konflikty z prawem.

Tak naprawdę więc to, co od kilkunastu dni dzieje się na ulicach Francji, jest wybuchem frustracji kumulowanych przez pół wieku. Francuzów kolorowych, których Francja

Francuscy policjanci są wyjątkowo brutalni.

ignorowała. Francuzów białych, którym we Francji coraz gorzej się wiedzie, którzy z przyczyn finansowych są wypychani na przedmieścia i za swój społeczny regres winią właśnie migrantów. Francuzów młodych, którym stare elity blokują możliwość awansu. Francuzów rozczarowanych państwem, które nie jest sprawiedliwe – choć dla każdego sprawiedliwość znaczy w tym kontekście co innego.

Zbić na tym kapitał próbują rozmaite siły polityczne – od skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego, które obiecuje w mediach społecznościowych przywrócenie porządku publicznego, po lewicę spod znaku Jeana-Luca Mélenchona, który brutalność protestów wręcz legitymizuje, mówiąc, że „nie będzie wzywać do spokoju, tylko do sprawiedliwości”. Francja, nawet jak na swoją kulturę protestu, stoi teraz w płomieniach. Pożaru nie będzie łatwo ugasić, bo wymagałoby to reformulowania głównych zasad funkcjonowania republiki. Nad Sekwaną mają jednak długie tradycje myślenia na nowo swojej państwowości. Czas zrobić z tego użytek.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Czas entropii, czas bełkotu

W teorii informacji entropia opisuje nieokreśloność, nieprzewidywalność nadchodzących zdarzeń, jest wskaźnikiem stopnia niemożności, jakby zapisać nierównowagę, może tradycyjnie moglibyśmy użyć nawet słowa chaos. To taki stan niepewności. Pojęcie entropii wyciągnąłem oczywiście na światło dzienne przyniesiony i oszołomiony gęstością niewiedzy, nieogarnialnym nawałem wariantów, wersji, scenariuszy. Kiedy symbol starożytnej mądrości, ateński Sokrates, mówił, że wie tylko, że nic nie wie – to była w tym retoryczna przekora, doskonale zastosowana figura paradoksu, powiedziałbym wręcz – wysokiej próby intelektualny żart. Pozazdrościć tym odległym o 2,5 tys. lat czasom i filozofa, i żartów. Dzisiaj, kiedy na co dzień mamy świadomość (to rodzaj przenośni, mówię o nielicznych, ale żeby uniknąć zarzutu klasistowskiej pogardy czy wyższości, przypisuję ten stan samowiedzy nam wszystkim) ogromu nagromadzonej wiedzy, niesłychanej technicznej sprawności w operowaniu nią, korzystaniu czy w końcu funkcjonowaniu – metafora „niewiedzy” staje się czymś nie na miejscu, czymś fałszywym raczej niż przewrotnym. Ale ostatnio mam bezbrzeżne przekonanie, że żyjemy w momencie, w którym, wiedząc tak wiele, nie wiemy niemal nic.

Ta niewiedza opisuje stan ducha i nastrój Anno Domini 2023, gdzieś z początku lata, i równocześnie, z przykrością przyznam, jest uczuciem skrajnie polskocentrycznym. Tu i teraz, choć oczywiście wykluczyć nie mogę, że owa bezradność tak naprawdę opisuje tylko moją, osobistą, jednostkową nieporadność w rozumieniu tego, co wokół, co za chwilę, za tygodnie, miesiące, najbliższe lata. To w sumie chwila, kiedy zupełnie nie żałuję, że wypadłem z obiegu komentatorskiego, z tego szybko myślenia i wszystkokomentowania. Mógłbym powtarzać raz za razem: nie wiem, nie mam pojęcia, nie potrafię sobie wyobrazić, przewidzieć. Te zastrzeżenia w przeważającej mierze dotyczą naszej rzeczywistości politycznej, bliskiej geopolityki, systemowej, państwowej świadomości politycznej, punktu, w którym jesteśmy jako obywatele, mieszkańcy dziwnego kraju nad Wisłą. Każdy dzień tego etapu kampanii wyborczej wpędza mnie w coraz większą konfuzję.

Co to jest za gra? Dlaczego jedyną, bezsprzeczną konstatacją jest to, że PiS nie chce stracić i oddać władzy? I że gotowe dla tej sprawy zrobić naprawdę wiele i raczej bez skrupułów. Ktoś mógłby zapytać: a co w tym dziwnego? Nikt władzy oddawać nie lubi, nie tylko z lęku, że wiele działań może mieć nawet karne konsekwencje.

Zastanawiam się, jak to możliwe, jak doprowadziliśmy do takiego stanu, że nie sposób na poważnie zapytać: dlaczego chcecie rządzić? Jakiej Polski chcecie? Jaką nam przyszłość, inną od autorytarnej i korzystnej wyłącznie dla własnego obozu, skrajnie zideologizowanej, szykujecie? Jesteśmy świadkami polityki na łapu-capu, to tu, to tam – tu przekop, tam port lotniczy, tu zakaz wypisywania recept dla lekarzy, tam wyłączenie prądu z OZE, tu fikcyjne instytucje, tam realne pozbawianie praw całych grup społecznych, tu prywatna, uwłaszczanie się, otluszczenie na chudsze lata, nieokiełznana propaganda w mediach „publicznych” (he, he...), tam apetyt na pozostałe media. W rządzeniu chaos i PR-owe kłamstewka jako zasada. Dzisiaj, nawet gdyby Mateusz Morawiecki przypadkiem powiedział w jakiejś kwestii prawdę, i tak byśmy się nie zorientowali. Prezydent nieprawdziwy, premier udawany, wicepremier cudaczny i wszechwładny, ministrowie nieporozumienie, instytucje chrome i niedziałające, polityka zagraniczna nieistniejąca. Jedyne, co realne, to wydatki na wojsko i zbrojenia – za zgodą wszystkich zresztą sił politycznych. A tam Ławrow z Amerykanami dogaduje zakończenie wojny.

Entropia polskich partii, partyjek w żadną czytelną układankę się nie składa. Nad tym żywiołem nikt nie panuje.

A opozycja właściwie dlaczego chce przejąć władzę? Jaką Polskę inną od tej, którą mamy od 2015 r., i inną od tamtej, którą wcześniej współtworzyła, chce nam zafundować? Ja nie wiem. Nie widzę. Nie rozumiem. W wyborach, takich jak te na jesieni, remisów się nie przewiduje, dogrywek także, ani rzutów karnych. Ktoś zatem je wygra, nie wiadomo kto, ale dlaczego to ma być Konfederacja? Tak jak pisał kiedyś Czesław Miłosz: „Jest ONR-u spadkobiercą partia”, tak Konfederacja jest nie tylko nieodrodnym, ale i wychuchanym dzieckiem Polski potransformacyjnej. Potomkini, och nie, potomek PO-PiS, popisowy.

Znane są oczywiście z historii polityki zmiany tożsamości partii, porzucanie swoich elektoratów, przejmowanie innych, ale chaos, żeby nie powiedzieć entropia, polskich partii, partyjek w żadną czytelną układankę się nie składa. Nad tym żywiołem nikt nie panuje. Trwa gra w grę o grę dalszą. Tylko gra jest tu celem i metodą zarazem.

To oczywiście dobrze się skończyć nie może i nie skończy. Bo niby jak?

Wyłączyłbym Polsce prąd do tej jesieni. Wtedy musiałyby się ogarnąć. Ale raczej też nie. ■



Centrum Hebronu patrolują uzbrojeni żołnierze izraelscy. 3 lipca na okupowanym Zachodnim Brzegu rozpoczęła się izraelska operacja wojskowa.

Jedno miasto, dwa światy

Palestyńczycy nie mogą się pogodzić z podziałem Hebronu. Żydowskie osiedle rozcina miasto w samym jego sercu

Jan Górski

Hebrońskie stare miasto jest pełne handlarzy. – Hebron to miasto pieniędzy – mówi mi pielęgniarz z tutejszego szpitala.

Życie w największej miejscowości Autonomii Palestyńskiej toczy się na ulicy. Tutaj się sprzedaje, gotuje, wytwarza różne przedmioty. Na jednym ze stoisk mężczyzna piecze lokalny przysmak – podobny do pączka, ale słodszy i o podłużnym kształcie. Nieco dalej jest piekarnia. Widać, jak z maszyny wypadają pity. Jeszcze ciepłe wypieki wykładane są na stelażach stojących na chodniku. Chodnik jest do pracy. Do przemieszczania się służy jezdnia. Nieważne, że jadą nią samochody, które ciągle trąbią na pieszych.

Zgiełk potęgują płynące z megafonów reklamy promocji i przeceny najlepszych bananów. Na tym targu można kupić wszystko. Ubrania, jedzenie, przyprawy... Nad całym sukkiem unosi się mocny zapach kardamonu. Chwilę później jednak wyczuwam coś jeszcze, jakąś niepewność w powietrzu. W uliczce obok widać wielki mural przedstawiający flagę Palestyny. Po drugiej stronie są już Żydzi. Potwierdzają to widoczne nad płotem zasieki i flaga z gwiazdą Dawida.

Sklep to jego walka

Wracam na główną ulicę targową. Dopiero teraz zauważyłem rozwieszoną nad nią siatkę. Ma chronić przed kamieniami, które czasem rzucają

żydowscy osadnicy. Nagle ulica ożywa. W moją stronę idzie patrol z Brygady Jehudy, która odpowiada za region Hebronu. Żołnierze w pełnym rynsztunku, z kieszeni wystają bordowe berety. Co prawda, Europejczycy nic nie robią, ale lepiej unikać niepotrzebnych pytań. Obchodzę ich równoległą uliczką, gdzie znowu widzę zasieki. Kiedyś tędy szło się do cmentarza, teraz przejścia nie ma. Jest za to wieża strażnicza z żołnierzem w środku i mur.

– *Alhamdulillah. Ahlan, ahlan* – wita się ze mną starszy pan, który ma sklep w Hebronie.

– *As-salam* – odpowiadam.

– *Min ejna anta?* – pyta.

– *Bulanda.*

– Ooo, jest bardzo znana osoba z Polski, Lech Wałęsa – mówi

mężczyzna, przechodząc na angielski. Na szczęście dla mnie, bo zapewne kolejnego zdania po arabsku bym już nie zrozumiał.

Sklepiarz nazywa się Amir. Jest spragniony. Spragniony opowieści i prawdy.

– Rok temu spalono mi sklep. Żydzi potłukli mi talerze i inne towary – na dowód pokazuje zdjęcia. Sklep to jego walka.

– Żydom nie podoba się, że mam sklep – kontynuuje, energicznie gestykulując. – Woleliby, żebym stąd zniknął. Ale to moja ziemia.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, opowiada mi o Makpeli, Grobowcu Patriarchów, który został podzielony na dwie części.

– Chodź, pokażę ci – mówi podniekowany. Widzisz ten wysoki budynek? – pyta, wskazując wielki gmach oddalony najwyżej o 15 m. – Chodziłem tam do szkoły! Teraz ją zabrali. To nadal szkoła, ale zajęli ją Żydzi.

Amir musi wrócić do pracy, ale zaprasza mnie wieczorem na przejażdżkę po Hebronie.

Prawo własności

Makpela to jedno z ważniejszych miejsc nie tylko dla muzułmanów, ale też dla Żydów i chrześcijan. Według Starego Testamentu Abraham kupił tu ziemię, aby pochować na niej swoją żonę Sarę. W Grobowcu Patriarchów znajdują się także groby syna Abrahama – Izaaka i jego żony Rebeki oraz wnuka Abrahama – Jakuba i jego żony Lei.

Budynek zdaje się nie wyróżniać niczym szczególnym pośród wielu meczetów, które wcześniej widziałem, jednak coś mnie zastanawia. Chociaż meczet jest prawie pusty, słyszę szmer głosów i śpiewy. Przechodzę na drugą, izraelską stronę budynku. W budce strażniczej widzę trzy izraelskie policjantki, nie mogą mieć więcej niż 20 lat. To już teren osadników. Jest ich może tysiąc. Osiedle wbija się w Hebron niczym grot w ciało. Rozcina miasto w samym jego sercu – w starym centrum.

Nagle wchodzi w inny świat. Ulica jest bardziej zadbane, wszędzie wiszą izraelskie flagi. Ludzie są

inaczej ubrani. Zamiast hidżabów pojawiają się pejsy. W Hebronie mieszkają głównie bardzo tradycyjni wyznawcy judaizmu.

Kieruję się ku Makpeli. Z tej strony jest ona synagogą i dostęp do niej mają tylko mieszkańcy osiedla oraz turyści. Tutaj rozwiązuje się zagadka śpiewów, które słyszałem w meczecie. To były głosy modlących się ortodoksyjnych Żydów.

Mijam wycieczkę z USA. W rękach trzymają flagi Izraela. Przez chwilę przysłuchuję się temu, co mówi

Te światy niemal się nie stykają, mimo że dzieli je często grubość ściany.

przewodnik. Poza czystymi faktami oraz legendami ciągle przewija się motyw prawa własności Żydów do Makpeli. Odwiecznej przynależności tej ziemi. Każde jego zdanie zdaje się mówić: „My, Żydzi, byliśmy tu od zawsze”. To niesprawiedliwy los spowodował tę przerwę, która trwa kilka tysięcy lat.

Obcy obok siebie

Poczucie, że po przejściu kilkunastu kroków znalazłem się w zupełnie innym świecie, jest dojmujące. To jak dwie różne planety. Te światy niemal się nie stykają, mimo że dzieli je często grubość ściany. Mieszkający tu Żydzi są dumni, w końcu „wygrali”. Mają osiedle w swoim starożytnym mieście, ale to „zwycięstwo” zmusza ich do siedzenia w enklawie. Nie orientują

się, co się dzieje poza osiedlem. Wiedzą tyle, ile im powiedzą, a mówią, że tam jest piekło i śmierć.

Siadam na ławce i zdaję sobie sprawę, że widzę cmentarz, o którym opowiadał Amir. Naprzeciwko nekropolii są zamknięte stoiska handlowe. Stoją tak od 30 lat. Żydzi ich nie zburzyli, ponieważ są świadectwem tego, że mogą wszystko. „Kiedyś byli Arabów, teraz są nasze i nic wam do tego”, zdają się mówić. Nad nimi postawiono ogromną tablicę: „Jerycho, 4 tys. lat

historii”. Ma przypominać, że tyle trwa osadnictwo Żydów na tych terenach. Z „drobną” przerwą na jakieś 3 tys. lat.

O tym, kto tu rządzi, przypomina też ogromna, siedmioramienna konstrukcja, która wygląda jak menora, postawiona na murze bazy wojskowej – siedziby Brygady Jehudy.

Idąc przez osiedle, mijam wiele tablic informacyjnych. O masakrach Żydów w latach 20. XX w., o starożytnych korzeniach Izraela. Jedna z takich tablic wisi na budynku szkoły, o której mówił Amir. To typowa krótka notka, jakie często widzimy w turystycznych miejscach. Jeden tylko drobiazg – nie ma żadnej informacji, że zanim budynek zajęli osadnicy, był on przez wiele lat szkołą, do której chodzili Palestyńczycy tacy jak Amir.

Zmarł

generał brygady EDWARD ŁUKASIK

Żegnamy doświadczonego żołnierza,
odpowiedzialnego i rozważnego polityka,
dobrego, mądrego człowieka.

Cześć Jego pamięci!

Przyjaciele, koledzy, współpracownicy

► Szkoła stoi w bocznej, zakończonej bramą uliczkę, która odchodzi od głównej drogi osiedla. Gdy pytam lekko przestraszonego żołnierza, czy mogę przejść na drugą stronę, po konsultacji radiowej z dowódcą mówi mi, że muszę iść naokoło do innego checkpointu. On także nie ma więcej niż 20 lat. Nie wygląda na szczęśliwego, że musi tu być. Każda osoba zza muru to dla niego wróg i potencjalny napastnik.

Ogródek Amira

Amir, tak jak obiecał, przyjechał po mnie do hotelu po godz. 21. Był z kolegą, który miał być tłumaczem. Amir mówił po angielsku, ale ważne było dla niego, by wszystkie jego słowa wybrzmiały. Pierwsze, o co mnie zapytał, to czy podoba mi się Hebron i czy uważam, że Palestyńczycy to terroryści.

Dzień kończę przy ognisku w ogrodzie Amira. Cała jego rodzina mieszka w pobliżu.

W Palestynie czuć frustrację. Gdy jesteś osobą z zewnątrz, zawsze

szybko pojawia się temat okupacji. Mieszkańcy pragną opowiedzieć swoją wersję historii. Tę, która nie przebija się do mediów. Mogą przedstawić ją tylko nielicznym turystom.

– To nasza ziemia. Jesteśmy tu od setek lat. Dlaczego oni nam to robią? – pytają.

W Palestynie każdy w coś wierzy. Czy to w Boga, czy w sprawiedliwość, która nadejdzie.

– Przecież żyliśmy tu wcześniej razem: chrześcijanie, żydzi, muzułmanie. Syjoniści chcą wszystko to zabrać, a to najlepsza ziemia do życia – opowiada Amir. W rozmowach z Żydami i Palestyńczykami wielokrotnie pojawia się temat jakości tu-tejszej ziemi. Poczucie, że to Ziemia Obiecana, wciąż jest tutaj bardzo silne.

W 1967 r. Palestyńczykom z Hebbronu zawałił się świat. W wyniku wojny sześciodniowej Izrael zajął Zachodni Brzeg wraz z ich miastem.

Po wypiciu kawy i zjedzeniu kunafy Amir przynosi melona. Uśmiecha się i mówi do mnie: – Musimy być cierpliwi. Tak jest napisane, Żydzi przyjdą, ale ostatecznie odejdą, a my będziemy wolni.

– Nie możemy z nimi wygrać. Szczerze mówiąc, to słabi z nas wojownicy – śmieje się

Palestyńczyk, z którym rozmawiam kilka dni później.

Nie sprawdziłem, czy słowa przytoczone przez Amira rzeczywiście są zapisane w Koranie. W ziemi, gdzie wszyscy wierzą w coś mistycznego, nie ma to żadnego znaczenia. Amir w to wierzy i to jest ważne. Bo w Palestynie każdy w coś wierzy. Czy to w Boga, czy w sprawiedliwość, która nadejdzie. Tej brakuje w doczesnym świecie, a zwłaszcza tutaj.

Jan Górski

OPERACJA DOM I OGRÓD

3 lipca na Zachodnim Brzegu rozpoczęła się operacja Dom i Ogród. Jest ona następstwem czerwcowych wydarzeń, kiedy to doszło do licznych starć między Izraelem a Palestyńczykami. W raporcie Biura Narodów Zjednoczonych ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej stwierdzono, że „w okresie od 1 stycznia do 29 maja 2023 r. siły izraelskie zabiły 112 Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu, w tym we Wschodniej Jerozolimie, co stanowi przeszło dwukrotność liczby ofiar śmiertelnych (53) w tym samym okresie w 2022 r.”.

Operacja z 3 lipca korzeniami sięga momentu utworzenia nowego rządu Beniamina Netanjahu w koalicji ze skrajną prawicą, ale tak naprawdę jest to ciągnący się od wielu lat i eskalujący z roku na rok konflikt. Za bezpośrednią przyczynę operacji należy uznać wydarzenia z 19 i 20 czerwca. Wtedy to w wyniku rajdu izraelskiej armii na miasto Dżanin zginęło sześciu Palestyńczyków, ale – co ważne – izraelski patrol wpadł w zasadzkę, w której rannych zostało siedmiu żołnierzy, zniszczono też bądź uszkodzono pięć pojazdów. Izrael po raz pierwszy od lat na terenie Zachodniego Brzegu użył śmigłowca bojowego, który notabene został lekko uszkodzony.

Następnego dnia na stacji benzynowej niedaleko wioski Eli Palestyńczyk zastrzelił czterech żydowskich osadników i ranił kolejnych czterech. Po tych zdarzeniach skrajnie

prawicowy koalicjant Netanjahu wzmógł presję wywieraną na premiera.

Trwająca 48 godzin operacja sił lądowych armii izraelskiej na Zachodnim Brzegu była pierwszą tego typu akcją od 2004 r. Wzięło w niej udział ok. 2 tys. żołnierzy. Zginęło 13 Palestyńczyków, w tym co najmniej ośmiu należących do Palestyńskiego Dżihadu bądź Hamasu. Po stronie izraelskiej zginął jeden żołnierz.

WHO stwierdziła, że armia izraelska, otoczywszy obóz dla uchodźców, nie przepuszczała ratowników medycznych, tymczasem rannych mogło zostać nawet 100 osób, w tym 20 ciężko. Z drugiej strony palestyński Czerwony Półksiężyc przyznaje, że udało się przeprowadzić nocną ewakuację 3 tys. osób z obozu.

Epilogiem tych wydarzeń był zamach terrorystyczny w Tel Awiwie. Palestyńczyk samochodem uderzył w przechodnia, a następnie z nożem rzucił się na kolejnych. Pięć osób zostało rannych, a napastnik zginął.

Operacja Dom i Ogród nie rozwiąże żadnego problemu, a tylko pogłębi konflikt. Część osób wiąże nadzieje z ewentualnym końcem rządów Netanjahu. Jest to jednak wątpliwe, ubiegły rok był najkrwawszy od 2004, a wtedy Netanjahu był w opozycji. Równolegle Izrael jest areną jednych z największych w historii antyrządowych protestów, ale próżno szukać na demonstracjach haseł nawołujących do zmiany podejścia do Palestyńczyków.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zawodna pamięć

Rodzina wyjechała, są w miejscu, które ładnie się nazywa – Leśna Polana. W domu taki spokój, że zaczynam odczuwać niepokój. Do pisania idealne warunki, bo do pisania potrzebny jest spokój, ale podszyty niepokojem, tylko małym. O niepokój u mnie łatwo i nie zawsze chce być mały.

•

Konfederacja, czyli polska łagodna forma faszyzmu, rośnie w siłę. Gospodarczo bredzą, politycznie są rozmaici, ale zawsze mniej lub bardziej nacjonalistyczni i ksenofobiczni. Na konwencji Konfederacji największe owacje miał Grzegorz Braun, gdy mówił: „Historii nie będą nas uczyć Niemcy i Żydzi”. Tak, wątek antysemicki triumfalnie wchodzi do polskiej polityki. Braun też mówił, że następuje „banderyzacja polskiej racji stanu”, to o poparciu Polski dla Ukrainy. Najwięcej punktów zbiera Sławomir Mentzen, dorosły o twarzy dziecka, sprawny i gładki w internecie, ma proste recepty na wszystko, trochę go posłuchałem, więc rozumiem, że te filmiki na TikToku przyciągają młodych. Nowi zwolennicy Konfederacji to ludzie o poglądach prawicowo-narodowych, którzy są znudzeni lub zniesmaczeni PiS, wybierają zatem Konfederację jako alternatywę, mam krewnych, którzy właśnie dokonali takiego wyboru. Jest oczywiste, że Konfederacja zawrze koalicję z PiS, jeśli będzie taka okazja, chociaż na razie wali w PiS jak w bęben. Będzie jak z Kukizem, który poświęcił się dla swojego zbawienego programu dla Polski. I stał się żalosnym pisowskim eunuchem, co zapewne czeka także Konfederację. Zapach władzy działa jak narkotyk. Nawet się nie czuje, jak traci się przyrodzenie.

•

Czytam książkę Tomka Łubieńskiego „Osiemdziesiąt plus minus”. Autobiografia Tomka, który – nie do wiary – ma już osiemdziesiątkępiątkę i choruje od lat na zespół Hakima, straszną chorobę podobną do Parkinsona. Postępująca degeneracja ciała. Tomek od lat na wózku. I coraz bardziej skurczony w sobie. A taki był zawsze sprawny fizycznie, wspinał się. Ale głowa nadal otwarta i bystra, jakby na przekór wszystkiemu. Trochę brakuje mi w tej książce skrzydeł i wdzięku, to zawsze było w prozie Łubieńskiego, ale skrzydła zwęgliła zapewne choroba, a książka i tak ciekawa.

Zwróciła moją uwagę jedna scena, bo byłem jej świadkiem. Tomek wspomina o dyskusji po filmie „Pan Tadeusz” Wajdy, nagrywanej dla „Tygodnika Powszechnego”.

Wziąłem w niej udział psim śwędem. Prowadziłem spotkanie z Miłoszem, poszliśmy potem na kawę, powiedział mi, że ma jechać na pokaz filmu „Pan Tadeusz” i na dyskusję o nim. Odpowiedziałem, że zazdroszczę tego pokazu, on na to, że może zabrać mnie ze sobą na Chełmską. Siedziałem obok poety na pokazie filmu, który był jeszcze przed ostatecznym montażem, jemu film okropnie się nie podobał i trącał mnie co chwila mocno łokciem przy scenach, które szczególnie go drażniły. Szepnął potem, że nie może iść na tę dyskusję, ma tylko złe rzeczy do powiedzenia, a Wajda mu tego nie wybaczy. „Moja sytuacja jest straszna”, rozpacział. Nagle zaproponował, abym poszedł za niego. Jak głupi zgodziłem się, pewnie z pychy. W dyskusji brali udział Maria Janion, Małgosia Dziewulska i Tomek Łubieński, a Miłosz z żoną Carol siedzieli godnie na ławce przed budynkiem wytwórni filmów na Chełmskiej. Wszystkim ten film bardzo się podobał, tylko ja, natchniony przez Miłosza, niemal wcielony w niego, ale chyba też szczerze, film krytykowałem.

Wielka historia i przeszłość są przez ułomną ludzką pamięć bardziej odkształcane, niż nam się zdaje.

Dyskusja ukazała się potem w „Tygodniku Powszechnym”. Wyjechałem do Portugalii i nie mogłem autoryzować tekstu, mój głos zabrzmiał grubo i bardzo krytycznie. Krysia Zachwatowicz i Wajda boczyli się potem na mnie przez długie lata. Dlaczego o tym opowiadam? Otóż Tomek, wspominając tę dyskusję, pisze, że Miłosz był na niej i tylko groźnie milczał. Nie było go z nami, siedział z żoną na ławce. Potem odwiozłem ich swoim samochodem do domu. A może pojechali od razu, może pojechali taksówką? No właśnie, straciłem pewność.

Piszę o tym, bo zawsze niepokoi i porusza, jak zawodna jest ludzka pamięć. Tomek ma świetną, ja nędzną, ale tu jestem swojej pewien, Miłosz nie siedział przy naszym stole. To akurat głupstwo, ale trudno nie myśleć, że wielka historia i przeszłość są przez ułomną ludzką pamięć bardziej odkształcane, niż nam się zdaje.

•

Francja i zamieszki imigrantów. Znowu dar spadł PiS z nieba. Mają główny motyw wyborczy. Chronią Polskę przed obcymi, którzy podpalą ojczyznę. Podział na swoich i na obcych duchem i kulturą ma być kluczem wyborczym. My, którzy nie zgadzamy się z PiS, też jesteśmy obcy. O bogowie, jacy oni są obrzydliwi!

Przy okazji nowej biografii Krzysztofa Kozłowskiego

Andrzej Kurz

Nowe pokolenie „Tygodnika Powszechnego” zdobyło się na przyzwoitą biografię najpiękniejszej postaci swojego środowiska. Na próbę zrozumienia epoki Polski Ludowej i przemiany Polski przełomu ostatniego stulecia.

Biografia Krzysztofa Kozłowskiego pióra Andrzeja Brzezieckiego jest zarazem poszukiwaniem klucza do osobliwości przedwojennej polskiej inteligencji i jej roli historycznej, jej wysiłku włożonego w modernizację polskiego społeczeństwa. Książka ujmuje czytelnika życzliwością wobec głównego bohatera opowieści, tak różną od poszukiwania policyjnych podejrzeń i donosów.

Ale tu zaczyna się wkradać do autorskiej opowieści niesolidność i pycha właściwa młodym z tego środowiska.

Brzeziecki zechciał umieścić moje nazwisko w budzącej sympatię i zaufanie biografii w dziale „Relacje”, co mogło stać się źródłem mojej satysfakcji. Jednakże nie udzieliłem Andrzejowi Brzezieckiemu żadnej relacji. Nie otrzymałem bowiem od niego ani jednego pytania. Gdyby było inaczej, wypadłoby mi sprostować niektóre w książce nieścisłości, a zwłaszcza uzupełnić sporo luk właśnie w relacjach.

Zdarzyło mi się być blisko Krzysztofa Kozłowskiego w czasach naszej szkolnej młodości w Gimnazjum i Liceum Nowodworskiego, a i później bywać kilka razy w jego przyjacielskiej bliskości. Nasza przyjaźń była rzeczywiście bliska w latach gimnazjalnych 1945-1949. Szczególnie często starałem się spotykać z Kociem po pierwszych gimnazjalnych wakacjach, w czasie których przeżył okropną tragedię – widział, jak utonął jego ojciec, ratujący z morskiej topieli studentkę. Krzysztof zmienił się wtedy nie do

poznania psychicznie. Ta uratowana dziewczyna, Krystyna, została później wielką uczoną i specjalistką od dziejów Polski Ludowej, żoną mojego kolegi z Instytutu Nauk Społecznych – Adama Kerstena.

W tym okresie oddawaliśmy się z Krzysztofem z zapamiętaniem lekturze. Pamiętam przyniesione wówczas przez niego do mojego domu książki przywiezione przez jego ciotkę z emigracji – bogato ilustrowane wydanie „Bitwy o Monte Cassino” Wańkowicza i „Dywizjonu 303” Fiedlera. „Laur olimpijski” Wierzyńskiego zachowałem do dziś w mojej bibliotece i wykorzystalem przy wydawaniu wierszy i prozy Wierzyńskiego w Wydawnictwie Literackim.

Jednakże już w liceum znaleźliśmy się w dwóch różnych klasach szkolnych i oddaliśmy się różnym pasjom. Poza górskimi wędrówkami, które często nadal nas łączyły, ja wciąż byłem

interesujący się również marksizmem. Tak samo zresztą na lekcjach prowadzonych w naszej szkole przez nowego dyrektora – sławnego Henryka Sędziwego. Zostałem także wybrany na ogólnoszkolnego wójta (tak to wtedy się nazywało).

Początek 1948 r. był dla mojego dojrzewania okresem przełomowym. Razem z najbliższym przyjacielem (skądinąd byłym ziemianinem z Kresów, z którym później przez kilka lat mieszkaliśmy w Warszawie, w jego pracowni modelarskiej na Woli) poszliśmy do ośrodka OM TUR na spotkanie z Julianem Hochfeldem na temat jego książki „My socjaliści”. Wyszedłem ze spotkania głęboko przejęty i zdeklarowany za polską drogą do socjalizmu. Klarowna argumentacja, piękna polszczyzna, emocjonalny styl, a przede wszystkim polska niezależność Hochfelda pomogły mi zrozumieć, co to jest polska racja

Rozmawialiśmy o wspólnej naszej odpowiedzialności za to, co jest polską racją stanu, co nas zawsze łączyło, odkąd spotkaliśmy się w szkolnej ławce.

zorganizowanym harcerzem i czynnym sportowcem, a z klasami humanistycznymi jako uczeń klasy matematyczno-fizycznej nie miałem bliższych kontaktów. Nie należałem też, jak czytam w książce, do szkolnego koła Związku Młodzieży Polskiej. Mój stary przyjaciel z wyższej klasy Nowodworka nie chciał bowiem mnie przyjąć ani do socjalistycznego OM TUR, ani do nowo powstałego ZMP z powodu antyradzieckich poglądów. Wstąpiłem więc w 1949 r. do Koła ZMP przy Zarządzie Miejskim ZMP przyjęty jako znany sportowiec i sportowy działacz – prezes gimnazjalnego klubu sportowego Nałęcz. I zostałem odkryty w Zarządzie Miejskim ZMP jako zaangażowany dyskutant antyklerykalny,

stanu – odtąd słowo klucz w moim światopoglądzie.

Był to też czas radykalnego buntu przeciw szkolnemu katechecie, wiejskiemu prymitywowi z doktoratem, watykańskiemu polerem i wiceprobostwem w bazylice Mariackiej. Jego argumentacją był tekst: „Ty, Kurz, jesteś z porządnej rodziny, jakich broszur się nacytałeś?”.

Jeszcze w ostatnich tygodniach przed maturą zacząłem dorabiać jako sekretarz Zwierzynieckiego Klubu Sportowego. Po maturze z miłości do książek zapisałem się na polonistykę Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zresztą jako jedyny kandydat z Nowodworka. Na pierwszym roku studiów zacząłem (bez pozwolenia dziekańskiego)



90. urodziny Andrzeja Kurza. Nz. z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i Janem Ordyńskim.

dorabiać jako instruktor sportu w Młodzieżowym Domu Kultury przy ulicy Krowoderskiej. Tam również w 1950 r. wstąpiłem do partii. Już na pierwszych zajęciach uniwersyteckich zauważył mnie nasz asystent z zajęć z marksizmu i leninizmu – Marek Waldenberg, a także wykładowca tego przedmiotu dr Stefan Morawski. Na drugim roku studiów obydwaj zaproponowali mi zatrudnienie w roli zastępcy asystenta w ich katedrze. Już jako student drugiego roku prowadziłem więc ćwiczenia w 18 grupach na Wydziale Historii i Filologii. Przygotowywałem się do zajęć asystenckich niestychanie gorliwie, do zajęć studenckich mniej ochoczo, ale miałem bardzo dobre wyniki egzaminów. Na wniosek Marka Waldenberga zostałem wybrany do egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR na UJ.

Gdy ukończyłem studia polonistyczne pierwszego stopnia, skierowano mnie na studia magisterskie na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego w specjalizacji marksizmu-leninizmu prowadzone przez Andrzeja Werblana. Cały czas pracowałem na UW także jako asystent w Katedrze Podstaw Marksizmu-Leninizmu i działałem w partii jako członek Komitetu Uczelnianego PZPR na UW,

skądinąd u boku Zygmunta Bauman. A jako notoryczny prymus zostałem następnie skierowany na trzyletnie studia doktoranckie w Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR. Jego dyrektorem był Adam Schaff.

Mój rocznik 1955 w INS był ostatnim nowo przyjętym. Skończył się nabór cudownych dzieci, fenomenalnie zdolnych bez ukończenia regularnych szkół, z olbrzymim głodem wiedzy i okrutnym życiowym doświadczeniem konspiracji i walki. Z katedr INS wyszli wybitni filozofowie, tacy jak Kotakowski i Baczko, socjolodzy jak Szacki, Radgowski, historycy jak Madajczyk, Topolski, Turlejska, Holzer, Kersten, ekonomiści jak Brus, Kuźniński, Łaski, Gliński, Kleer, Madej, Krzak, Głowczyk, znawcy literatury i sztuki jak Roman Zimand, prawnicy jak Sylwester Zawadzki, politycy jak Mieczysław F. Rakowski i dziesiątki innych. Wśród doktorantów niestychanie solidnie traktujących swoje obowiązki byli córki partyjnych przywódców, Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana.

Radykalnie zmienił się też w tym czasie skład organizacji partyjnej INS – skończyła się przewaga starych komunistów i KZMP-owców. I sekretarz Komitetu Uczelnianego INS Seweryn

Bialer, bojownik getta łódzkiego, przeszedł w Berlinie Zachodnim na stronę amerykańską, podobnie jak poprzednio płk Józef Światło. Po paru miesiącach, w październiku 1956 r., na I sekretarza Komitetu Uczelnianego wybrano najmłodszego doktoranta. Tym najmłodszym wybrańcem byłem ja. W żywole zebraliśmy rezolucję, głosowań i listów do Biura Politycznego KC żądałem powrotu do władzy partii Władysława Gomułki.

Wielu absolwentów INS posyłało po Październiku '56 na stypendia na Zachód, głównie do Stanów Zjednoczonych. Mnie Schaff załatwił prawie roczny pobyt we Francji, w Nancy, w otwartym wówczas przez Europejską Współnotę Gospodarczą Centre Universitaire. Wysyłając mnie na staż naukowy do Francji, Schaff przewidywał, że po powrocie w 1958 r. przez pewien czas będę zajmował się w KC PZPR sprawami wydawnictw i, szerzej, książki w Polsce. We Francji zainteresowałem się jeszcze francuskimi badaniami socjologicznymi nad partiami politycznymi. Tymczasem w aparacie KC postanowiono zachować stary stan zespołu ds. książki, a poszukiwano ghostwriterów przygotowujących nowy tekst statutu PZPR i propozycje struktury partii. Zajmował się tym zespół z aktywnym udziałem Władysława Gomułki, kierowany przez Romana Zambrowskiego, uchodzącego wtedy za numer 2 w partii. Adam Schaff polecił mnie do tego zespołu. Decyzję w tej sprawie podjęto już pierwszego dnia po moim powrocie z Francji.

To były lata moich rzadkich spotkań z Kociem Kozłowskim. Zachowały jednak temperaturę uczuć i zaufania z wczesnej młodości. Pamiętam szczególnie jego długą wizytę wiosną 1976 r. w moim pokoju na pierwszym piętrze w KC, kiedy rozważaliśmy jego szansę wyboru na posła do Sejmu w Klubie Znak na miejsce Stefana Kisielewskiego. Kocio brał poważnie swoją kandydaturę i liczył na możliwość zaangażowania w to Zambrowskiego, który do tej pory odgrywał w każdorazowych wyborach do Sejmu bardzo ważną rolę. Uświadomiłem mu najszczerzej aktualną pozycję Zambrowskiego, który był już jednoznacznie i brutalnie kontrowany przez ►

► Zenona Kliszkę i nie miał nic do powiedzenia w sprawach kadrowych. Mógł tylko zaszkodzić. Zaproponowałem wręcz Kozłowskiemu, aby zwrócił się wprost do Kliszki ze skargą, że Zambrowski proponuje przez swoich ludzi wybór kandydatury Kozłowskiego jako najmniejsze niebezpieczeństwo dla partii. Kocio nie poszedł na tę intrygę. Wkrótce obaj przekonaliśmy się, że epoka Zambrowskiego skończyła się bezpowrotnie.

Tylko dzięki pomocy Cyrankiewicza udało się Zambrowskiemu rekomendować Wydziałowi Organizacyjnemu KC, aby przekazali mnie do Krakowa do pomocy Lucjanowi Motyce w organizowaniu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. W owym czasie nie było w sekretariacie KW w Krakowie ani jednego działacza związanego w przeszłości pracą lub studiami z UJ. Na najbliższej partyjnej konferencji wojewódzkiej zostałem już jako I sekretarz Krakowskiego Komitetu Miejskiego wybrany do sekretariatu komitetu wojewódzkiego i zająłem się przygotowaniami jubileuszu UJ, w szczególności ogromnym programem inwestycyjnym. Nie miałem w tym czasie szczególnych kontaktów z Krzysztofem, ale spotykaliśmy się w samolocie do Warszawy i dużo rozmawialiśmy. Ale nie opowiadałem mu o moich konfliktach z Kliszką.

To nie był kres moich przygód i wędrówek między Krakowem i Warszawą. Po 20 latach przeszedłem do ruchu wydawniczego, do czego przygotowywał mnie jeszcze w latach 50. Adam Schaff, a następnie do pracy w mediach (przygotowywany do niej w latach 60. przez Artura Starewicza), zawsze przy oporze Zenona Kliszki.

W lutym 1965 r. zlikwidowano Krakowski Komitet Miejski PZPR, pozostawiono zaś Miejską Radę Narodową, niezależną od Rady Wojewódzkiej. Mnie z aparatu miejskiego przeniesiono na podrzędne stanowisko w Wydziale Organizacyjnym KC i w szkolnictwie partyjnym, ale pozwolono także na zatrudnienie mnie w artystycznym szkolnictwie wyższym w Warszawie.

Kiedy przewodniczyłem Krakowskiej Radzie Miejskiej pod koniec Polski Ludowej, zaproponowano mi program biograficzny w krakowskiej

telewizji. Jego autorka, red. Irena Wollen, poprosiła o głos o mojej biografii moich najbliższych przyjaciół – właśnie Krzysztofa Kozłowskiego, prof. Władysława Zalewskiego i rektora Jerzego Trelę. Najważniejsze wątki tego programu telewizyjnego działały się w Wydawnictwie Literackim na tle wspaniałego gmachu Pod Globusem.

Okazało się, że wkrótce obaj z Kozłowskim startujemy z dwóch różnych obozów w wyborach sierpniowych 1989 r. – on do Senatu, ja do Sejmu. Nie poprosiłem go wówczas o pomoc w drugiej turze wyborów. W tamtym czasie napotkałem zorganizowane przeciwdziałanie ze strony krakowskiego aparatu partyjnego i Służby Bezpieczeństwa. Razem z Hieronimem Kubiakiem liczyliśmy na naszą popularność w środowiskach inteligentnych. Przyjazne obietnice otrzymaliśmy ze strony Stefana Bratkowskiego z Warszawy. I daliśmy się ograć aparatowi własnej partii i władzy. W czasie jednej ze wspólnych podróży poinformowałem o moim rozczarowaniu red. Jerzego Turowicza.

Zadzwońiłem do Kocia w Warszawie dopiero po tym, jak został ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Poprosiłem go wtedy o pomoc w sprawie zezwolenia na zakup mieszkania w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu obywatelce francuskiej współpracującej z polskimi wydawcami. Dodałem, że używałem tego mieszkania już od dłuższego czasu i będę go używał. Usłyszałem: „Jędrus – policja wie wszystko, jutro o godz. 8 rano płk Garstka w dyżurze na Rakowieckiej wręczy ci stosowną decyzję ministra”.

W późniejszych latach byłem wiele razy zapraszany na oficjalne spotkania z Kozłowskim i sporo czasu spędziliśmy znowu na rozmowach o Polsce i o naszych marzeniach. I jak zawsze nasze myśli, tak różne w punkcie wyjścia, zbiegały się w nowych czasach. Długo później rozmawialiśmy o naszej wspólnej odpowiedzialności za to, co jest polską racją stanu, co nas zawsze łączyło, odkąd spotkaliśmy się w szkolnej ławce.

Kiedy zaś moja pupilka w Wydawnictwie Literackim,

która po długich perypetiach została jego dyrektorką i prowadziła jego prywatyzację, spotykała się ze mną bez wiedzy wydawniczej Solidarności i obawiała się, że upadające wydawnictwo zostanie dokupione do gwałtownie rozrastającego się Wydawnictwa Znak i że Krzysztof Kozłowski to ze mną załatwi (doradzałem wtedy w tych sprawach krakowskiemu wojewodzie), Kocio ani przez chwilę niczego podobnego nie zaproponował.

Gdy zaś sam wrócił na zastępcę redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, zaproponowałem mu mój artykuł o rosnącym zainteresowaniu trudnymi sprawami naszej polskiej współodpowiedzialności za Holocaust. Przyjął mój pomysł natychmiast, aby po dłuższym czasie i z przerażeniem w głosie odpowiedzieć mi, że nowy naczelny nie życzy sobie mojego nazwiska wśród autorów „TP”. I z prawdziwą rezygnacją dodał: „Ja już tu nic nie znaczę”. Artykuł przyjął do „Polityki” jak zawsze przyjazny i pomocny Marian Turski.

Kiedy Krzysztof Kozłowski ciężko zachorował, umówiłem się z Markiem Tarnowskim, że wybierzemy się do niego z wizytą. Czekałem na zaproszenie Marka do już niewidomego Krzysztofa. Ponieważ dosyć długo się do mnie nie odzywał, zadzwoniłem sam i usłyszałem jego żonę, która powiedziała: „Wiem, że mieliście pójść razem do Krzysztofa, ale Mareczek właśnie umiera. Jeżeli pan zechce przyjść się z nim pożegnać, czekam na pana jutro”. Natychmiast zadzwoniłem do Kocia i usłyszałem jego słaby, ale wyraźny głos: „Jędrus, już się nie spotkamy. Mareczek umiera, ja też się wybieram”. Następnego dnia Marek już nie żył. Kocio umarł kilka dni później.

Nasi wspólni przyjaciele zaprosili mnie na odstonięcie popiersia ministra Krzysztofa Kozłowskiego na dziedzińcu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jestem im za to wdzięczny. Czulem się właściwym dla uczczenia jego wielkości.

Andrzej Kurz



Andrzej Brzeziecki, *Kocio, Kocio, Kocio*, senator. Biografia Krzysztofa Kozłowskiego, Znak, Kraków 2022



Autorka na stoisku „Przeglądu” podczas Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, maj 2023 r.

Kraina kwitnących waśni

Z miesięcznika Ewy Nowakowskiej, autorki książki „Cie(r)ń szansy”

GRUDZIEŃ 2020
Dziki w zaroślach

Prof. Czarnek głosił ex cathedra, że wyzwolenie kobiet to jest kamuflaż dla walki z rodziną. „Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana! Pierwszą funkcją rodziny jest rodzić. Wiedzą to nawet dziki w zaroślach!”. Szokuje kogoś porównanie ludzkiej

seksualności do igraszek dzików w zaroślach? Ale prof. Czarnek to w istocie pocziwiec! Gdy zarzucono mu mizoginizm, wyznał z rozbrajającą szczerością, że mizoginem być nie może, bo do niedawna w ogóle nie znał tego słowa! Pan Jourdain z „Mieszczanina szlachcicem” też nie wiedział, że przez całe życie mówi prozą! Ale ów nie był profesorem. Czy profesura nie zobowiązuje do obycia kulturalnego i oswojenia z terminami w językach obcych? Kiedy

prof. Czarnek został ministrem edukacji i nauki, nauczyciele zażęsknili za minister Zalewską: „Gdy Anna Zalewska doszła do władzy, myśleliśmy, że gorzej być nie może. Teraz okazało się, że jednak może!”; „Uczymy dzieci poszanowania godności człowieka, mówimy, że prawa człowieka są ważne. A potem ministrem edukacji zostaje człowiek, który temu zaprzecza. To straszne”; „Wątpliwości budzi nie tylko poziom kultury pana Czarnka, ale przede wszystkim brak wiedzy i wyrażanie opinii na podstawie stereotypów, a wręcz zabobonów. Czy czeka nas edukacja oparta na zabobonach i mentalność rodem ze średniowiecza?”; „Czy będzie dawał medale Komisji Edukacji Narodowej za uczenie dzieci nienawiści do nieheteronormatywnych kolegów?”.

Grzechy czy grzeszki?

„To nie są żadne dokumenty, to są filmidła, pomówienia (...). Książd jest niewinny, póki mu nie udowodnią (...). Jak ktoś wygaduje na Kościół, to trzeba go uciszyć (...). To co, że książd zgrzeszył? No zgrzeszył... Kto nie ma pokusy, niech się pokaze...”. Tak z porozumiewawczym uśmiechem prawił Ojciec Inkasent podczas obchodów 29-lecia Radia Maryja. Bp. Edwarda Janiaka, usuniętego przez papieża za chronienie pedofilów, nazwał współczesnym męczennikiem. Przysłuchiwali się temu z aprobatą minister Ziobro i liczna kompania pisowskich dostojników – ministrów i europosłów. Bili brawo swojemu przewodnikowi duchowemu. Biskupi też. Z powodu wirusa (?) nie było najważniejszych: prezesa, premiera i prezydenta (przestali wiernopoddanie listy gratulacyjne), nie było też rządowych płasów w rytm „Barki”, które w poprzednich latach podziwiał świat. Dopiero gdy media opozycyjne nagłośniły występ Rydzyka, odezwali się kościelni dostojnicy w tonie wymuszonej dezaprobaty. Po kilku dniach Rydzyk zakomunikował, że został niewłaściwie zrozumiany, a intencje miał dobre. Minister sprawiedliwości milczy. Najwyraźniej i dla niego występki kościelnych drapieżników seksualnych to tylko drobne grzeszki, niewarte uwagi. ▶

► **Biden piastowicz**

Polska prawica z trudem przeżyła klęskę Trumpa. Ale już próbuje ustawić się zgodnie z nowym wiatrem wiejącym z Ameryki. Niejaki Marek Budzisz z „Sieci” zastanawia się, „jak wygrać prezydenturę Bidena”. Jak? Czyniąc z niego prawie Polaka, członka narodu wybranego, potomka Mieszka I! Żarty? Ale skąd! Budzisz powołuje się na genealogów, którzy dowodzą, że Biden jest potomkiem księżniczki Małgorzaty z Cieszyna, damy dworu królowej Anny Czeskiej, żony Ryszarda II. Owa Małgorzata, córka księcia Przemysława z Piastów, wyszła za Brytyjczyka, sir Simona Felbriggę, i urodziła mu córkę Helenę. Helena zaś była pra-pra-prababką prezydenta Joeego Bidena! Gdy ów się o tym dowie, z pewnością będzie przychylny Polakom. W końcu jest katolikiem, chociaż, ku ubolewaniu katotalibów, demokratą, czyli prawie komunistą...

STYCZEŃ 2021**Na bruk!**

Abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski, bicz na gender, LGBT i inne wcielenia szatana, eksmitował redakcję „Tygodnika Powszechnego” z historycznej siedziby przy ulicy Wiślniej 12. Redakcja mieściła się tam od ponad 76 lat. Ma ogromne archiwum i licznych przyjaciół wśród światłych katolików. „Tygodnik” przetrwał wszystkie zakręty PRL i III RP. Trzeba było dopiero sojuszu narodowo-katolickiego tronu z ołtarzem Jędraszewskiego i Rydzyka, żeby zrobić krzywdę pismu inteligencji katolickiej.

PAŹDZIERNIK 2021**Koszt głupoty – 700 tys. zł**

Głupota bywa sobą zachwycona. Szef warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej”, niejaki Adam Borowski, pochwalił się na Facebooku, że wraz z kolegami zniszczyli 140 tablic upamiętniających miejsca walk i męczeństwa mieszkańców Warszawy podczas II wojny światowej. W miejsce słowa „hitlerowcy” dokleili słowo „Niemcy”. Użyli bardzo silnego kleju, który zniszczył zabytkowy piaskowiec. Nazwali to „walką z kłamstwem

historycznym”. Kto tu kłamie? Przecież wśród hitlerowców pacyfikujących Warszawę byli nie tylko Niemcy. Także sprzymierzeni z nimi Węgrzy, Ukraińcy, Litwini. Renowacja zniszczonych tablic może kosztować 700 tys. zł. Pytanie za 10 punktów: czy patridioci zapłacą za renowację i dlaczego nie?

Wiwat akademial!

Osobistą decyzją ministra Czarnka „uczelnia” toruńskiego Ojca Inkasenta, czyli Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej, została wyniesiona od roku akademickiego 2021/2022 do rangi akademii. Czarnek osobiście zawiózł Rydzykowi akt zmiany nazwy, tak ją uzasadniając: „Co to jest wyższa szkoła przy takiej pracy, jaką się tutaj wykonuje?”. Dalej zapewniał, że gdyby nie aktywność ojca dyrektora, to „walec laicyzacji, który widzimy, jakie wyrządził szkody w Europie Zachodniej, przejechałby także przez Polskę. Ale nie przejechał i nie przejedzie!”. Prof. Joanna Senyszyn dostrzegła w tej decyzji drugie dno: szykowanie bezpiecznej przystani dla funkcjonariuszy reżimu po utracie władzy, np. dla udającego prezydenta dr. Dudy. Sierotom po kaczym przysmaku będzie zaliczyć miękkie lądowanie w akademii niż w szkole, choćby i wyższej. Senyszyn przypomina, że od początku rządów PiS tzw. dzieła Rydzyka dostały z państwowej kasy ponad 325 mln zł, a sama szkoła 23,5 mln zł. Przy okazji: w budżecie państwa na 2022 r. przewidziano 192 mln zł na Fundusz Kościelny (obejmuje m.in. składki ubezpieczeniowe dla księży). Przed rokiem było to najpierw 140,8 mln zł, ale wkrótce „bez żadnego trybu” powiększono go do kwoty 181,8 mln zł. Władza może powtórzyć ten manewr, bo kto jej zabroni? (...)

STYCZEŃ 2022**Czy dzieci lubią być gwałcone?**

Janusz Szymik jako 12-latek stał się ofiarą przemocy seksualnej ze strony ks. Jana W. w Międzybrodziu Bialskim. Przemoc trwała kilka lat, co zostało udowodnione, a sprawca się przyznał. Jako dorosły Szymik domaga się zadośćuczynienia w wysokości 3 mln zł. Zwierzchnicy kościelni,

chroniący przestępcę, starają się tego uniknąć. Ostatnio prawniczka reprezentująca bp. Romana Pindla, zwierzchnika diecezji bielsko-żywieckiej, zażądała, aby sąd zasięgnął opinii biegłego seksuologa, który sprawdzi, czy Szymik nie jest homoseksualistą i czy nie czerpał zadowolenia z seksu ze swoim oprawcą. Czy ich relacja nie była „oparta na dobrowolności i wzajemnych korzyściach”. Gdyby przyjemność była obopólna, pozew można by oddalić. Kuria brzytwy się chwyta, żeby odszkodowania nie zapłacić. Szymik czuje się poniżony cynizmem biskupa. Obarczanie współodpowiedzialnością nieletniej ofiary przemocy to okrucieństwo i wtórna wiktymizacja, ale dla ludzi Kościoła ofiara jest tylko kłopotem, liczy się pieniądź.

Ząb wielkiej mocy

„Wysłałem tę relikwię na cały dzień i noc do parafian, aby papież zobaczył, jak wygląda życie zwykłych ludzi i wiedział, o jaki cud prosić przed Bogiem”, informuje ks. Tomasz Chciałowski, proboszcz parafii Matki Boskiej Fatimskiej w Legionowie. Relikwia to ząb JP II. Można go wypożyczyć, a wtedy posłuży jako narzędzie osobistej komunikacji ze świętym. Bezcenne. Jedna wątpliwość – czy święty, który wszystko widzi, musi korzystać z pośrednictwa zęba w roli kamery?

Powstań, polski naukowcu!

Tak apeluje dr hab. nauk ekonomicznych, członek Rady Polityki Pieniężnej, Eryk Łon. Ten uczony mąż prosi wszystkich ludzi dobrej woli o „żarliwą modlitwę połączoną z postem w intencji wypędzenia złego ducha kosmopolityzmu z naszych uczelni, szczególnie ekonomicznych”. Zły duch „chce nam obrzydzić i ośmieszyć w obszarze nauki przywiązanie do wartości katolickich i patriotycznych”. Dr Łon zastąpił wcześniej przekonaniem, że „aby uchronić Polskę przed kryzysem gospodarczym, drogowskim dla polityki pieniężnej powinna być heroiczność cnót św. Moniki”, z przepowiedni fatimskich wynika zaś wprost, że Polska nie powinna przyjmować euro. Cytując: „Wspólna waluta jest

jednym ze źródeł konfliktów w Europie, przewidzianych w przepowiedniach fatimskich i objawieniach w Gietrzwałdzie. Wprowadzenie euro do Polski byłoby ZBRODNIĄ wobec narodu polskiego!”.

Nowa gwiazda na prawicy

To niejaka Maria Kurowska z Solidarnej Polski, lat 67, postanka z Podkarpacia, z zawodu nauczycielka. Zwróciła na siebie uwagę, krążąc po Sejmie z figurką św. Andrzeja Boboli, zawierającą podobno relikwie świętego. Postanka wyjaśniła dziennikarzom sens tych peregrynacji: „W rozwiązywaniu trudnych spraw trzeba odwoływać się do Pana Boga. (...) Od 2 grudnia, od czasu, gdyśmy sprowadzili relikwie św. Andrzeja do kaplicy sejmowej, zaczęło się uspokajać na granicy. Była już taka napięta sytuacja! Dlatego ja, starając się o te relikwie, bo to ja jestem winowajcą tych relikwii, chciałam, żeby to zrobić szybko, bo widziałam, co się dzieje na granicy, że jest takie napięcie...”. Mo-
wa mocno splątana, ale wynika z niej, że stał się cud! Święty zatrzymał najeźdźców. Ta sama postanka ogłosiła podczas obrad komisji ochrony środowiska, że stare drzewa należy wycinać, bo „nie tylko nie produkują tlenu, ale jest wręcz proces odwrotny, one wyciągają z atmosfery tlen”. Ciekawi mnie, czy pani nauczała biologii, czy języka polskiego. W obu przypadkach szczerze współczuję jej uczniom.

CZERWIEC 2022

Gwałt na torach

Niejaki Jaki, ambitny kandydat na prezydenta stolicy, której nie znał, bo świeżo tu zamieszkał, obiekt kpín satyryków, autor słynnej hatakumby, odgryzł się wszystkim kpiarzom z nawiązką. Został europarlamentarzystą, brukselczykiem i doktorem więziennictwa w jednym. Oto, do czego można dojść talentem i pracą. Ostatnio dr Patryk Jaki podzielił się z portalem Interia refleksjami na różne tematy. Najciekawsze były te o Polsce i Unii Europejskiej. „Polska zbyt często skacze tak, jak zagra nam Zachód, a my, z całym szacunkiem, nie jesteśmy Czechami czy Słowakami. Jesteśmy za dużym narodem z pięknymi

tradycjami, aby być tylko małym, zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie”. Jedna opinia, a tyle w niej wątków i znaczeń! My, Polacy, jesteśmy wielcy, to oczywiste, choć czasem mylimy się w skokach. Czesi i Słowacy są od nas gorsi, to też jasne, ale czy to wystarczający powód, by degradować ich do roli małych wagoników? Wreszcie ta metafora – małe wagoniki w szponach lokomotywy, która je gwałci. Czy chodzi o szczególny rodzaj pedofilii w świecie techniki? Tego seksuologia jeszcze nie zbadała, Jaki jest tu pionierem. Czyżby przymierzał się do habilitacji, w której twórczo połączy temat więziennictwa (wagoniki uwięzione przez lokomotywę) z wątkiem perwersji seksualnej wśród dużych urządzeń technicznych (gwałt na słabszych i pozostających w zależności, bo przecież bez lokomotywy wagoniki nie pojadą). Doktorat Jakiego promowali wojskowi nawigatorzy. Gdzie tym razem znajdzie promotorów?

Nie róbcie tego Kopernikowi!

Mało kto zauważył, że prezydent Duda, ostatnio nadaktywny na wielu polach, złożył w Sejmie projekt ustawy o nowej instytucji naukowej: Akademii Kopernikańskiej. Po co? Po to, żeby PiS miało „swoich” uczonych, własną elitę intelektualną. Środowisko akademickie – poza wyjątkami, jak prof. Zybertowicz czy prof. Legutko – dystansuje się od partii prezesa. Ta nie pozostaje mu dłużna. Za „pierwszego PiS” próbowano spacyfikować środowisko poprzez lustrację, potem za pomocą tzw. reformy Gowina, na koniec przypięto mu łatkę postkomunistów i lewaków. To, że celem nauki jest postęp, a nie gry polityczne, nie trafiało do przekonania rządzącej prawicy. Kij nie zadziałał, przyszedł czas na marchewkę. Ktoś (prezydent? prezes? doradca?) wymyślił nową instytucję, złożoną z „własnych” uczonych. Członkostwo akademii będzie można uzyskać przez polityczne mianowanie. Pierwszych stu akademików mianuje prezydent, kolejnych dobierze sobie elitarna setka. Czym zajmą się te tęgie głowy? Ile dostaną pieniędzy? Poczekamy, zobaczymy. Tylko Kopernika żal. Ru-szył Ziemię, a przyjdzie mu firmować

grono tych, którzy na polityczne zlecenie zechcą ją zatrzymać, a nawet cofnąć. (...)

SIERPIEŃ 2022

Nie mamy pańskiego wieńca

15 sierpnia obchodzimy Święto Wojska Polskiego i Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, nazywanej tegoż wojska Hetmanką. Prezydent Duda, który ostatnio nie mówi, nawet nie przemawia, tylko przy każdej okazji histerycznie krzyczy, akcentując pauzy, wywrzeszczał na placu Piłsudskiego: „Pokazaliśmy całemu światu determinację, broniąc granicy Polski, UE, strefy Schengen. Mimo różnego rodzaju ataków, różnych DURNIÓW I ZDRAJCÓW, różnych ludzi nieodpowiedzialnych, polski żołnierz stanął na wysokości zadania”. To znaczy wypychał (push back!), bił, wyzywał, nie reagował na prośby o ochronę międzynarodową, o wodę i pomoc medyczną ze strony uchodźców. Durnie i zdrajcy to wolontariusze niosący pomoc w sytuacjach zagrażających życiu (też szukanowani przez „polskiego żołnierza na wysokości zadania”) i politycy upominający się o przestrzeganie konwencji o uchodźcach, a w pierwszej kolejności o ludzką wrażliwość i przyzwoitość. Tako rzecze pierwsza osoba w państwie, humanista i doktor praw. Facet, który swoje złote myśli – nierzadko obraźliwe dla ludzi przyzwoitych – dekoruje minami z repertuaru Maliniaka ze słynnego serialu „Czterdziestolatek”. Dysonans w tym, że Maliniaka grał wybitny komik, Roman Kłosowski, a prezydenta odgrywa lichy amator. Nawiasem i bez komentarza, bo nie ma na to cenzuralnych słów: tuż przed przybyciem oficjalnej delegacji partyjno-rządowo-prezydenckiej spod Grobu Nieznanego Żołnierza usunięto wieńce złożone wcześniej przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego i Koalicję Obywatelską. Gwoli przypomnienia: przed kilku laty rząd PiS odebrał samorządowi stolicy plac Piłsudskiego i przekazał pod zarząd „własnego” wojewody. I niech sobie Trzaskowski szuka wieńca na śmietniku. Nie mamy pańskiego wieńca i co nam pan zrobi?

Ewa Nowakowska

Dziecko pasące krowy
na rżysku, 1933 r.



Joanna Kuciel-Frydryszak

W 1929 r. czasopismo „Głos do Kobiet Wiejskich” na pierwszej stronie publikuje relację instruktorki, która prowadzi na wsi kurs gospodarstwa domowego: „Któregoś dnia jesiennego córeczka siedmioletnia gospodyni, u której mieszkalam, przyszła z pastwiska splakana, przestraszona, chora. Przy rozbieraniu się jej do snu matka patrzy, a tu koszula dziecka jest od dołu cała zakrwawiona i cały dół brzuszka też krwią zastygłą zwalany, okazało się przy bliższym zbadaniu, że nad dziewczynką dokonano gwałtu. Dziecko długo chodziło senne, jakby otumanione, ale na trzeci dzień, pomimo płaczu dziewczynki, matka wygnała je znów z krowami na ugor”.

Pasionka to zwykły los chłopkieskiego dziecka. Budzone o świcie, prowadzi zwierzęta na pastwisko, zwykle krowę, czasami przez całą wieś. Tam pilnuje, aby nie wchodziła na sąsiednią miedzę i nie uciekała, a późnym wieczorem spędza ją z powrotem do gospodarstwa. „Bywają wsie, gdzie dzieci wszystkie są niewolnikami krów, cielaków, owiec, koni, świń” – pisze w 1928 r. w czasopiśmie „Głos do Kobiet Wiejskich” Pelagia Restorffowa, działaczka społeczna, która zwalcza pasionkę dzieci.

Wszyscy wiedzą, że część dzieciaków chodzi na pastwisko zamiast do szkoły. Kilkuletnie dziewczynki

najczęściej zaczynają od pasania drobnych zwierząt, gęsi, kaczek, aby z wiekiem zastąpić starsze rodzeństwo przy wypasie krów. Kazimiera Długolecka, która swoją rodzinę wspomina jako dosyć bogatą („mieliśmy podłogi i podwójne okna”), pasła gęsi od piątego roku życia: „Pasało się na wspólnym pastwisku około półtora kilometra od domu. Ukroili pajdę chleba, wydrażyła mama dołek, nałożyła tam masła, nakryła tym kawałkiem, co wydrażyła, zawinęła w czystą, lnianą ściereczkę i to było pożywienie na cały dzień”.

Pelagia Restorffowa pomstuje: „Co robią te gromady dzieci, włócząc się po lasach? Jaką szkołę zepsucia, łajdactwa, jakim ogłupieniem jest dla nich to bezmyślne łożenie w próżnowaniu, i ciągłe obcowanie dziewcząt z chłopcami bez oka starszych, bez opieki i kontroli niczyjej – domyślić się łatwo. Czy ta krowa lub świnia nie może być inaczej żywiona tylko koniecznym kosztem zdrowia duszy dziecka? Kosztem niepowetowanej straty najlepszych, najpiękniejszych lat życia człowieka?”. Daje do zrozumienia, że to na pastwisku dzieci

przechodzą inicjację seksualną. „Nauką wszelkiej rozpusty jest pasionka” – stwierdza i wzywa: „Pasionka to przeżytek stary, który musi być wytępiony i wraz z kołowrotkiem, sochą i innymi starymi sprawami iść w zapomnienie czem prędzej”.

Ale nie idzie. W najbiedniejszych rodzinach oddają dzieci do bogatych gospodarzy, w ten sposób mogą one zarobić, przynajmniej na jedzenie. (...)

Matki załamują ręce, pasionka zmienia ich dzieci. „Jak zaczęły krowy pasać, to się tak kłąć nauczyły, że wprost rozpacz brała słuchać przekleństw. Nie pomagała różga, bo uciekały w pole, jak dzikie zwierzęta”, wspomina gospodyni spod Miechowa, która w końcu znalazła na to sposób: za każde przekleństwo dzieci musiały zmówić dziesięć paciorków. I podziało.

Wielu mężczyzn w swoich wspomnieniach romantyzuje pasionkę, jednak część z nich realistycznie opisuje, co naprawdę się działo na pastwiskach: „Samogwałt, gwałcenie dziewczyn i tym podobne rzeczy były na porządku dziennym. Życie

na pastwisku to jedno wielkie bagno moralne, w którym nurza się dusza dziecka, zatracając wszelkie cechy człowieka, obraca się w małe zwierzątko, które stara się zaimponować drugiemu podobnemu stworzeniu ilością i sumą tych rzeczy, które w ich pojęciu świadczą o dojrzałości czy wyższości. Na pastwisku rodzą się myśli, gdzie by co ukraść, co zrobić komu na złość”, wspomina mężczyzna, który spędził dzieciństwo pod Puławami. (...)

To może – proponuje Pelagia Restorffowa – nająć jakiegoś inwalidę czy starszego człowieka na pastucha, żeby pasł bydło całej wsi. Po co marnować dzieci i odrywać je od nauki? „Po co przywiązywać je do tych ogonów krowich?”, pyta. To wołanie również na nic. Dziecko wiejskie musi być robotnikiem.

Gdy małorolni chłopcy w latach 30. oszczędzają na zapalkach, płacenie za wynajęcie pastucha nie mieści się im w głowach. Wysyłanie dzieci do bogatszych gospodarzy to dla najuboższych rodzin wielodzietnych ratunek przed głodem. Kmiecie korzystają z okazji – po co płacić pastuchowi, jeżeli można nająć dziecko za kawałek chleba?

Wieś międzywojenna dramatycznie się rozrasta. Gospodarstwa są dzielone pomiędzy wychodzące z domu dzieci. Z całkiem sporej ojcowizny w ciągu dwóch pokoleń zostają marne poletka, karłowate. Nigdy dotąd tak wiele wiejskich dzieci nie zaczynało tak wcześnie pracy zarobkowej.

Na pastwiskach cierpią też z innego powodu. Biegają po trawie boso, więc ich stopy krwawią. Matki mają na to swoje rady. „Mama często mi myła, a potem trzeba było nogi obesusiać i na drugi dzień nie było śladu okaleczeń”. Kazimiera Długofęcka zapamiętała też sposoby, jakimi jej matka radziła sobie z pęcherzami na jej stopach, najczęściej na piętach. „Najpierw zgrubienie skóry, potem stan zapalny, no i ropień. Dobrze, jak mama zauważyła, że dziecko kulało. Przykładano świńską kupę, dobrze nogę zawinięto i to przerywało chorobę”.

Spółecznicy szukają sposobu, jak rozwiązać problem pasionki. Można

by było – podpowiadają – wzorem Czechów i Duńczyków przywiązać krowę do palika co dzień w innym miejscu, niech się pasie sama. To dla chłopów niewyobrażalne, krowa ma zbyt wielką wartość, żeby puszczać ją samopas.

Córka małorolnych chłopów spod Włocławka, jedno z dwanaściorga ich potomstwa, z twarzą spaloną od słońca, spękany nogami, w jednej sukience, bez majątek, biega cały dzień z jednej strony łąki na drugą, by upilnować stado gęsi. Ma pięć lat. W porze obiadu rodzeństwo przynosi jej zupę. „Dwa kartofelki, trochę kaszy zalanej mlekiem. Dostawałam też kawałek placka z ziemniaków. I o tym aż do zachodu słońca. Latem, gdy przyszły upały, brałam butelkę wody do picia, a gdy i tej mi zabrakło – piłam wodę z mętnej sadzawki, w której kąpały się gęsi”.

Pasionka to zwykły los chłopskiego dziecka. Budzone o świcie, prowadzi zwierzęta na pastwisko, czasami przez całą wieś.

Wkrótce jej sytuacja ma się poprawić. Bogatsi krewni zabierają ją do siebie „do pomocy przy dzieciach”, jak twierdzą. To częsta praktyka na wsiach. Kilkuletnie dziewczynki pomagają bogatszej rodzinie, pilnując maluchów w zamian za wikt i opierunek. Szybko się jednak okazuje, że ma być „dziewką”, jak nazywano na wsi służące pracujące w gospodarstwie. „Dzieci trzeba było bawić, paść krowę na łące nad Wisłą, rąbać drzewo, sprzątać w mieszkaniu, karmić świnię, drób, prać pieluchy i nosić wodę. A do szkoły tylko czasami”, wspomina. Niedługo potem przyjeżdża w odwiedziny brat matki z Ameryki i ogląda jej pokaleczone od rąbania sosnowych pieńków dłonie, przygląda się też jej nogom – całym w strupach od ostrej trawy, po której goni za krową.

– U nas w Ameryce o dzieci się dba. Takich dzieci tam nie widziałem – mówi wstrząśnięty, zabiera ją promem do Włocławka i tam kupuje jej buty. (...)

Wiejska dziewczyna musi być przede wszystkim robotna, by

okazać się przydatną. Inaczej stanie się zbędna i tak też się będzie czuła. Gdy tylko zaczyna chodzić, uczy się swojej roli harowaczki. W popularnej broszurze „Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach” napisanej przez Antoszkę, ludową nauczycielkę, w drugiej połowie XIX w., ale wciąż popularnej w międzywojniu, kobiety wiejskie znajdują takie rady: „Skoro tylko cokolwiek podrosną trzyletnie i czteroletnie dziewczynki, trzeba, aby sprzątały swoje ubranka, zabawki, ojca i matki obuwie, podawały kawałki drewna, kartofle i t.p. usługi spełniały. Jeszcze starsze, czteroletnie i pięcioletnie powinny już pomagać przy domowych porządkach. Niech zamiecie izbę, zetrze stół, ławę, umyje miskę, naniesie drewna, rzuci kurom jeść, zapędzi prosiaka do chlewika, aby przywykała powoli do zajęcia”.

Przez pierwsze lata, zanim stanie się „istotne gospodarczo”, dzieckiem nikt się właściwie nie zajmuje, a w najlepszym wypadku opiekuje się nim rodzeństwo, starsze zaledwie o kilka lat. Gorzej, jeśli dziecko rodzeństwa jeszcze nie ma.

Kiedy w 1925 r. ojciec Marianny Sekiety ze wsi Anielin pod Łodzią wyjeżdża do Francji do pracy w kopalni, jej matka musi przejąć wszystkie prace w gospodarstwie. Zabiera więc kilkumiesięczną córkę w pole, kłeci prowizoryczną kotłyskę z płachetki i kijów, dziecko leży w niej całymi dniami. Widok takiego bujanego wiatrem łóżeczka w polu to nic nadzwyczajnego, kobiety nazywają je bujką.

– Była jesień, niemowlę zachorowało na zapalenie płuc, ale nikt nie pomyślał, aby sprowadzić lekarza. Uznano: cóż, taki los. Niemowlę przykryto płóciennym, bo wydawało się, że nic już się nie da zrobić – relacjonuje jedna z dwóch córek Marianny Wujak (z domu Sekieta), lekarka.

Rzeczywiście, śmierć dzieci zdarza się niemal w każdej rodzinie i tak ▶

► często, że trzeba sobie powiedzieć po prostu: Bóg dał i Bóg wziął.

– Jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, wkrótce spod całunu wydobył się płacz i oznajmił światu, że życie zwyciężyło – kontynuuje córka Marianny.

Odtąd jej matka rośnie zdrowo, a kiedy kończy pięć lat, przejmuje opiekę nad swoim półtorarocznym bratem. Całe życie wspomina moment, gdy braciszek wybiegł z nieogrodzonego podwórka prosto pod rozpędzone konie. Miała szczęście: w ostatniej chwili zdążyła go złapać. W 1933 r. okaże się, że jej dotychczasowe dzieciństwo było jednak beztróskie.

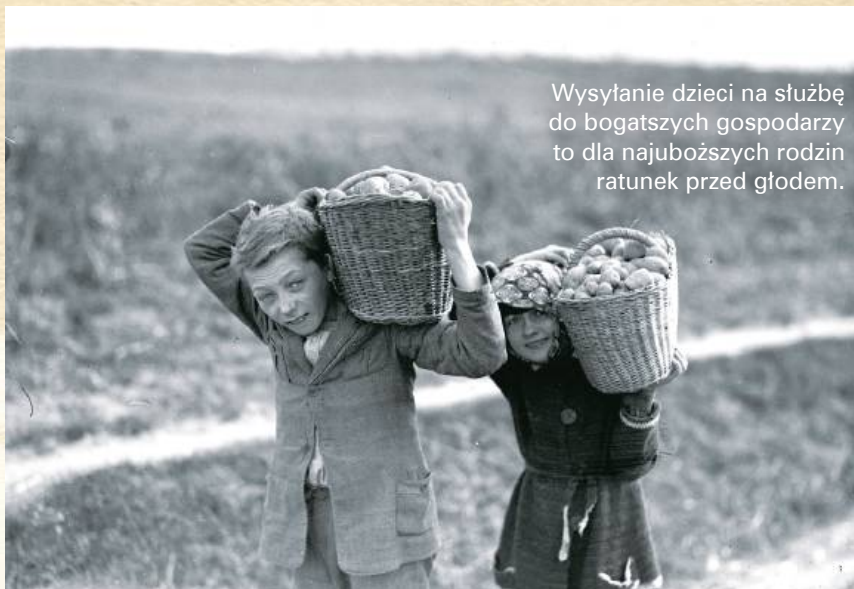
Teraz kończy osiem lat i rodzice decydują, że oddadzą ją na służbę do bogatego gospodarza. Musi sobie zapracować na jedzenie.

– Mama była poslušna, grzeczna, pracowita i odpowiedzialna, więc nadawała się, by ją posłać na służbę do innego chłopskiego gospodarstwa. Głównym jej obowiązkiem było pasanie krów, ale także sprzątanie, zamiatanie, karmienie drobiu i pomoc przy opiece nad dziećmi. Babcia dostawała jakieś grosze, a mama strawę. Karmiono ją marnie.

Wiejska dziewczyna musi być przede wszystkim robotna, by okazać się przydatna.

Gospodyni sama piekła chleb na cały tydzień. Niestety, nie było to pyszne, ekologiczne pieczywo, ale rodzaj gliniastej buły, którą trudno było po tygodniu ugryźć. Na pajdę chleba kładziono pokrojonego gotowanego buraka – relacjonuje córka Marianny Wujak.

W ciągu następnych czterech lat dziewczynka będzie służyć u trzech gospodarzy. Skończyła już 12 lat i wciąż nie może mieszkać w domu swoich rodziców. Służąca potrzebna jest od rana do wieczora. Ale zapada na jaglicę, rozpowszechnioną na polskich wsiach chorobę oczu – tzw. egipskie zapalenie spojówek i rogówek, które nieleczone kończy się ślepotą. Jej mama dowie się o tym od sąsiadki gospodarzy, u których służy dziewczynka, i wtedy zabierze



Wysyłanie dzieci na służbę do bogatszych gospodarzy to dla najuboższych rodzin ratunek przed głodem.

Mariannę do domu. Zaniedbana fizycznie, niedożywiona, po kryjomu spija śmietankę z mleka. Długo nie dojdzie do siebie. Zacznie miewać się, dopiero gdy skończy 17 lat. – Do szkoły zaczęła chodzić, gdy miała 11 lat, ale po trzech latach rozpoczęła się okupacja i na tym się jej edukacja skończyła. Droga awansu społecznego została zamknięta – ubolewa córka.

świń i krów. „Mówili mi, że ona nigdy z nimi nie je, bo nie lubi ciepłego jedzenia, tylko zimne”.

Służący chłopów pracują za byle co, bo rodzice pastuszków i dziewczek boją się upomnieć o więcej, a wielu z nich to sieroty. Służba wiejska nie jest ubezpieczona, nie ma opłacanej Kasy Chorych, jak służący w miastach. „Wyzyskiwani, nieliczący się wprost ludzie, ogłupieni pracą nad siły, pchają swoje smutne życie, niezdolni nawet do sprzeciwu, gdy im się dzieje krzywda. Ledwo taki z kołtyski wylezie, a już hajda ze służby na służbę od gospodarza do gospodarza”, pisze Zofia Lipina i nawołuje kobiety, aby zaczęły troszczyć się o swoich służących: „Opłaci nam się to stokrotnie, bo zdobędziemy sobie z nich przyjaciół, a nie wrogów, którzy skrycie całą duszą nas nienawidzą, jak często dzieje się teraz”.

Wiejskie dziewczyny, jeśli nie pracują zarobkowo, stopniowo obarczane są coraz poważniejszymi obowiązkami, a wiele z tych prac przerasta ich siły fizyczne. Jeżeli dziewczyna wygląda na krępką, nikt jej nie oszczędza.

– Miałam 12 lat, jak zaczęłam pracować. Brało się pościel, ubrania, szło się do rowu, kładło deskę, stawiało się na tej desce i kijankami prało. Byłam bardzo drobna, więc nie musiałam pracować tak dużo jak moja silniejsza siostra, która musiała po mnie poprawiać, bo była większa – opowiada Janina

O losie służących w wiejskich gospodarstwach pisze ze zgrozą Zofia Lipina w „Kobiecie Wiejskiej” w 1939 r., stwierdzając, że fatalne warunki służby to „ukryta, jęcząca się rana w życiu społecznym wsi”.

Bogaci chłopcy w charakterze służby zatrudniają zwykle dziewczkę, parobka i pastucha, mniej zamożni – tylko dziewczkę lub pastucha. „Przeważnie służba przesiaduje po chlewach, stajniach i strychach i nie ma dla niej miejsca w domu mieszkalczy. Odżywia się służbę byle czym i byle jak. Dla siebie gotuje się grymaśne frykasy, a służbie rzuca się byle ochłap, nie bacząc na jej ciężką pracę”. Lipina opisuje, że spotkała dom, w którym, gdy gospodyni i gospodarz jedli ciepły obiad, służący w tym czasie sprzątała koło

Krasucka ze wsi Białki na Mazowszu. Wkrótce stanie przed nowymi zadaniami, m.in. razem z rodzeństwem zacznie w polu „odrabiać konia”. To sformułowanie, dziwne i niejasne dla tych, którzy niewiele wiedzą o pracy rolników, pojawia się bardzo często w rodzinnych opowieściach ludzi ze wsi. Dotyczy uboższych rodzin, które nie mając swojego konia, pożyczają go od bogatszego gospodarza, a następnie rodzina w rewanżu pracuje na jego polu, by odpracować pożyczkę. Zwykle odbywa się to tak: kiedy ojciec Janiny Krasuckiej potrzebuje zwieźć kartofle z pola, dzieci idą pielić na polu gospodarza, który pożyczył konia. Wymiana usług i wspólne zależności należą do zasad wiejskiej wspólnoty, bez tego trudno przeżyć. A gdy się jest biednym, trzeba pracować więcej. Dzieci bardzo się do tego przydają.

Wiele lat potrzebowała Sophia Turkiewicz, australijska reżyserka, aby dotrzeć do Oleszowa, pagórkowatej wioseczki na zachodniej Ukrainie, która przed II wojną światową należała do Polski. Pierwszą taką próbę podjęła w 1976 r. jako absolwentka szkoły filmowej w Sydney. „Gdy byłem młoda, na historii twojego życia uczyłam się sztuki opowiadania”, powie po latach, w poruszającym filmie dokumentalnym o swojej matce „Once My Mother.” Ponieważ wykorzystana w nim stare taśmy, widzimy je obie: 30-letnia Sophia kręci sceny z udziałem wciąż jeszcze młodej Heleny Skwarek.

„Czy myślisz, że twoje życie było niezwykłe?”, pyta Sophia. Helena się uśmiecha. „Ja też cię kocham”, odpowiada.

Niedługo potem Sophia zarzuca dokumentowanie losu matki. „Twoje opowieści stały się dla mnie ciężarem”, wyjaśnia.

Decyduje się do nich wrócić po niemal 30 latach, gdy odwiedza matkę w wiosce dla seniorów im. Jana Pawła II pod Adelajdą i dociera do niej, że ją traci. Znów filmuje matkę, ale teraz ich dialog okazuje się trudniejszy. Na fotografii, którą pokazuje mamie, widać dwie uśmiechnięte młode kobiety, obie w mocno rozkłoszowanych spódnicach, jakie nosiło się w latach 50.

– *Do you remember who is in this picture?* – pyta.

– Ty – odpowiada Helena.

Rozmowy matki i córki toczą się w dwóch językach. Niezauważenie obie przechodzą z polskiego na angielski i odwrotnie, czasem w połowie zdania.

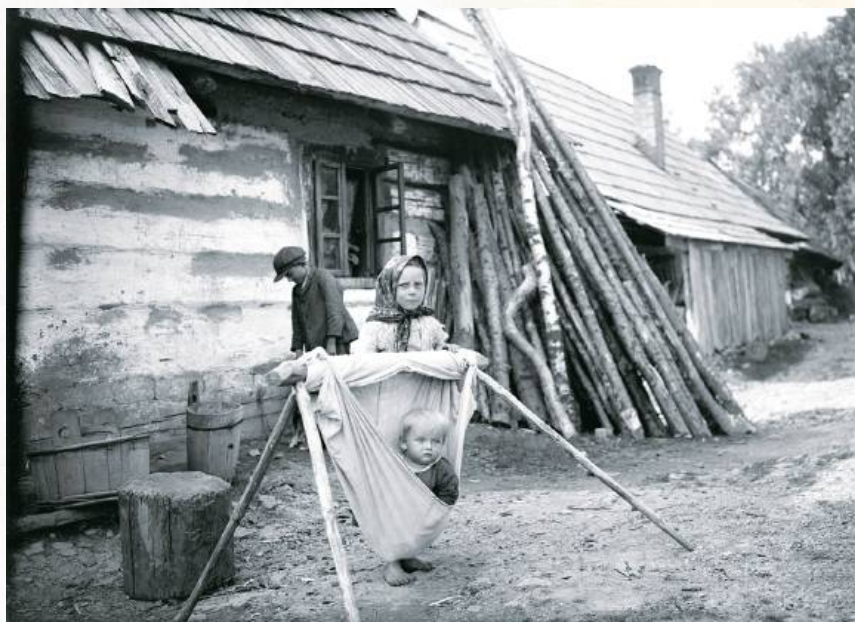
– Nie. *It's you, when you were twenty.*

– Ach, *when I was young...* Ale niepodobna. – Zamyśla się. Po chwili, wzdychając, dodaje: – Jakie to było życie, prawda?... Rozrzucone.

Niedługo potem Sophia jedzie filmować sierociniec Goodwood w Adelajdzie. Dla niej wszystko zaczęło się właściwie tutaj.

zostanie jednym z operatorów filmu, jest 2007 r. Na polnej ścieżce witają ich zgarbiona stara kobieta w chustce, podpierająca się kijem, i piejący kogut. Australijczycy wzbudzają sensację, schodzi się coraz więcej mieszkańców i wkrótce przyjezdnym udaje się odnaleźć dom rodzinny Heleny. Drewniana chałupa, opustoszała i ponura, wydaje się domem z tamtych czasów: niski sufit, zielone ściany, niebieski kredens, drewniane łóżko, a na ścianach makatka i kilka świętych obrazów. (...)

Gdy wróci do Australii, pokaże mamie jej dom, a ona powie: „Moi rodzice... Nic nie pamiętam, bo ja jeszcze byłem małe *baby*, kiedy moi



Dziekiem nikt właściwie się nie zajmuje – w najlepszym wypadku tylko trochę starsze rodzeństwo.

– Tu się dowiedziałam, że mogę cię w równym stopniu kochać, co nienawidzić. Przez lata grałam rolę sumiennej córki. Dobrze ją grałam. Ale jakaś część mnie nigdy nie zapomniała, że mnie opuściłaś. Teraz zadaję sobie pytanie: czy nie za ostro cię oceniałam? I czy w ogóle cię znałam? Może odpowiedzi znajdę w opowieści, którą kiedyś porzuciłam.

Wtedy właśnie wyrusza w podróż do Oleszowa, ukraińskiej wioski leżącej 30 km od Iwano-Frankiwska.

Gdy przyjeżdża razem z mężem, Stephenem Schedingiem, który

rodzice zmarli. Chciałam zobaczyć moją mamę. Ale nigdy jej nie zobaczyłam”. Z filmu córki dowie się też, że jej siostra Katarzyna została zabita przez Sowietów, przekazają to Sophii mieszkańcy Oleszowa, wyjaśniając, że gdy Sowieci tu przyszli, próbowała uciekać. Ale ją dogonili. Podczas rozmowy z mieszkańcami Sophia wymienia też nazwisko: Nahirna. To nazwisko wuja Heleny.

Sophia: – Pamiętam opowieść o twoim wujku. Kazał ci pracować w swoim gospodarstwie.

Helena: – Nie chciał mnie. Miał pięcioro dzieci. Wszystkie posłał ▶

do szkoły. Tylko nie mnie. Chyba go za to nienawidziłam. Myślę, że dobrze by mi szło w szkole. Gdyby mi dali szansę. Gdy byłam starsza, myślałam: jestem nikim. Bo wszyscy inni chodzili do szkoły, a ja nie. Nie mogłam nawet napisać własnego nazwiska. Bardzo się wstydziłam. Nie wiem dlaczego. Dalej się wstydzę, bo nie chodziłam do szkoły. Nie chcę, żeby na mnie patrzyli, jak piszę własne nazwisko. (...)

Helena: – Miałam dziewięć albo dziesięć lat, jak wujek mnie wyrzucił. Powiedział, że nie ma dla mnie czasu. Nie wiedziałam, co robić, dokąd pójść. Gdy byłam głodna, kradłam trochę chleba. Nie miałam gdzie spać. Czekalam na noc i chowałam się do jakiejś szopy, bo się bałam. Wychowałam się na ulicach.

– I co się stało? – pyta córka.

– Nic się nie stało. Wyjechałam, opuściłam wioskę. (...)

Helena tuła się przez pięć lat po Stanisławowie. Dziecko ulicy, jak wiele podobnych do niej, idzie na służbę, to daje jej dach nad głową i wikt. Gdy we wrześniu 1939 r.

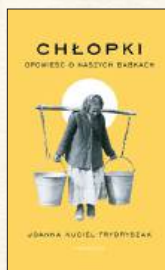
Rosjanie zajmują tę część Polski, pracuje w piekarni, głównie myje naczynia, ale budzi niechęć żony piekarza, która z byle powodu ją strofuje, a któregoś dnia uderza w twarz tak silnie, że z nosa Heleny tryska krew. Dziewczyna potrzebuje, aby ktoś ją obronił. Powiadamia rosyjskich żołnierzy. Przychodzą i po żonę piekarza, i po Helenę. Po dwóch miesiącach aresztu wraz z innymi Polakami zostaje deportowana i zesłana do gulasu. Tak rozpoczyna się jej trwająca ponad pięć lat podróż przez Uzbekistan, Persję, Rodezję aż do Adelajdy.

Przeżywa wielką grozę, ale też wspaniałą miłość i ogromną zdradę. A także potężne szczęście: w obozie dla uchodźców w Rodezji rodzi Sophię. Jako cel swojej emigracji wybiera Australię, chociaż planowała się dostać do Wielkiej Brytanii. Jest jednak matką z nieślubnym dzieckiem, a wobec takich kobiet ówczesny świat jest bezwzględny. Nie chcą jej tam. Z tych samych powodów nie może w Australii

znaleźć pracy, ale bez zajęcia zarobkowego nie jest w stanie utrzymać dziecka. Postawiona przed dramatycznym wyborem decyduje się oddać Sophię do sierocińca. Aby móc ją odzyskać, wyjdzie za mąż za mężczyznę, który domyśla się, dlaczego zdecydowała się go poślubić. (...)

Właściwie dopiero gdy komunizujący przyjaciele z uniwersytetu uzmysłowili Sophii, że życiorys jej matki jest zupełnie niezwykły, spojrzała na nią jak na potencjalną bohaterkę swoich filmów. Wykorzystywała więc motywy z życia matki w fabułach, ale wciąż czuła, że nie jest to szczerza i pełna opowieść. Aż wreszcie wyruszyła do Oleszowa, a potem zbadała kolejne etapy losów Heleny i mogła

wreszcie spuentować jej życie w ten sposób: „Przeżyłaś piekło, ale wyszłaś z niego z miłością w sercu”. (...)



Fragmenty książki
Joanny Kuciel-Frydryszak
Chłopki. Opowieść o naszych babkach, Marginesy, Warszawa 2023

AVATAR

ISTOTA WODY





PREMIERA NA BLU-RAY™ I DVD!

znajdziesz w

empik

salony / online / aplikacja





PARTNERZY MEDIALNI
GŁOS KULTURY
www.gloskultury.pl






Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Sztuka organiczna w dolinie Jasiołki

Jaśliska nie chcą być biedne. Kilka dni temu reporterka dużej gazety udała się w teren, aby sprawdzić, czy najbardziej niebezpieczna do niedawna gmina w Polsce wciąż zamierza głosować na PiS. Tekst eksponował wykluczenie mieszkańców, bezrobocie, alkoholizm i plagę samobójstw niczym w opuszczonych pegeerach z pamiętnej „Arizony” Ewy Borzęckiej. Przypadkiem spędziłem tam poprzedni weekend, oczom i uszom nie wierząc. Malownicza ruderyzacja przed laty zwabiła do Jaślisk filmowców (kręcono tu m.in. „Twarz” i „Boże Ciało”), filmy przyciągnęły turystów, w czym z kolei upadłe miasteczko dostrzegło szansę na rozwój. I oto zamiast zrujnowanej wiochy zionącej wodą kartoflaną teraz mamy tu rynecek jak malowany, wyrzutowane rzędy chyży łemkowskich niczym w skansenie, tablice ścieżki dydaktycznej, a pobliski stadion akładowego LZS ma trybunę, której nie powstydziliby się aktualny mistrz Polski. Elegancko przyodziani mieszkańcy akurat wracali z pogrzebu i ze wzburzeniem dyskutowali o tym, jak ich opisano. Znajomy, pamiętający Jaśliska sprzed lat, patrzył z niechęcią na to ładnienie i wzdychał do baru Czeremcha, mordownianym zewnątrz kamouflującego hipsterskie menu i kraftowe piwa dukielskiego browaru.

Gmina Jaśliska staje się modną alternatywą dla tych, co chcą „rzucić wszystko i uciec w Bieszczady” – pod połoninami zrobiło się zbyt tłoczno. Są już tacy, którym chce się rzucić Bieszczady i uciec w Beskid Niski – np. w dolinę Jasiołki. Kilka kilometrów w górę rzeczki osiadł Sławomir Shuty, autor rewelatorskiego „Zwału”, za który miałem zaszczyt wręczać mu przed 20 laty Paszport „Polityki”. Wyremontował wedle własnego projektu starą chyłę i stworzył miejsce agroturystyczne dla ludzi, którzy nigdy nie zapytają o pobliskie atrakcje. Atrakcją jest genius loci domu wypełnionego książkami i obrazami, idealnej przytulni dla osób twórczych – prof. Piotr Marecki wspólnie z gospodarzem organizuje tam cykliczne spotkania literackie, na które tym razem i mnie zaproszono. Wstępem do występów pisarskich był wernisaż w spalonej szopie, gdzie Marta Jamróg prezentowała własnoręcznie malowane rzeźby Amigo z Wisowej, miejscowego artysty organicznego. Marecki i Jamróg postulują odejście od określeń „sztuka naiwna”, „prymitywizm” i „art brut” na rzecz pojęcia „sztuka organiczna”, aby podkreślać raczej rdzenność i chłoniczność twórcy niż jego brak wykształcenia. Niech mi więc będzie wolno nazwać poetą organicznym Roberta Rybickiego – performerę-lingwistę, niegdyś kompletnego outsidera na scenie literackiej, dziś słusznie wydawanego, nagradzanego i hołubionego przez zacnych

badaczy. Jednych zachwyca metrum jego wierszy, drugich – demoniczne wykonania autorskie. Zaiste, tej poezji należy słuchać, ma hipnotyczny rytm i niepodrabialną aurę, na jasielówkowym tarasie wybrzmiała jak głos telluryczny, pozaludzki, spod granic języka.

W gronie o pokolenie młodszych ludzi o bardzo progresywnym światopoglądzie dowiedziałem się m.in., że nie ma już dziadersów, lecz „osoby dziaderskie”. Cichaczem, nawet nie półgębkiem, po dziadersku dziwiłem się światu, dostrzegając np., że wśród mileniów, a zwłaszcza u jeszcze młodszej generacji, trudno znaleźć osoby niewytatuowane – co ciekawe, coraz częstsze są sporych rozmiarów tatuaże geometryczne. Czarny kwadrat na plecach rusycystki brałem za malewiczowski motyw, dopóki nie zauważyłem podobnych na skórze wielu innych osób – wytłumaczono mi, że w ten sposób zakrywa się zdezaktualizowane treści, wszak tatuaże są nieusuwalne. Tatuaż dla niedziadersów też jest sztuką organiczną, body artem,

Gmina Jaśliska staje się modną alternatywą dla tych, co chcą „rzucić wszystko i uciec w Bieszczady” – pod połoninami zrobiło się już zbyt tłoczno.

wpisuje się w idee jasielówkowe podobnie jak wyśmienita sztuka kulinarna Alicji Jurasieńskiej z Massolit Cooks czy też sztuka bimbrownictwa. Z nią można było się zaznajomić dzięki przemycyconym destylatom prosto z tajnych podłaskich bimbrowni puszczańskich (ostatnio wskutek przeczesywania lasów przez służby graniczne zagrożonych wyginięciem).

Kilka kilometrów w górę potoku znalazłem Wolę Wyżną, mikroosiedle pośrodku niczego, dawny pegeer beskidzki. Bloki zadbane, odremontowane – ceny mieszkań rosną i trudno się dziwić, bo dla uciekinierów z miasta to atrakcyjna alternatywa dla wolno stojących chałup. Jeśli ktoś lubi życie we wspólnocie, wychował się na blokowisku, ale zarazem chciałby zamieszkać na końcu świata, to idealne rozwiązanie. Na świeżo skoszonej łące przed osiedlem pasie się stado bocianów (ze 20 sztuk jak nic, w życiu nie widziałem tylu naraz), na dzikich łąkach kilometr dalej opieram rower o tablicę z ostrzeżeniem „Uwaga niedźwiedzie”, zachodzę ku źródłom Jasiołki. To już rewir bobrów, ich cuda hydroinżynierii to także sztuka organiczna – czemuż mielibyśmy odmawiać tej rangi zwierzętom, tak miśternie ułożone tamy to arcydzieła land artu, w dodatku w pełni funkcjonalne. ■



OLGA CHAJDAS

– reżyserka kinowa, teatralna i telewizyjna

Wszystko o mojej manipumatce

Praktycznie każda matka popełnia te same błędy

Artur Zaborski

Korespondencja z Karlowych Warów

W napisach filmu „Imago”, którego międzynarodowa premiera odbyła się na festiwalu w Karlowych Warach, dziękujesz swojej mamie. A Lena Góra, odtwórczyni głównej roli Elżuni, mówi w wywiadach, że to postać inspirowana jej rodzicielką. Czyją zatem matkę sportretowałyście?

– Scenariusz napisaliśmy razem. Poznałyśmy się chwilę wcześniej, gdy miałam w planach realizację projektu, którego ostatecznie nie zrobiłam. Myślałam wówczas o Lenie jako aktorce. Pozostałyśmy w kontakcie i niedługo później spotkałyśmy się na którymś festiwalu filmowym. W czasie rozmowy wyszło na jaw, że między naszymi matkami istnieje

wiele podobieństw. Myślę tu nie tylko o sytuacjach zdrowotnych, ale przede wszystkim o całym życiu, które zapowiadało się świetnie, a potem nagle zmieniło się z powodu ich problemów wewnętrznych. Odseparowały się od świata, traktowały go wręcz jak wroga. Jednocześnie w całej tej konstelacji istniałyśmy my, córki, które przez wiele lat próbowały z tymi matkami walczyć. Aż w końcu zrozumiłyśmy, że ich nie zmienimy.

Jak byś opisała te relacje?

– Były piękne i mocne, a jednocześnie toksyczne i bardzo wyniszczające. I nie mogły być inne, dopóki człowiek sam czegoś nie zrozumiał. Wspólnie z Leną doszłyśmy do wniosku, że właściwie nigdy nie widziałyśmy filmu, który szczerze opowiadałby o takiej relacji z perspektywy córki. O tym, co my z tym wszystkim robimy. Zaczęłyśmy wymieniać się

anegdotami z naszego życia i z opowieści mam. Dużo ciekawsze z perspektywy fabuły wydawało się nam opowiadanie o bohaterce, która występuje w zespole muzycznym, więc osadzenie na tym historii było dla nas oczywiste. Ale pozwoliłyśmy sobie na dużą wolność. W scenariuszu znalazły się elementy zaczerpnięte z życia obu naszych matek, a także innych kobiet, z którymi rozmawiałam.

Czyli to nie jest kino biograficzne.

– Dla mnie nigdy nie było. Lena nałożyła na siebie ramy odgrywania roli swojej matki i to jest zrozumiałe, bo każdy potrzebuje wewnętrznej inspiracji. Było to dla mnie jak najbardziej OK, bo przecież pomagało w całym procesie twórczym. Ale najważniejsze było stworzenie naszej bohaterki. Musiałyśmy wyposażyć ją w narzędzia, które z każdą kolejną

częścią filmu pozwolą jej dowiadywać się czegoś na swój temat i które ostatecznie pozwolą jej stworzyć własne reguły gry. Wrzucenie nas w pewne społeczne normy sprawia, że praktycznie wszystkie matki popełniają te same błędy.

Twój film jest bardzo punkrockowy, dziki, nieujarzmiony, a jednocześnie sporo w nim symboliki, choćby w scenach, w których bohaterki ugniatają pomidory nad wielkim garnkiem.

– Uwielbiam moje symboliczne, plemiennie wstawki. Szukałam różnych podświadomych elementów, takich jak ta scena ugniatacia pomidorów, która z kulinarnego punktu widzenia absolutnie nie ma sensu. Ale wizualnie wydawało mi się to powiązane z krwią, z czymś biologicznym. Krew zawsze kojarzy się z porodem, ze zbliżającymi się rodzinami. Powtykałam w ten film sporo rzeczy plemiennie-stadnych, co jeszcze bardziej uwydatniło fakt, że nasza bohaterka próbuje z tego stada się wyrwać. Szuka swojej drogi w malarstwie, fotografii, a wreszcie zachodzi w ciążę, co też staje się dla niej formą ekspresji. Bo przecież dziecko pojawiające się na obrazie jest formą ekspresji.

Elżunia jest niezależna, zbuntowana, antysystemowa. Idzie pod prąd. Taką bohaterkę łatwo wynieść na sztandary.

– Oj, tej się nie da. Nie da się przewidzieć jej reakcji ani odpowiedzi na poszczególne zagadnienia. Dramaturgia w tym filmie kompletnie nie jest akcyjną. Idziesz za emocją. To było ciekawe przy montażu i zdarzyło mi się pierwszy raz. „Imago” montowałam z bardzo fajnym czeskim montażystą; Pavel Hrdlička jest zresztą również muzykiem, więc zapanował nad wszystkim rytmicznie. Natomiast okazało się, że w tym filmie bardzo trudno jakkolwiek przedstawić klocki. Mimo że nie ma w nim akcji, której musisz się trzymać,

żadnej silnej intrygi, to jednak emocjonalnie był on bardzo precyzyjnie skonstruowany. Scenariusz ma formułę anegdotyczną. Zawarta w nim psychologia mocno trzyma się kupy, co chyba wyszło nam intuicyjnie.

Wydawać by się mogło, że jesteście w znacznie lepszym miejscu niż za PRL. A jednak twoi bohaterowie przypominają nam, że wtedy walka o wolność miała zupełnie inny posmak, bo występowano przeciwko systemowi, ale też łamano konwenanse, co przynosiło większą satysfakcję.

– Wtedy, mimo większej opresji, większa była także wolność. Dziś już nie ma takiego punk rocka. Nie wyobrażam sobie, żeby dzisiaj zespół przyszedł na wywiad i zrobił coś takiego jak w moim filmie, gdzie muzycy mówią prosto z mostu to, co

Dzisiaj, kiedy teoretycznie możemy powiedzieć wszystko, ukazują się straszne banały.

myślą, nie próbują się sprzedawać ani przypodobać prowadzącemu i słuchaczom. To nie mogłoby dziś się wydarzyć. Sporo rozmawiałam z Andrzejem Smolikiem, który opowiadał mi o swoich początkach w różnych zespołach, i stwierdziliśmy, że dzisiaj to by nie przeszło. Wtedy było miejsce na krzyk i bunt, na genialne abstrakcyjne teksty. Dzisiaj wszystko musi być powiedziane wprost.

Wtedy artystów ograniczała cenzura...

– ...więc musieli bardziej obudowywać swój przekaz. Dzięki temu sztuka była ciekawsza. Teraz, kiedy teoretycznie możemy powiedzieć wszystko, ukazują się straszne banały. Chciałabym zostawić widza z dwoma słowami: wolność i wybór. Umówmy się, w Polsce mamy dziś jedynie pozory obu – wiemy, co się dzieje choćby w związku z aborcją. W filmie poznajemy bohaterkę, która dokonuje wielu

złych wyborów, ale stać ją też na taki, który się docenia. Ona podąża za sobą. Im dalej w las, tym bardziej słucha samej siebie.

Czy realizacja tego filmu pozwoliła ci spojrzeć inaczej na swoją mamę?

– Pozwoliła mi bardzo do niej się zbliżyć. Ale było to możliwe przede wszystkim dzięki terapii. Zyskałam na niej formę komunikacji, jakiej nie ma nasza filmowa Frytka, matka Elżuni, która postawi ci kotleta na stole, zadbaj o to, żeby dzieci były najedzone i czyste, ale brakuje jej podstawowych narzędzi do przeprowadzenia rozmowy z nimi. Nie zapyta ich, jak tak naprawdę się czują, próbuje przyklepać to przyziemnymi sprawami. To taka stereotypowa matka Polka. U nas w domu też zawsze musiało być jedzenie, w tym jajka, przez które teraz wpadam w paranoję. Panikuję, jeśli

w lodówce są tylko dwa. I biegnę do sklepu. Każda z nas ma w sobie zakodowany podobny syndrom: cokolwiek byś w życiu zrobił, gdziekolwiek byś był, jeśli przyjdzie gość, na stole trzeba postawić kotleta. Frytka, która nie ma wspomnianych narzędzi umożliwiających komunikację, nie nauczy się jej nigdy. Chociaż Ela czasami krzyczy o rozmowę, domaga się jej. Łatwo powiedzieć komuś, że się go kocha, bo mówienie a rozmowa to dwie zupełnie różne kategorie.

W filmie to, o czym mówisz, opisujesz bardzo trafnym określeniem: manipulatki.

– Byłam z siebie bardzo dumna, kiedy je wymyśliłam. Bo to, że matki manipulują, jest jasne. Ale ubranie tego w słowa nie jest już takie proste. Bardzo lubię bawić się językiem.

W „Imago” nie tworzysz prostych opozycji. Nie pokazujesz nam bohaterów, z którymi mamy sympatyzować, i tych, których mamy nie lubić. Nie ma dobrych i złych. Frytka też ma wzloty i upadki.

– Myślę, że ona jest przede wszystkim oderwana od swoich emocji. Rozmawiałyśmy o tym z grającą ją Bogusią Schubert. ▶

Olga Chajdas – (ur. w 1983 r.) autorka filmu „Nina” oraz seriali „1983” i „Wataha”. Zdobywczyni nagród m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Rotterdamie i Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni oraz nominacji do Paszportów „Polityki”.



Ekipa filmu „Imago”.

► Tak bardzo boisz się tego świata, tak bardzo uważasz go za wroga, że musisz się okopać i uzbroić. Jestem przekonana, że Frytka jako młoda dziewczyna była zabawowa. Zrobiliśmy jej warkocz, który ma od 13. roku życia. Cały czas jest tą małą dziewczynką, która została zamknięta i stała się skałą. W dobrym i złym znaczeniu tego słowa. Z jednej strony, jest ostoją rodziny. Ojca ciągle nie ma, pracuje, więc to ona trzyma dom w ryzach. Z drugiej jednak, jest tak zamknięta, że nie sposób dostać się do jej środka. Oczywiście ma swoje momenty, takie jak radość na weselu. Chociaż cieszy się wówczas z prozaicznych powodów, typowo polskich – jej córka ma już męża, więc jest bezpieczna.

Ale cieszy się również wtedy, gdy dowiaduje się o ciąży. Chociaż wpadka może spowodować różne reakcje rodziców.

– Wspólnie z Bogusią doszliśmy do wniosku, że ucieszyła się, bo pomyślała, że teraz Ela w końcu wejdzie w normalne struktury społeczne. Cięża dla matki Eli jest sygnałem, że będzie dobrze. Córka będzie bezpieczna, bo właśnie wchodzi w ten sam tryb, w który ona weszła. Frytka zapomina tylko, że zanim sama weszła w te struktury, pewnie też miała swoje szalone plany. Liczy na to, że wejście w schemat zmieni Elę i że teraz będzie już spokoj.

Chciałabyś, żeby ten film rezonował ze współczesnymi kobietami?

– Oczywiście, że tak. Dlatego mówię o wilczycach, punku, krzyku o wolność i wybór.

Polskie kobiety siedzą za cicho, krzyczą za mało?

– Na szczęście uczymy się krzyczeć. Ale krzyczenie to jedno – musimy jeszcze zostać usłyszane. Myślę, że to właśnie wypływa z tego filmu. Czym innym jest uświadomienie sobie własnych potrzeb, a czym innym sprawienie, że ktoś je usłyszy.

Chciałabym zostawić widza z dwoma słowami: wolność i wybór.

Współcześnie to chyba jedna z największych frustracji dla ludzi z naszej bańki. Wszyscy chodzimy na protesty, drzemy się, upominamy o swoje – i nic.

– A tutaj masz bohaterkę, która ma gdzieś protesty. Wpada na demonstrację Solidarności przypadkiem, a jej matka przełącza wizytę Busha i Wałęsę na Włocha palącego szlugi, bo to jest bezpieczniejszy świat. Andrzej Konopka raz zagaduje ojca Eli przed weselem, jak było na strajku, ale zaraz coś odwraca jego uwagę. Ci bohaterowie w ogóle nie są zaangażowani w świat, w którym żyją. W przeciwieństwie do nas, a raczej do naszej bańki.

No właśnie, twoja bohaterka cały czas walczy o siebie. Nie o hasła, sztandary, ideologie czy wspólne dobro.

– Walczy o swoją prawdę. Ale musi sama dla siebie się jej nauczyć. Dotyka wielu rzeczy, zawsze osiąga sukces, a kiedy jest na szczycie, odpuszcza. Strach przed osiągnięciem pełni również jest znamieny. Stąd wziął się tytuł „Imago”, który oznacza dążenie do idealnej formy i poszukiwanie puenty, co jest trudne i nieosiągalne. Nasza bohaterka cały czas broni się przed swoją idealną formą, odsuwa ją. U Junga wyczytałam, że imago oznacza postrzeganie ludzi w różny sposób w zależności od tego, jaki obraz matki stworzyłeś sobie w dzieciństwie.

Czyli matki naprawdę manipulują nami przez całe życie.

– Mówiłam, manipulmatki.

A czy tobie samej blisko do Eli?

– Cały czas uczę się bycia odważną. I uczę się mówić „nie”. To rzeczy, które Ela ma zakodowane w podświadomości, a przede mną jeszcze trochę pracy do wykonania. Wierzę, że pewne ograniczające nas rzeczy się zmienia i że należy robić swoje. Ja mogę robić filmy, które o czymś mówią. Nawet jeśli przekonają do czegoś tylko jedną osobę, to już znaczy bardzo dużo. Po „Ninie” odbyłam piękną, przypadkową

rozmowę na małym festiwalu. Upředziano mnie, że pan, który pracuje w tamtejszym kinie, jest bardzo pracowity i lepiej nie wdawać się z nim w dyskusję. Tymczasem to właśnie on, wychodząc z seansu, powiedział: „Właściwie to te lesbijki są normalne”. Pomyślałam sobie wtedy, że warto to zrobić choćby dla usłyszenia tego jednego zdania. Oczywiście filmy robi się także ze względów artystycznych. Ale najcenniejsze są te dyskusje. Tutaj, w Karłowich Warach, po premierze podeszła do mnie Czeszka, mówiąc, że dwa razy płakała, ponieważ tak bardzo rezonuje z nią ukazana przez nas postać matki. Myślę, że jeśli udaje się nam dotknąć czyjejś wrażliwości na tak wielu poziomach, to już znaczy bardzo dużo.

Artur Zaborski

Zderzenie cywilizacji

albo kilka uwag na marginesie afery genewskiej

Michał Centkowski

W sprawie afery wokół niedosłej premiery spektaklu Krystiana Lupy powiedziano i napisano już wiele. W większości tych emocjonalnych głosów, zarówno broniących reżysera, jak i krytykujących na jego przykładzie systemowe patologie rodzimego życia teatralnego czy wieszczących zmierzch epoki mistrzów, umyka jeden z fundamentalnych kontekstów sprawy. Tłumaczący także wysoką temperaturę sporu.

W bardzo potrzebnej w naszym kraju dyskusji wywołanej „incydentem genewskim” pojawiają się coraz częściej dość egzotyczne głosy zdziwienia lub zaskoczenia innymi, nieraz skrajnie odmiennymi, standardami pracy bądź w ogóle funkcjonowania zachodnich teatrów, szerzej – instytucji kultury, w Szwajcarii, w Niemczech czy we Francji. Wielu ludzi, także w kulturze zorientowanych, ze zdziwieniem odkrywa, że w krajach nieco bardziej od Polski cywilizowanych praca, również praca w najwyższych sferach ducha, może wyglądać inaczej. Że wybierani zwykle w ramach konkursów, rzadko przyspawani na dekady do tego samego stołka dyrektory i dyrektorki działają według jasnych procedur i dbają o standardy pracy. Że właśnie owe standardy i procedury, a nie klientelizm dyrektorsko-reżyserski, uznaniowość i folwarczny styl zarządzania są tam cenione. Że awanturowanie się pod wpływem alkoholu nie jest w miejscu pracy akceptowane, bez względu na to, jak wybitnym jest się artystą. Że produkcja jednego spektaklu nie może destabilizować pracy całej instytucji przez kilkanaście miesięcy oraz nadwyręzać jej budżetu. Wreszcie, co wielu przedstawicieli tak bliskich mi środowisk progresywnych zdaje się odkrywać dopiero teraz, że szacunek i podmiotowe traktowanie, bezpieczeństwo i higiena pracy oraz

godne wynagrodzenie i warunki zatrudnienia, a nie skandaliczny wyzysk, należą się nie tylko przedstawicielom pionu artystycznego, ale także np. pracownikom technicznym.

To dobrze. Może przy tej okazji odkryjemy również, że w krajach niemieckojęzycznych istnieją tzw. widełki wynagrodzeń. Różne rzecz jasna w zależności od dorobku twórców,



ale wciąż mieszczące się w granicach przyzwoitości. Tymczasem u nas, jak ujawniła niedawna afera w pewnym stołecznym teatrze, za podobną pracę jednym płaci się 200 tys., a drugiem 2 tys.

A właśnie w chorym systemie, w którym zasobów jest za mało, a te, które są, dzieli się w sposób skrajnie niesprawiedliwy i nieprzejrzysty, rodzą się tak chętnie przez część komentatorów piętnowane w kontekście afery z Lupa rewanżyzm, złość i frustracja tych, którzy w niedofinansowanym polskim teatrze są pariasami. Czyli znakomitej większości spauperyzowanego środowiska teatralnego. I trudno temu się dziwić. W świecie kurczących się i niesprawiedliwie dystrybuowanych środków – często według klucza politycznego lub środowiskowych koterii – gniewu i frustracji będzie coraz więcej. A walka o zasoby stanie się jeszcze bardziej drapieżna.

Może więc, zamiast kurczowej obrony przemocowego pod każdym względem status quo – systemu hołdującego patologiczno-folwarcznejmu zarządzaniu, pełnego wyzysku i nieszanującego pracy i godności innych, wspólnie powinniśmy się zastanowić, jak wypracować podobne do tych zachodnich, bardziej przejrzyste, sprawiedliwe i merytoryczne zasady (współ)pracy i podziału publicznych przeciw środków?

Wracając zaś do Krystiana Lupy, smuci obraz wielkiego artysty wyrażone zdziwienie tym, że nagle potępią się go za coś, co dotychczas nie tylko tolerowano, ale wręcz uważano za magiczny, nieodczony składnik twórczej metody czy uprawiania sztuki w ogóle, a co tyleż szumnie, co mętnie nazywa się „przekroczeniem”. Ale w tym ludzkim i jednostkowym wymiarze także tej sprawy ważniejsze pozostaje chyba pytanie, czy jakkolwiek „sztuka” usprawiedliwia przemoc fizyczną, seksualną, symboliczną albo ekonomiczną.

Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam, w miarę własnych kwalifikacji intelektualnych i etycznych. Przed tymi zaś, którym owych kwalifikacji mogłoby zabraknąć, przynajmniej w jakimś stopniu, chronić nas mogą jako wspólnotę, w świecie kultury i w życiu społecznym, jedynie precyzyjne, merytorycznie wypracowane procedury i metody pracy. Na przykład psychologowie, mediatorzy czy konsultantki i konsultanci ds. scen intymnych, zatrudniani w teatrach i uczestniczący w twórczych procesach, jak dzieje się w wielu teatrach niemieckich, w których wbrew obawom miłośników systemu mistrzowskiego wciąż powstają wybitne spektakle. Pomimo (w mniejszym stopniu, acz wciąż pewnie występujących) nadużyć, a nie dzięki nim.

Michał Centkowski jest krytykiem teatralnym, kuraatorem i dziennikarzem. Publikował m.in. na łamach „Teatru” i „Newsweeka”.



29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Grażyna Auguścik & Kuba Stankiewicz Quartet – The Music of Victor Young

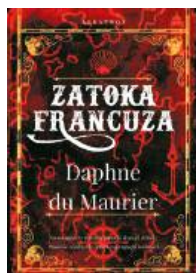


Więcej na: www.jazznastarowce.pl.
**WARSZAWA, RYNEK
STAREGO MIASTA,
15 LIPCA, GODZ. 19**

Wokalistka o międzynarodowej renomie, dama polskiego jazzu, która inspirowała się muzyką klasyczną, etniczną i latynoamerykańską, oraz kwartet wybitnego pianisty wystąpią z programem poświęconym słynnemu amerykańskiemu kompozytorowi o polskich korzeniach. Standardy Younga wykonywały takie sławy jak Ella Fitzgerald, Frank Sinatra, Nat King Cole, Charlie Parker, Miles Davis i Stan Getz. Płyte z utworami Victora Younga Kuba Stankiewicz nagrał już w 2014 r. w Los Angeles z Peterem Erskine'em i Darkiem Oleszkiewiczem, a w kolejnych latach doszły do tego krążki „The Music of Bronisław Kaper” i „The Music of Henryk Wars”, poświęcone innym polskim kompozytorom, którzy z sukcesem – lecz bez rozgłosu w ojczyźnie – współpracowali z Hollywood. (ap)

MIĘDZY OKŁADKAMI

KURTyna W GÓRĘ



Daphne du Maurier **Zatoka Francuza**

tłum. Magdalena Słysz
Albatros, Warszawa 2023

To nie posiadłość Manderley z „Rebeki”, lecz opisany tu kornwalijski Navron House, jawiący się jako maleńka, dzika arkadia, naprawdę oczarowuje. On też przechowuje pamięć o swojej mieszkance, jednak w inny sposób – melancholijny, a nie odpychający i zazdrosny. Przysłań w ukrytej zatoczce znalazł tu piracki statek, z owszem, troszkę wyidealizowaną załogą, która nie przywitała kobiety na pokładzie sprośnymi żartami, ale przyjęła ją jak swoją. Bohaterka bowiem, angielska arystokratka z epoki Karola II, w akcie buntu i przekory, znużona miażdżącą dotychczasową historią, dołącza do piratów i wdaje się w romans z kapitanem (nie dość, że cudzoziemiec, to jeszcze Francuz, jak nic nastawać będzie na cześć niewieścią, biadłom lokalni panowie). Jej uczucie jest jednak raczej konsekwencją, a nie powodem pogoni za ryzykiem. Przecież nie tylko chłopcy śnią o przygodach, ale ich marzenia nie są traktowane jako wynaturzenie. I jeśli płacą za ich realizację, to zupełnie inną ceną.

Aleksandra Pańko

Czy będzie rok 2030?

Na podstawie dokumentu, który miał przygotować miasto stołeczne Warszawę, by stało się przyjazne dla młodzieży, powstał spektakl zatytułowany „2030”. Wykonawcami są chłopcy i dziewczęta, którzy spotykają się w TR Warszawa nie tylko po to, aby nauczyć się podstaw gry scenicznej. Celem jest również stworzenie jakiegoś wizerunku młodego pokolenia. Rezultat jest skromniutki – młodzież nie wierzy, że coś się zmieni, nie ma konkretnych planów. Liczy tylko na bezpieczny azyl. Smutne.

Bronisław Tumilowicz



Mateusz Górniak **Dwie powieści ruchu**

Filtry, Warszawa 2023

W zeszłym roku jego debiutanckie „Trash Story” zachwyciło czytelników i krytyków. W tym roku Mateusz Górniak, największy eksperymentator od czasów wczesnej Masłowskiej, znów rozbija bank. Jego hipnotyczna i ekstrawagancka proza jest nie do podrobienia. Podobnie jak wcześniej nie bawi się w tani autotematyzm, moralizujące narracje o „ważnych, współczesnych tematach”. Górniakowe „ja i moje życie” to nie seks w jacuzzi i fajerwerki, to pochwała zwyczajności, która tak pięknie bywa odklejona. Ale też Górniakowa jazda to nie chaotyczny zapis ze spotkania autorskiego w Żabce – autor bawi się cytatami z popkultury, rzuca hasłami i nawiązaniami. Literacki rollercoaster.

Rafał Piłkuła



„2030”, scenariusz, dramaturgia i reżyseria Michał Buszewicz, Zespół Młody TR, premiera 23 czerwca 2023

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Wylinka

W „Bulwarze Zachodzącego Słońca” (1950) Gloria Swanson gra Normę Desmond, zapomnianą gwiazdę niemego kina, która żyje w odosobnieniu. Jej zrujnowany dom wewnątrz zachował dawną świetność. A iluzję życia w świecie celebrytów podtrzymuje lokaj, oddany sługa i współpracownik, który stale przysyła jej listy „od fanów” z wyznaniem miłości i prośbami o podpisanie zdjęcia.

Kiedy wytwórnia próbuje się z nią skontaktować, Norma myśli, że chodzi o jej powrót na wielki ekran. Tymczasem produkcja chce tylko wypożyczyć auto, które jest „zabawnym” zabytkiem. Scena jej przyjazdu do wytwórni jest wzruszająca (część zespołu ją rozpoznaje), lecz także pełna upokorzenia (reżyser wkrótce zdaje sobie sprawę z pomyłki).

Starość i próżność połączone są w słynnym filmie Billy’ego Wildera z ostrzeżeniem przed ucieczką poza główny nurt życia (współczesność, nowoczesność). To przez eskapizm Norma stała się zabawnym (żałosnym?) zabytkiem, jak własne auto.

Z drugiej strony jej pogoń za nowym światem, modą, językiem też wystawiała ją na śmieszność. Starzenie się to odpadanie od dotychczasowej tożsamości,

a w każdym razie przesunięcie, wysunięcie się z siebie, „destrukcyjna plastyczność”. I jednocześnie – praca wkładana w szukanie nowej formy. Podobną pracę chętnie śledzimy u młodszych nastolatków. Tylko że wtedy stan przejściowy, tę wzruszająco i dziko pachnącą wylinkę, utożsamiamy z seksownymi przymiarkami do różnych życiowych ról. Wzrusza nas nieporadność i słodko-gorzki pat, kiedy młodość kolejne tożsamości nadgryza i porzuca. To czysta potencja. Wybaczamy im pobłażliwie ten kołowrotek, w który nas wciągają.

Mniej chętnie wybaczymy tym, którzy przechodzą swoją trzecią wylinkę i zmieniają rolę, wędrując łagodnie w stronę innych perspektyw. Chodzi o estetykę? Nie jesteśmy chyba aż tak okrutni. A może działa tu lęk przed naszą własną starością, kiedy – jak w wierszu Bohdana Zadury – pewnego dnia spotkamy na ulicy starszego pana w naszym wieku?

Było mi żal Normy Desmond, nawet kiedy schodziła w groteskowych pozach ze schodów rezydencji,

odgrywając przed kamerami swoją ostatnią życiową rolę, wpadając wprost w ręce policji. Było mi jej żal bardziej niż zastrzelonego przez nią scenarzysty, który korzystał z jej miłości, ale trochę też Normy się brzydził. Pozostała dla niego śmieszna jak mój serdeczny starszy kolega, który adoruje sympatyczną koleżankę. Wszystkie jej reakcje interpretuje na opak, a każdy przejaw sympatii bierze za dobrą monetę i traktuje jako zachętę. Ją to bawi, ale tylko czasem, póki może go trzymać na dystans, póki nie musi podchodzić zbyt blisko.

Albo kiedy pielęgnujemy pamięć po kimś lub po czymś, co nikogo już nie obchodzi. Drżymy o jakąś zakurzoną spuściznę. Pilnujemy słusznych wersji anegdot. Nasze oburzenie na szarganie świętości lub niepamięć jest i święte, i śmieszne. Wkrótce będziemy tylko pieniaczami, którzy się uwłaszczyli na cudzym trupie.

Lęk przed śmiesznością towarzyszy nam z wiekiem coraz częściej. Nikt nie chce być jak „klawy” wujek

„żartujący” na przyjęciu.

Albo autor nieporadnie stylizujący swoje książki na młodzieżowe, ciotka odstawiająca nad ranem piersi („czy nie są nadal piękne?”).

Młodości dotyczą inne upo-

korzenia. Z wiekiem coraz częściej dotyka nas starożytna hamartia, вина tragiczna. W tragedii to błędne rozpoznanie i fałszywa ocena własnej sytuacji. Bohater, nieświadomy okoliczności, w jakich się znalazł, popełnia czyny prowadzące do katastrofy. A zatem, żeby przekroczyć hamartię, trzeba dobrze rozumieć swoje położenie.

A może lepiej dryfować w swoich stanach, swoich położeniach, swoich wylinkach? Z tymi, którzy sami chcą się do nas przytączyć. We śnie, kiedy zamieniam się w wampira, nie jestem postawną zwierzyzną o białych zębach, lecz kimś, komu dziwnie urosły dwie górne jedyńki, kimś, kto bardzo sepleni i nie może zamknąć ust. We śnie, kiedy jestem aniołem – to w postaci niebieskiej gumowej rurki zawiązanej wokół żyrandola. Unoszę się nad stołem bez poświaty i skrzydeł, za to superlekka, poza grawitacją, i nadal zadowolona – jak uśmiech bez kota.

**Nasze oburzenie na szarganie świętości
lub niepamięć jest i święte, i śmieszne.**



Mechanizm drzwi obrotowych

Im głośniej Wiesia krzyczy, tym dotkliwiej milczą:
ośrodek pomocy społecznej, psychiatra w poradni, szpital i sąd

Anna Kiedrzynek

Od pięciu lat sąsiaduję z jej krzykiem i nie mam pomysłu, co z tym zrobić. Dzieli nas ściana nośna bloku, po mojej stronie pomalowana na kolor écru, starannie wybrany z długiej listy różnych odcieni śmietanki zaprezentowanych w sklepowym katalogu. Do ściany przylega regał z książkami w kolorze sosnowego drewna, komoda ozdobiona sznurkiem świateł, między meblami błyszczący plakat zamówiony z zagranicy. Po jej stronie zielonkawa ściana ozdobiona jest sznurami liter. Od czasu do czasu skrobie je uparcie, kiedyś

byłam pewna, że to myszy, ale nie, to po prostu skrzek otwórka wbijanego w ścianę. Skrobie je także w swoim przedpokoju, zobaczyłam to kątem oka, skradając się obok otwartych na oścież drzwi do jej mieszkania. Żeby dostać się do moich, prześlizguję się cichuteńko obok jej pieczary, bojąc się, że mnie dopadnie, spojrzę groźnie, wymamrocze coś o dziwce z NKWD, którą w jej opinii czasem bywam. Wtedy zobaczyłam, że do ściennej opowieści dopisała już kolejne akapity. Co ona tam pisze? Nie wiem. Ostatnio zamalowała wszystkie litery i ściana znów jest pusta. Do marca 2021 r. do jej ściany przylegała też sfatygowana szafa bez drzwi.

Przez rok z nią walczyła, na przemian wyciągając ją na korytarz i później targając z powrotem do mieszkania. Status szafy jest niejasny. Jest jej wrogiem? Sojuszniczką? Towarzyszką? Chyba jednak wrogiem, i to śmiertelnym, bo w marcu postanowiła zataszczyc ją w dół schodów i wyrzucić na śmietnik. Ja i Ł., sąsiad z naprzeciwka, wybiegamy ze swoich mieszkań.

– Pani Wiesiu, co pani z tą szafą znowu wyrabia! – pyta Ł.

– Muszę ją wynieść! Ta szafa straszliwie skrzywdziła moją mamusię! – mówi pani Wiesia tonem jak zwykle powolnym, dystygowanym, akcentując poszczególne wyrazy.

Ł. zdecydowanym gestem chwyta szafę od dołu, ja przytrzymuję jej górną część i ruszamy w dół po kręconych schodach starego warszawskiego bloku. Pani Wiesia truchta za nami, trochę lamentując, trochę dziękując. Ł. żartuje, ale w jego głosie słychać ostrzeżenie:

– Niech no tylko pani już nie zmienia zdania, bo z powrotem na górę taszczyć jej nie będę!

Pani Wiesia przyrzeka, że to się nigdy nie wydarzy. Tylko że z panią Wiesią nic od dawna nie jest pewne.

Przez lata Wiesia dorobiła się statusu osiedlowej dziwaczki (dla większości pozostaje wówczas przezroczyta), potem lekko uciążliwej sąsiadki (bywa wtedy zauważalna, choć zazwyczaj kątem oka), wreszcie sąsiadki uciążliwej wysoce i zauważalnie, a na końcu – wroga świętego spokoju i słodko śpiących dzieci; obecnie Wiesia to już źródło „potencjalnego zagrożenia” i oczywiście, jak pośpiesznie dodaje wysoki, przystojny Ł. oraz jego żona, architektka, towarzysze mojej niedoli i zaniepokojenia z tego samego piętra starego, warszawskiego bloku, jest to przede wszystkim osoba chora, nieszcześliwa, osoba potrzebująca pilnej pomocy, bo przecież nad sobą nie panuje, więc trzeba coś wymyślić, trzeba coś z nią zrobić, pardon, coś zrobić dla niej! Nie winię Ł. za wtręty o konieczności „zrobienia z tym czegoś”, bo sama nie robiłam dla Wiesi zbyt wiele. Kiedyś chętnie przystawałam na sąsiedzkie pogawędki, teraz staram się schodzić jej z oczu. Bo Wiesia od dwóch lat na przemian recytuje swoje pamiętniki i krzyczy. Na mnie także.

Im głośniej Wiesia krzyczy, tym dotkliwiej milczą: ośrodek pomocy społecznej, psychiatra w poradni, szpital i sąd.

Usprawiedliwiam się wiedzą o tym, że Wiesia funkcjonuje nie najlepiej. Co miesiąc peroruje w obecności listonosza, który przynosi jej rentę. Codziennie wychodzi na zakupy spożywcze i z nimi wraca, ergo: je i pije. Gdyby stało się coś poważnego, zareagujemy. Jeśli cisza zapadnie po jej stronie ściany na dłużej niż trzy dni, zapukamy. (...) Gdy pani Wiesia nagle zamilknie, wyważymy drzwi

do jej świata. Bardzo chcemy, żeby zamilkła. Bardzo się boimy, że kiedyś zamilknie. W końcu obchodzi tylko nas. Przeszkadza tylko nam. To wielka odpowiedzialność. Nikt inny do tej odpowiedzialności się nie kwapi.

Piąta nad ranem, dziewiąta wieczorem, czwarta nad ranem, północ – Wiesia krzyczy. Ł. puka, żeby spytać, czy a nuż czegoś nie potrzebuje. Później wstrząśnięty opowiada, że w mieszkaniu nie ma telefonu ani radia. Może załatwimy jej mały telewizor? Nic nie załatwimy, bo Wiesia już nikomu z nas później nie otworzy. Wpuści na chwilę pracownicę socjalną, panią Basię z pobliskiego ośrodka pomocy społecznej. To jednak pułapka, bo już po paru sekundach Basia z krzykiem ucieknie przed pięściami Wiesi. Po tym incydencie Basia wyrokuje: Wiesława odstawiła

z domu, jeszcze więcej krzyku? Później oddział zamknięty, pasy – jeśli będzie protestować – i do tego zamulenie lekami? Ile po czymś takim zostanie dawnej Wiesi? Fragment, strzęp? Znajomy psychiatra tłumaczy mi: nieleczony epizod psychozy niszczy mózg. Zmiany anatomiczne w mózgu osoby chorej można zobaczyć dzięki nowoczesnym technikom neuroobrazowania.

Nie dla Wiesi takie nowinki, ale lekarz zakłada, choć jej mózgu nigdy nie obejrzy, że Wiesi „ja”, czymkolwiek to „ja” jest, niszczy psychoza, o której Wiesia nawet nie wie, że ją ma. To jeden z objawów schizofrenii paranoidalnej: brak świadomości choroby. To nie jest tak, że Wiesi jest tam dobrze, gdziekolwiek ona teraz przebywa. Ona też się męczy, skoro tak krzyczy, no bo ile można żyć

Kiedyś chętnie przystawałam na sąsiedzkie pogawędki, teraz staram się schodzić jej z oczu. Bo Wiesia od dwóch lat na przemian recytuje swoje pamiętniki i krzyczy. Na mnie także.

leki. Trzeba jej załatwić wizytę u psychiatry. Kiedy? Nie wiadomo, jest pandemia, przychodnia oferuje wyłącznie teleporady. Zresztą czy Wiesia zgodziłaby się porozmawiać z psychiatrą?

Każdy cierpi po swojej stronie ściany. Ł. nie może spać. Ja nie mogę spać ani pracować. Wiesia walczy z niewidzialnym wrogiem. Rozwala drzwi na oścież, potem trzaska nimi tak, że aż podskakujemy. I krzyczy: na Komorowskiego, na Dudę, na dziwkę spod 64, na morderców, enkawudzistów, Ukraińców, panią z OPS-u. Trzask i wrzask, na przemian, od rana do nocy. Chcemy Wiesi nadal współczuć, ale wychodzimy z wprawy.

System nie ma pomysłu na Wiesię. Można by ją ubezwłasnowolnić i umieścić w szpitalu, ale do tego trzeba zainteresowania rodziny. Basia z OPS-u pracownice kolekcjonuje dokumenty dla sądu. Gdy uzbiera grubą teczkę, napisze wniosek o przymusowe umieszczenie w szpitalu. Trochę się waham. Czy to Wiesia pomoże? Siłowe wyciągnięcie

w śmiertelnym przerażeniu, w przekonaniu, że za ścianą żyją dziwki i mordercy?

Piszę więc mejl do OPS-u: „Dzień dobry, chciałam poinformować Państwa o nasileniu objawów choroby psychicznej pani Wiesławy. W ostatnim czasie pani Wiesława przez wiele godzin rozpaczliwie krzyczy, wyzywając jakichś nieistniejących ludzi. Jest bardzo pobudzona. Kilka dni temu chodziła po osiedlu, mówiąc do siebie i reagując agresywnie (machaniem rękami i wyzwiskami) wobec osób, które do niej zagadywały, chcąc jej pomóc. Z poważaniem...”

Po trzech tygodniach przychodzi odpowiedź: „Dzień dobry, w odpowiedzi na Pani mejl dotyczący zainteresowania się sytuacją i podjęcia interwencji w sprawie p. Wiesławy informuję, że pracownicy socjalni w ostatnim czasie kilkakrotnie podejmowali próby nawiązania współpracy z ww. Ona jednakże kategorycznie odmawiała wpuszczenia pracowników do mieszkania. Ponadto p. Wiesława spotkana przez pracowników OPS-u na ulicy używała wobec nich ▶

► wulgarnych i obraźliwych epitetów, kategorycznie odmawiając jakiegokolwiek współpracy oraz pomocy (...). W związku z powyższym uprzejmie prosimy, w sytuacji, kiedy w Państwa ocenie zachowanie ww. będzie zagrażało jej oraz otoczeniu, o niezwłoczne wzywanie odpowiednich służb: tj. policji, pogotowia. Z poważaniem...”.

Od Basi wiem, że w całym swoim życiu Wiesia była w szpitalu psychiatrycznym kilkanaście razy. W języku psychiatrii ma to nazwę: mechanizm

Jednak według statystyk na jednego człowieka z diagnozą schizofrenii przypada średnio aż 10 osób dotkniętych konsekwencjami jego stanu. Z reguły to rodzice, najczęściej – matki. Zdarza się jednak, że są to także mężowie, żony, partnerzy i partnerki, dzieci, a nawet najbliżsi przyjaciele. Na ostatnim piętrze mojego bloku nikt nie ma na Wiesię pomysłu. Drzwi obrotowe polskich szpitali kręcą się bez przerwy. Gorączkowo zaczynam szukać odpowiedzi na pytanie, jak je zatrzymać.

Choroba syna zmusiła Karolinę do odgrywania wiele razy tego samego przedstawienia. Swoją rolę opanowała do perfekcji, podobnie jak reszta obsady, czyli: Łukasz, policjanci, lekarze na izbie przyjęć oraz sędzia. W pierwszej scenie Łukasz odstawia tabletki, twierdząc, że jest zdrowy. Rentę z ZUS wydaje na narkotyki. W scenie drugiej wymiotuje na dywan i rzuca meblami, nocą chodzi niespokojnie po pokoju, krzyczy, wali pięściami w ścianę. Wynosi z kuchni noże i chowa je w szafie. Karolinie opowiada, że nad nimi mieszka tajemniczy agresor. W scenie trzeciej grozi, że wysadzi cały blok. Karolinę prosi, by uciekła – nie chce przecież, żeby stała jej się krzywda. Ona kiwa wtedy głową, zarzuca na ramiona płaszcz i wychodzi na dwór. Tam dzwoni na policję. W scenie czwartej, kulminacyjnej, wraca do mieszkania z dwoma roslymi mężczyznami w mundurach. Na dole czeka już karetka. Łukasz mięknie i wychodzi, prowadzony przez policjantów. Scena piąta: izba przyjęć, Łukasz krzyczy, że wcale nie jest chory i chce wracać już do domu. Sanitariusze siłą prowadzą go na oddział. Psychiatra składa do sądu wnioski o przymusowe leczenie. Następnego dnia wkracza sędzia, który pieczętuje los Łukasza i po krótkiej rozmowie z nim oraz lekarzami zatwierdza pobyt chłopaka

Wiesia walczy z niewidzialnym wrogiem. Chcemy jej nadal współczuć, ale wychodzimy z wprawy.

drzwi obrotowych. Chory zostaje podleczone w szpitalu, po paru tygodniach lub miesiącach wraca do domu i wpada w próżnię. Jeśli wótki jest jakaś rodzina, choćby szczątkowa sieć wsparcia, jakiś przyjaciel, praca, terapia w ramach NFZ, wtedy jest szansa na ratunek przed próżnią. Jeśli nie ma nic, jak w przypadku Wiesi, droga po równi pochyłej zazwyczaj wygląda podobnie. Odstawienie leków, nasilenie objawów, wrzask i trzask, czasem policja albo pogotowie, brak zgody na pobyt w szpitalu, powrót do domu. Dopóki Wiesia nie zrobi sobie krzywdy albo nie zamilknie na amen, mamy związane ręce.

W styczniu 2021 r. Wiesia otwiera drzwi psychologowi z OPS-u. Psycholog wpada kilka razy, rzadko słucha, częściej mówi. Głównie o sobie – słyszę to przez ścianę. Po kilku wizytach znika. Wyczerpał się limit wizyt? Nie wiadomo. Sąd rodzinny i opiekuńczy przyjmuje wniosek o przymusowe leczenie Wiesi w szpitalu. W lutym 2021 r. odbywa się pierwsza rozprawa. Kiedy następna? Nie wiadomo. Ł. i ja pytamy Basię przez telefon, czy będzie zeznawać, w końcu to ona otacza Wiesławę opieką instytucjonalną. Nie, sąd rodzinny i opiekuńczy nie powołał Basi na świadka. Dlaczego? Nie wiadomo.

Wiesia wpada do szpitala i z niego wypada. Nie chce się leczyć i nie ma nikogo bliskiego, kto by ją do tego namawiał.

Psychiatrzy mają swoje odpowiedzi, ale ja chcę wiedzieć, jak na chorobę patrzą ci, którzy stoją najbliżej: rodziny, przyjaciele, opiekunowie, towarzysze. (...)

Pomysł Karoliny, matki, to: droga sądowa, częściowe ubezwłasnowolnienie. Może byłby skuteczny, gdyby sądy w Polsce nie były tak powolne. Jej syn mieszka teraz sam. Karolina rzadko do niego zagląda. On pisze czasem do niej SMS: „Co u ciebie?”. Chwilę potem dodaje: „Jeśli potrzebujesz pomocy, zastrzelę kogo trzeba”. Ona nie odpisuje.

Choroba syna zmusiła Karolinę do odgrywania wiele razy tego samego przedstawienia. Swoją rolę opanowała do perfekcji, podobnie jak reszta obsady, czyli: Łukasz, policjanci, lekarze oraz sędzia.

Niewłaściwe słowo mogłoby go zdenerwować. Woli dzwonić. Psychiatra radził jej, żeby mówiła do syna cicho i łagodnie.

Gdy rozmawia z nim przez telefon, drży i trzęsą jej się ręce. Bo Łukasz bywa czymś śmiertelnie przerażony i czasem wtajemnicza ją w swój strach. Zdarza mu się odsuwać telefon od ucha i krzyczeć gdzieś w przestrzeń: „Zabiję cię, skurwielu!”. Potem przysuwa go znowu do twarzy i szepcze: „Pod słuchają nas, mamoo”.

w szpitalu. W ciągu kilku lat zagrali ten scenariusz jedenaście razy. Nikogo na oddziale nie dziwiło, że ten sam pacjent wraca do szpitala jak bumerang. Karolina, odwiedzając syna, próbowała rozmawiać z lekarzami. W Tworzech pytała psychiatrę, kto pomoże synowi, gdy ten już ze szpitala wyjdzie. Był zdziwiony. „Pani jest matką. Jak pani mu nie pomoże, nikt inny tego przecież nie zrobi”, powiedział.

Łukasz ma 33 lata i choruje od dziewięciu. Pierwszy epizod

psychotyczny przeżył w Niemczech. Dołączył tam do ojca, mieli razem pracować przy zbiorach truskawek. Ktoś przyniósł im tanią, kiepską marihuanę. Narkotyki nie powodują schizofrenii, ale ich zażywanie może wyzwolić pierwszą psychozę. Łukasz położył się wtedy na podłodze i trząsł ze strachu. Mówił, że słyszy dźwięk odbezpieczonej broni. Nie umiał sam wstać. Ojciec się przestraszył i wezwał pogotowie. W niemieckim szpitalu Łukasz leżał miesiąc, dostał tam diagnozę i zbyt silne leki. Gdy ojciec chłopaka przywiózł syna z powrotem do matki, Łukasz był usztywniony, ślinił się. Ona nie wierzyła, że to jej dziecko, nie poznawała go. W warszawskiej poradni lekarka dopasowała mu właściwą dawkę leku. Odstawił tabletki, gdy tylko poczuł się lepiej – to wtedy drzwi obrotowe szpitala zaczęły się kręcić. Gdyby Karolina wiedziała to, co wie teraz, gdyby ktoś z nią wtedy porozmawiał, wytłumaczył, co się dzieje i co za chwilę może się wydarzyć, może zyskaliby przewagę nad chorobą. Jednak bez tej wiedzy zaczęli oddawać jej pole, wycofywać się.

Odstawienie leków to moment krytyczny. U 80% pacjentów skutkuje nawrotem, nad którym można zapanować już tylko w szpitalu. Nikt Karolinie o tym nie powiedział. Dlatego walczyła z nowym wrogiem na oślep. Lepszy okres trwał u Łukasza 11 miesięcy, prawie cały 2016 r. Zapał się wtedy na refundację leku podawanego w comiesięcznym zastrzyku. Zastrzyki są drogie, więc psychiatrzy przepisują je tylko tym pacjentom, którzy wcześniej wykazali „uporczywy brak współpracy”. Łukasz spełniał ten warunek. Po zastrzykach poczuł się lepiej. Wtedy po raz pierwszy zobaczył sens w leczeniu. Zamieszkał sam w wynajętym przez Karolinę pokoju. Znalazł pracę jako szatniarz. A potem się zakochał. Dziewczyna rzuciła go, gdy jej rodzice dowiedzieli się o chorobie Łukasza. Wtedy zupełnie się posypał. Nie wrócił już do poradni po kolejną dawkę leku.

Karolina brała coraz więcej zwolnień lekarskich. W pracy czuła na sobie ciężar pytających spojrzeń. Męczyło ją wymyślanie kolejnych

wymówek i kłamstw. Dzieci jej koleżanek brały w tamtym czasie śluby, broniły prac magisterskich i zachodziły w ciążę. Ona na przemian modliła się, żeby Łukasz trafił do szpitala i żeby z niego wyszedł. Jego obecność była równie straszna jak jej brak.

Na początku 2017 r. Karolina się poddała. Sprzedała warszawskie mieszkanie i zostawiła pracę, którą kochała.

Razem z synem wróciła do rodzinnych Pionek. On zamieszkał sam w mieszkaniu po babci. Ona poznała nowego partnera i wprowadziła się do niego. Łukasz w tym czasie przestał jeść i korzystać z prysznica. Wpadał w coraz głębszą depresję. W marcu Karolina spotkała się

za rękę. „Zapamiętajcie, co was czeka!”, krzyknął Łukasz, kiedy razem z siostrą uciekały w dół klatki schodowej. Karolina pobiegła na komisarjat i opowiedziała o wszystkim policji. Łukasz spędził w szpitalu kolejne trzy miesiące. Wtedy sąd przypomniał sobie o złożonym wcześniej wniosku o przymusowe leczenie. Przyznał rację matce: Łukasz potrzebuje pomocy specjalistów. Karolina złożyła wtedy kolejny wniosek, tym razem o częściowe ubezwłasnowolnienie syna. Sąd przychylił się do niego i nakazał Łukaszowi branie leków. Jeśli przestanie, znowu zostanie zabrany do szpitala. Karolina przez pewien czas sama kupowała je w aptece i zostawiała synowi pod drzwiami. Obok stawiała siatkę z jedzeniem.

Odstawienie leków to moment krytyczny. U 80% pacjentów skutkuje nawrotem, nad którym można zapanować już tylko w szpitalu.

z byłym mężem i razem ustalili, że napiszą wniosek o przymusowe leczenie ich dziecka. Sąd nie zdążył go rozpatrzyć. Choroba Łukasza przepisała ponownie znany wszystkim scenariusz.

Przez następne tygodnie Karolina wchodziła do mieszkania syna, zgarniała sterty jego brudnych ubrań i wrzucała je do pralki. Na stole w kuchni stawiała siatkę pełną jedzenia. Myła okna, podłogi, ścierała kurze z mebli. Nie pytała o leki, nie szperała w jego rzeczach, szukając narkotyków. Przestała walczyć, chciała mu tylko pomagać. Tamtego majowego dnia odwiedziła go razem ze swoją siostrą i akurat zdejmowała pranie, gdy Łukasz zagroził, że wypchnie ją z balkonu. Prosiła, żeby tego nie robił. Kiedy wrócili do mieszkania, sięgnął za łóżko i wyciągnął stamtąd zawinięty w plastikową siatkę nóż. Zamachnął się dwa razy, ale tylko przeciął nim powietrze. Karolina krzyknęła: „Przestań, proszę!”. Udało jej się chwycić go

Dziś już tego nie robi. Łukaszowi pomaga rodzina jej byłego męża, ona czasem wspomaga go niewielkimi sumami pieniędzy. Przeszła terapię i doszła do wniosku, że spalała się w pomocy synowi. Na Facebooku założyła grupę dla podobnych jak ona. Nazwała ją „Grupą wsparcia dla rodzin i bliskich osób chorych na schizofrenię”. W styczniu 2023 r. należało do niej blisko 2 tys. członków.

Łukasz na szczęście ostatnio radzi sobie nieźle, nie chce jednak iść do pracy ani na spotkanie z terapeutą.

Rozmawiają tylko przez telefon, bo Karolina nadal się go boi. Ale jeszcze bardziej boi się tego, że jej dziecko zostanie w chorobie całkiem samo. Ona nie potrafi przy nim być, a nikt inny się do tego nie kwapi. Wyznaczona przez sąd kuratorka, która miała go odwiedzać, powiedziała ostatnio Karolinie w zaufaniu, że też boi się do Łukasza zaglądać.

Fragmenty książki Anny Kiedrzynek *Choroba idzie ze mną. O psychiatrii poza szpitalem*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023



Popularna i wciąż nieodkryta

Do Bułgarii nie tylko nad morze



Przypominające piramidy najwyższe wierzchołki Pirinu zbudowane są z marmurów.

Chrystian Ślusarczyk

Legenda głosi, że „kiedy Bóg rozdawał ziemię, zapomniał o Bułgarach. A gdy upomnieli się o swój kraj, Bóg dał im krainę, którą zostawił sam dla siebie”. I w której jest wszystko: morze, góry, lasy, równiny. Tyle legenda. Ale spece od turystyki wiedzą lepiej. Dlatego utarło się, że „jeśli do Bułgarii, to nad morze”.

Przez lata Bułgaria była dla nas najważniejszym krajem oferującym wakacje nad ciepłym morzem. Po 1989 r. Polacy zaczęli odwiedzać miejsca, które w czasach żelaznej kurtyny nie były tak dostępne, ale po sprawdzeniu nowych kierunków bułgarska oferta znów stała się dla nas atrakcyjna.

Na początku lat 90. Bułgaria przeżywała kryzys okresu przejściowego, a czarnomorskie ośrodki świeciły pustkami. W XXI w., wraz z wejściem kraju do NATO i UE, bułgarska turystyka wróciła na właściwe tory. Wybrzeże, na tle wyludniającego się interioru, stanowi dziś wyspę gospodarczego rozkwitu.

Bułgaria i Polska są coraz lepiej skomunikowane. Najchętniej wybieramy bezpośrednie loty do Burgas i Warny (około dwóch godzin), ale coraz łatwiej dojedziemy też własnym samochodem, choć zwykle musimy się liczyć z noclegiem tranzytowym. Mimo autostrad powstających w Rumunii dotarcie nad Morze Czarne w jeden dzień to zbyt duże wyzwanie. Niestety, Bułgaria i sąsiednia Rumunia nie zostały przyjęte do strefy Schengen. Oznacza to, że na przejściach granicznych z Rumunią możemy stracić sporo czasu. Kierowcy powinni pamiętać, że w Bułgarii za korzystanie z dróg (wszystkich, nie tylko autostrad) obowiązuje opłata. Koszt tygodniowej winiety – 8 euro, niewiele, zważywszy, że jadąc np. z Sofii do Burgas, pokonujemy 400 km autostrady.

Bułgarii nie udało się na razie wejść do strefy euro. Od wielu już lat gospodarka funkcjonuje tam na zasadzie sztywnego kursu lewa do euro. Ma to przygotować kraj do przyjęcia europejskiej waluty. Dziś w kantorach za 1 euro powinniśmy dostać 1,93-1,94 lewa. Mniej korzystny będzie dla nas kurs na lotniskach i na granicy.

Pandemia i wojna w Ukrainie spowodowały wzrost cen w bułgarskich kurortach, mimo to ceny owoców, przetworów czy domowej rakii na bazarach mogą nas pozytywnie zaskoczyć.

Wybrzeże

Wybrzeże Morza Czarnego zachęca różnorodnością. Obok kilometrów piaszczystych plaż, tych „zabetonowanych” i tych wciąż dzikich, oferuje skaliste zatoki z klifami (przyładek Kaliakra) i dziesiątki mniejszych zatoczek, w których miejscowi zbierają małże i raki. Jest też kilka wysp, np. Sweta Anastasija koło Burgas z klasztorem i dawnym więzieniem.

300-kilometrowe wybrzeże podzielone jest na północne i południowe. Umowną granicę podziału stanowią góry Stara Płanina i przyładek Emine schodzący w stronę morza. Przyładek znajduje się w pobliżu Słonecznego Brzegu – od lat najszybciej rozwijającego się i najmodniejszego kurortu Bułgarii. To jeden z sześciu dużych ośrodków czarnomorskich, które powstały od podstaw, bez „oparcia” w małym miasteczku czy

porcie. Tym, którzy lubią wielkie hotele z basenami i zabawę do białego rana, Słoneczny Brzeg z pewnością przypadnie do gustu. Kurort stanowi jeden organizm rekreacyjny z położoną jeszcze bliżej przylądka Emine miejscowością Sweti Włas, słynącą z pensjonatów i hoteli rodzinnych. Plaża nie jest tam zbyt szeroka i w sezonie może być zatłoczona.

Ze Słonecznym Brzegiem sąsiaduje Nesebyr, dla wielu najciekawsza miejscowość wybrzeża, z największą liczbą zabytków. Położony na niewielkim półwyspie, połączonym z lądem malowniczą groblą, stary Nesebyr jest rezerwatem architektonicznym wpisanym na listę UNESCO. Szczyci się kilkoma cerkwiami (X w.), ruinami fortyfikacji i dziesiątkami domów z kamiennym parterem i drewnianym, wychodzącym lekko nad ulicę piętrzem. Spacer wąskimi uliczkami starówki, na których starsze panie sprzedają domowe konfitury z fig czy własnoręcznie szyte obrusy, to obowiązkowy punkt programu. Wielu turystów znajduje zakwaterowanie w nowym Nesebyrze. Nie brakuje tam małych pensjonatów z ogródkami, gdzie wieczorem, pod winoroślą szopska sałatka i rakija gospodarza smakują najlepiej.

Największym miastem południowego wybrzeża jest Burgas. Spora plaża i tętniąca życiem przez całą dobę starówka sprawiają, że miasto szczycące się najlepiej w Bułgarii wykorzystywanymi środkami unijnymi cieszy się coraz większą popularnością.

Sporo atrakcyjnych miejsc znajdziemy na południe od Burgas. Jadąc wygodną dwupasmówką, po 30 km dotrzemy do Sozopola. Miasteczko pod wieloma względami przypomina Nesebyr. Sozopol (w starożytności Apollonia) to jedno z najstarszych miast tej części Europy. W architekturze widać wpływy tureckie i greckie. W starej części nasz wzrok przykuja drewniane budynki – domy charakterystyczne dla bułgarskiego odrodzenia. W otoczonej dwiema piaszczystymi plażami Sozopolu nie brakuje restauracji i sklepów, a w niewielkim porcie warto się wybrać na smażoną cacę (szprotki).

Jadąc na południe, dotrzemy do niemal już połączonych z Sozopolem kurortu Djuni (bułg. wydmy). Ten zbudowany pod koniec lat 80. od podstaw ośrodek w odróżnieniu od Słonecznego Brzegu oferuje zakwaterowanie w mniejszych hotelach na wzgórzu. Szeroka plaża to tylko początek ciągnących się dalej, kilka kilometrów na południe, dzikich plaż i wydmy. Niedaleko do morza wlewa się dzika rzeka Ropotamo. Przyroda

to raj dla szukających nieskażonej przyrody, słońca i ciepłej wody (temperatura dochodzi do 27 st.).

Wizytówką północy jest Warana. Miasto szczyci się długą plażą i zadbanym parkiem morskim. W samym centrum znajdują się sobór Zaśnięcia Matki Bożej oraz pozostałości budowli rzymskich i bizantyjskich. Z kolei na przedmieściach jeden z dwóch trackich kurhanów grobowych przekształcono



Ciekawe jest drugie pod względem wielkości miasto Bułgarii – Płowdiw na Nizinie Trackiej.

Monastyr Riński powstał na miejscu pustelni św. Iwana Rińskiego z X w.

niczym znad Amazonki, zielona woda, bogactwo ptaków, węży i żółwi to główne atrakcje dwugodzinnych wycieczek stateczkiem po tej wyjątkowej rzece. Delta znajduje się w pobliżu lasów, gdzie tuż przy plaży swoją rezydencję zbudował towarzysz Todor Żiwkow. Wódz partii i narodu wiedział, co robi. Pobliskie Primorsko i Kiten, szybko dziś rozwijające swój turystyczny potencjał, wabią czterema pięknymi plażami i krystalicznie czystą wodą.

Ci zaś, którzy preferują wciąż rzadko zaludnione wybrzeże, mogą się udać w rejon Sinemorca, wioski tuż przy granicy z Turcją. Położone nad zatoczkami plaże Butamjata i Silistar



w pomnik-mauzoleum Władysława III Warneńczyka.

Na północ od miasta powstały kurorty Sweti Konstantin i Sweta Elena (dawniej Družba), Ałbena i Złote Piaski. Ten ostatni przez lata konkurował ze Słonecznym Brzegiem. Najbardziej malowniczym miasteczkiem ▶

▶ na północy jest Bałczik. Choć nie może się poszczycić plażami Złotych Piasków, jego atrakcją jest pałac rumuńskiej królowej Marii (na początku XX w. Bałczik należał do Rumunii) – letnia rezydencja ze wspinałym ogrodem botanicznym, drugim pod względem zbiorów w Europie (m.in. 250 gatunków kaktusów). Zdaniem znawców bułgarskiego wybrzeża zdecydowanie najpiękniejsze piaszczyste plaże znajdują się koło wioski Szkorpiłowci, 40 km od Warny. Pas plaży o szerokości 100 m ciągnie się przez 12 km.

Miasta i miasteczka

Sofii nie należy omijać obwodnicą. Wizyta w stolicy z pewnością nie będzie czasem straconym. Zwiedzanie centrum z kilkoma wspinałymi cerkwiami (m.in. soborem św. Aleksandra Newskiego), drugiej pod względem wielkości synagogi w Europie czy minicerkwi Bojańskiej można połączyć z wypadem w góry, czyli masyw Witoszy (2290 m). Góry, które w tygodniu zachęcają pustymi szlakami, są doskonale skomunikowane ze stolicą. Panorama Sofii ze szczytów Witoszy zapiera dech. Ale Sofia to także kurort z ciepłymi źródłami wód mineralnych.

Ciekawe jest drugie pod względem wielkości miasto Bułgarii – Płowdiw na Nizinie Trackiej, w przeszłości zwane Trimoncjum od trzech wzgórz, na których usytuowana jest starówka. Na każdym kroku widać tu ślady zamierzonej przeszłości. Dwu- i trzykondygnacyjne kamienie przy wąskich uliczkach, kilka cerkwi, meczet i synagoga oraz doskonale zachowany amfiteatr z czasów rzymskich (II w.) przyciągają turystów z całego świata.

Stara stolica Bułgarii, położone po północnej stronie Bałkanów Wielkie Tyrnowo, to przykład biegoty bułgarskich architektów, którzy potrafili budować domy, cerkwie, pałace i twierdze na najbardziej stromych wzniesieniach. W tym mieście zachwycają całe dzielnice, w których dachy jednych domów stanowią wejście do drugich. Z większości roztacza się wspinała panorama na meandrującą w dole, między skałami rzekę Jantreg.

Nazwa Mełnik kojarzona jest w Polsce z czerwonymi winami. To usytuowane tuż przy granicy z Grecją najmniejsze miasteczko Bułgarii (dziś 200 mieszkańców) szczyci się wielkimi, białymi domami czy wręcz pałacami. W wielu z nich znajdują się najlepsze w Bułgarii winiarnie. Gorącą latem miejscowość (40 st. to nie rzadkość) z każdej strony otaczają potężne piaszkowce.

Warte odwiedzenia są miasteczka po obu stronach łańcucha Bałkanów. Miastem skansenem jest znajdująca się na wschód od Sofii Kopriwuszica. Zachowała się tam typowa zabudowa XIX-wiecznej Bułgarii. Miasteczko odegrało kluczową rolę w antytureckim powstaniu kwietniowym (1876). Do naszych czasów dotwały liczne pamiątki z tego okresu – broń, stroje, przedmioty codziennego użytku.

Góry i klasztory

Większą część powierzchni Bułgarii zajmują góry. Wyższe i niższe, różniące się nie tylko wysokością, ale i krajobrazem. Najwyższe pasmo, Riła (szczyt Musala – 2925 m), znajduje się zaledwie 60 km od Sofii. Punktem wyjścia jest zatłoczona zimą stacja narciarska Borowec, latem zamieniająca się w oazę ciszy i spokoju. Dzięki nowoczesnej gondoli wyjeżdżamy na wysokość 2300 m. Nawet mało wprawny turysta dostanie się w samo serce skalistych gór, gdzie latem śnieżne zasy nie są rzadkością. Niezadepniętymi szlakami możemy wędrować od schroniska do schroniska. U podnóża Riły znajduje się największy, najliczniej odwiedzany przez Bułgarów monastyr Riński (UNESCO). Bajecznie kolorowy klasztor powstał na miejscu pustelni św. Iwana Rińskiego z X w. Współczesny wygląd pochodzi z XIX w., kiedy to dzięki ofiarom Bułgarów i przy zgodzie władz tureckich wybudowano ogromny kompleks klasztorny, wkomponowany w lesiste otoczenie. Mury o grubości 2 m i wysokości 24 m nadają mu wygląd warownej twierdzy i obramowują budynki o łącznej kubaturze 32 tys. m sześć.

Znajdujące się na południe od Riły góry Pirin także przekraczają 2900 m n.p.m. Doskonałym punktem wyjścia w góry jest miasteczko Bansko, zimą

największy ośrodek narciarski na Bałkanach, latem również oaza spokoju. To właśnie z Banską krętą szosą dostaniemy się do schroniska Wichren i dalej już na szlaki. Przypominające piramidy najwyższe wierzchołki Pirinu zbudowane są z marmurów, można więc odnieść wrażenie, że leży na nich śnieg. Niezapomniany jest widok na marmurowe szczyty w czasie letnich księżycowych nocy. Zarówno Riła, jak i położony blisko Grecji Pirin cieszą się latem suchą i słoneczną pogodą. Na południowych zboczach Pirinu, blisko Mełnika, warto zwiedzić kasztor Rożenski. Monastyr ze średniowiecznymi freskami został wybudowany w roku 890!

Dzięki i warte penetracji jest przebiegające od granicy z Serbią aż po Morze Czarne 500-kilometrowe pasmo Bałkanów (bułg. Stara Płanina). Najwyższy szczyt Bałkanów, Botew (2376 m n.p.m.), przypomina nieco bieszczadzkie połoniny, okazuje się łatwo dostępny. Góry kryją wiele klasztorów. Najwspanialszy to usytuowany na północnych zboczach monastyr Trojański. Jego kamienne zabudowania w stylu bułgarskiego renesansu przykryte są charakterystycznymi dla regionu kamiennymi płytami.

Równie potężnym pasmem góskim są nieco niższe Rodopy. Najdogodniejszym punktem wypadowym jest zimowa (latem pustki) stolica Rodopów Pamporowo. W górach nie brakuje dobrze zaopatrzonych schronisk. Prawdziwą perłą architektoniczną jest schowana w głębokiej dolinie miejscowość Sziroka Łyka. Przy wąskich, brukowanych uliczkach stoją tam majestatyczne rodopskie domy. Wszystkie są otoczone grubymi murami i mają ciężkie drzwi z kutego żelaza. Miasteczko słynie z organizowanego tam festiwalu kobziarzy.

Bułgaria od lat zajmuje trzecieczwarte miejsce na liście ulubionych kierunków wakacyjnych Polaków. Obok Albanii i Czarnogóry należy do najtańszych letnich miejsc. Ale jeśli zdecydujemy się choćby na krótko odejść od jej zaszkladkowania „Bułgaria równa się zatłoczone wybrzeże”, zagwarantujemy jej turystyczne podium.

Chrystian Ślusarczyk

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości, ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

TRANS BORNEO



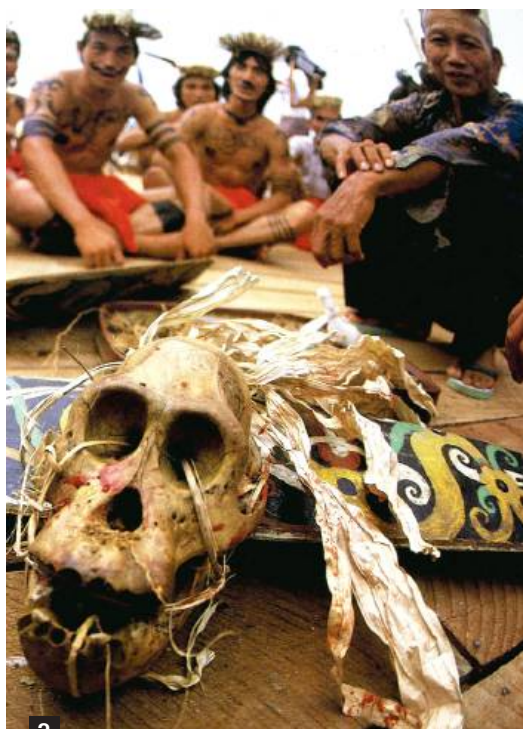
1

Borneo. Już sama nazwa ożywia wyobraźnię. Trzecia co do wielkości wyspa świata znana jest jako jeden z najdzikszych zakątków globu, z zabójczym klimatem, bezkresną dżunglą pełną niebezpiecznych zwierząt, dziewiczymi terenami, trudno dostępnym łańcuchem górskim i wreszcie szeroką gamą chorób tropikalnych. Ponadto: kilka dziesiątków gatunków jadowitych węży, chmary insektów, upiorne pijawki i zdradliwe górskie rzeki. Wyspa przywołuje na myśl fascynujące historie piratów malajskich oraz złą sławę jej rdzennych mieszkańców, Dajaków, tajemniczych łowców głów. Ponad sto lat temu żeglował tu Joseph Conrad i stąd pochodzą niektórzy jego literaccy bohaterowie reprezentujący wartości cywilizacji i praktyki kolonializmu. Tędy wędrował Tomek Alfreda Szklarskiego. Stąd też czerpał natchnienie urzeczony zagadkowym czarem Wschodu inny pisarz, Somerset Maugham, a młody przyrodnik Alfred Russel Wallace zgłębiał tu mechanizm doboru naturalnego.

W 2006 r. prowadziłem wyprawę z cyklu „Przekraczanie barier osobowości”: Borneo od brzegu do brzegu, ponad 2 tys. km tubylczymi pirogami i pieszo.



2



3



4



6



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com



8





5



7

1. Las tropikalny Borneo.
2. Trasa wyprawy.
3. Trofea łowców głów.
4. W interiorze wyspy.
5. „Długi dom” Dajaków.
6. Poszukiwanie złota.
7. Rękodzieło Dajaków.
8. Konsekwencje brożenia w wodzie.
9. Trudy podróży.
10. Tradycyjna sztuka Dajaków.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



9



10



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- otacza głowę świętego
- tendencja do częstych usterek
- piewca jak celtycki poeta i pieśniarz
- tym głosem śpiewa Mefisto w „Fauście”
- potocznie o pościeli
- jak śmierć na niej wygląda mizerny

- o bólu reumatycznym
- „Całuję twoją... madame”
- bohaterka „Starej baśni”
- grecki region z Janiną
- olbrzym pokonany przez Dawida
- zabił Patroklosa
- nauka o ziemskich wodach

- myśl przewodnia, koncepcja
- Świątek lub Cembrzyńska
- imię poety Siewierianina
- ciemnobłękitny barwnik
- tam ewakuowana armia Andersa
- najniższy stopień wojskowy w artylerii
- dziki krewniak
- złotej rybki
- film Smarzowskiego o księżach
- ozdoba przypinana do ucha
- spalił Wołmontowice
- pole do gry dla Świątek
- cos w trygonometrii
- hemocyt
- gra od nazwy portugalskiej kolonii

- sprężynowy, piankowy lub dmuchany
- naczynie na żołnierski posiłek
- południowoamerykański nieto
- koła, elektryczny lub łowiecki
- oftalmolog
- miasto uniwersalu Jana II Kazimierza
- duża malpa z Sumatry i Borneo
- drapieżny delfin
- i wicher, i polski niszczyciel
- stabilizator zamiast gipsu
- wpada do Wisły lub żądli
- skrzypy i widłaki były w tej gromadzie
- taneczne lub sportowe w łyżwiarstwie figurowym
- za paskiem Ziobry

- gospodarstwo proboszcza
- sport z bramkami jak litera H
- gdzie on, gdzie Krym
- członkini personelu pokładowego
- pudełeczko na sproszkowany tytoń
- gobelin to ...dekoracyjna
- opieczona kromka
- okres pobytu grupy na wczasach
- ustronie
- imię motorowodniaka Marszałka
- „...nadziei” z Nicole Kidman
- pipetka
- wynagrodzenie, dochód
- wentyl, kurek
- polska waluta
- równoleżnik, nad którym Słońce „zawraca”
- zbiera plon z pola

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1125”. Do rozlosowania książki „Akuszerka z Sensburga” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 lipca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1122” z nr. 25: Nie ma czynu bez przyczyny.
Nagrody otrzymują: Waldemar Klimczyk z Niegowonic, Przemysław Kosobucki z Płocka, Józef Krajka z Milicza.

Fabryka wiz

No to Jarosław Kaczyński popsuł Zbigniewowi Rauowi dzieło życia, do tego nazwał go „urzędnikiem”. Ha, ha...

Wszyscy to wiemy – rząd planował rewolucję w przyznawaniu wiz, także (a może przede wszystkim) pracowniczych. Było w tej sprawie już przygotowane rządowe rozporządzenie, które, gdy wybuchła awantura, Kaczyński w popłochu wycofał. Idea rozporządzenia była prosta – Polska szykowała się do sprowadzania pracowników z krajów Azji. Ponieważ chodziło o setki tysięcy ludzi – zezwoleń na pracę miało być udzielanych do 400 tys. rocznie – a takiej liczby wiz polskie placówki konsularne nie byłyby w stanie wydawać (bo trzeba by wysłać za granicę dziesiątki ludzi, wynająć im tam biura i mieszkania), wymyślono outsourcing.

W tym systemie wnioski wizowe zbierać miały firmy zewnętrzne, miejscowe, autoryzowane przez polskie MSZ. To one miały je selekcjonować, porządkować, a następnie przysyłać do Polski. Dodajmy, że nie jest to jakaś nowość, podobna praktyka jest stosowana w odniesieniu do Białorusi, co wymusiły działania Łukaszenki, który zaczął wyrzucać polskich dyplomatów i sparaliżował pracę naszych konsulatów. Ale tym razem skala przedsięwzięcia miała być zdecydowanie większa – chodziło o 20 państw, w zdecydowanej większości azjatyckich. Stamtąd mieli przyjeżdżać do Polski pracownicy i studenci.

Teraz Jarosław Kaczyński z tego wszystkiego się wycofuje, bo Tusk zrobił awanturę. Tłumaczy zaś tę rejtęradę tym, że była to tylko błędna urzędnicza inicjatywa.

Nie jest to zgodne z prawdą. Ten outsourcing nie był prostą „urzędniczą inicjatywą”, potężne przedsięwzięcie realizowano na najwyższym rządowym szczeblu,

przygotowywano od wielu miesięcy. Rząd i Ministerstwo Finansów dały na to pieniądze, a MSZ wzięło na siebie sprawy organizacyjne.

I gdy mówimy o outsourcingu, to miejmy świadomość, że jest jeszcze drugi koniec łańcucha, czyli ci, którzy wizy ostatecznie wydają. Postanowiono więc, że w ramach MSZ powstanie specjalna komórka, Centrum Decyzji Wizowych, które będzie przyjmowało napływające elektronicznie wnioski z 20 państw Azji, m.in. z Indii, Arabii Saudyjskiej, Iranu, Pakistanu, i wydawało wizy. To centrum umieszczono w Łodzi, mieście Zbigniewa Raua. Ba! 17 kwietnia została uroczystie podpisana umowa o jego ulokowaniu w kompleksie Monopolis. Minister Rau, wygłaszając okolicznościowe przemówienie, mówił, że „Polska staje się coraz bardziej atrakcyjnym krajem dla cudzoziemców pochodzących z państw, z którymi nie mamy umowy o rezygnacji z ruchu wizowego”, i z powodu tej „atrakcyjności” tworzą się w konsulatach kolejki w wydawaniu wiz. Nie wspomniał jednak, że ta atrakcyjność to efekt tego, że jesteśmy w Unii Europejskiej, tylko wołał: „Pomyślmy np. o polskim biznesie czy uczelniach. To znakomite ułatwienie oraz oszczędność, bo utrzymanie dobrze opłacanego pracownika w łódzkim Centrum to zupełnie coś innego niż utrzymanie konsula na miejscu”.

Dlatego, by odblokować zatory wizowe, zdecydowano się na utworzenie CDW. Czyli fabryki wiz, bo – jak ogłosił Rau – do końca bieżącego roku ma ono zatrudniać 20 osób, a do roku 2025 – aż 160.

No to teraz ta fabryka będzie miała przestój...

Attaché



Król Karol III w trakcie pogawędki z młodymi Szkotami podczas wizyty w Edynburgu. 3 lipca 2023 r.



PENETRACJE

ZDANIE DANUTA WANIEK, POLITYCZKA LEWICY

Bardzo dobrze wspominam czasy SdRP oraz Sojuszu jako koalicji ulepionej z różnych organizacji. Proszę sobie wyobrazić, że w 1993 r. myśmy w głosowaniu ustalali miejsce na warszawskiej liście wyborczej. Oczywiście pierwsze miejsce miał Aleksander Kwaśniewski – to akurat nie było głosowane. Ale od drugiego w dół demokratycznie głosowaliśmy wszystkie miejsca. To było coś bardzo cennego. Ja reprezentowałam oczywiście Demokratyczną Unię Kobiet. I miałam wtedy drugie miejsce na liście. A w następnych wyborach miałam jedynekę, którą odziedziczyłam po Kwaśniewskim. I wygrałam wybory w Warszawie.

zwierciadło JOLANTA KWAŚNIEWSKA, ŻONA BYŁEGO PREZYDENTA RP

Ojciec był dla nas surowy. Musiałyśmy mieć odrobione lekcje, porządek w biurkach, w tornistrach. Nie zostawiałyśmy dłużej na podwórku, bo rano szkoła. Przez lata nie miałyśmy z siostrami pojęcia, co przeżył. Sfalszował datę urodzenia, żeby dostać się do wojska, tylko tak mógł wydostać się z Borszczówki. Na młodych nogach przeszedł szlak bojowy do Budziszyna, Drezna, Berlina. Całe życie miał problemy z sercem po nieleczonych zapaleniach płuc i oskrzeli. Przeszedł dwie operacje na otwartym sercu. Czterdziestoletniemu pomagałyśmy nieść teczkę, kiedy wracał z pracy. Nie miał siły wejść na pierwsze piętro, robił się siny.

MONDE diplomatique MICHAŁ RAUSZER, ANTROPOLOG, AUTOR KSIĄŻEK

Plebani potrafili bardzo ostro występować przeciw chłopom, którzy byli ich parafianami. W latach 50. XVIII w. zaiskrzyło między gromadami wsi Grębów i Stalów, starostą Ossolińskim a proboszczem grębowским Józefem Koźlicim. Wszystko zaczęło się od zajęcia przez plebana lasów starosty i osadzenia w nich poddanych plebańskich, którzy na dodatek przyorywali sobie grunta gromadzkie. Kiedy starosta się o tym dowiedział, wysłał na plebanię swoich kozaków, którzy poniszczyli inwentarz i pobili samego plebana. Sprawa trafiła do sądu duchownego i trybunału, jednak to nie zakończyło sporu.

TWÓJ STYL EWA SZYKULSKA, AKTORKA

Prawdziwa gwiazda tworzyłaby dystans. A ja... jestem babą codzienną, taką na wyciągnięcie ręki. Szybko wchodzę w kontakt z ludźmi i bardzo to lubię. Niektórzy artyści z tworzenia dystansu robią swój znak rozpoznawczy i przez tę niedostępność stają się interesujący dla otoczenia. To bywa złudne, często za taką „tajemniczością” kryje się pustka. Ale ta cecha bywa istotnym elementem autokreacji w moim zawodzie. Tyle że ja tak nie umiem. Skracam dystans, wydurniam się, prowokuję, łamię konwenanse. Czasem żałuję, że znowu mnie poniosło, ale przecież jestem aktorką. A prywatnie infantylną starszą panią.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: SMAK, TRYB; DYWAN, BIEG; PLAĆ, TRYB; WYBÓR, ZŁAZO, CHRUST; ROZEJM, ŚLIWKA

Aby język giętki...

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
RADZI CÓRCIE ALEKSANDRZE

Rób, co chcesz, a jeśli nie możesz, też rób. Nie poddawaj się.

ARKADIUSZ JAKUBIK
O PRAWIE DO BYCIA POLAKIEM

Niech nikt nam nie mówi, jak mamy myśleć. I my też tego nie mówmy.

AGATA PASSENT O MIZOGINKACH

Kobiet, które nie życzą innym dziewczynom dobrego życia, są w Polsce miliony.

KUBA SIENKIEWICZ

O ARTYSTACH
WSPÓŁPRACUJĄCYCH Z TVP

Są w samym centrum polityki. Ta obecność legitymizuje wszystkie podłości TVP, cały brud.

MAGDALENA RÓŻCZKA O AKTORSTWIE

Przekonałam się, że gdy podejmujesz się w tej pracy trudnych zadań, a nie zadbasz o higienę psychiczną, możesz zwariować.

RENATA LIS O SEKSAPILU

Nie ma na świecie takiego spin doktora, który wyjaśniłby PiS-owi zagadkę seksapilu.

MAREK KOŹMIŃSKI
O PIOTRZE ZIELIŃSKIM

Gdy gra u boku bardzo dobrych piłkarzy, sam gra bardzo dobrze. Ale w otoczeniu słabszych graczy czasem jest jeszcze słabszy od nich.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogol-Kiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Fotodzytorzy: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

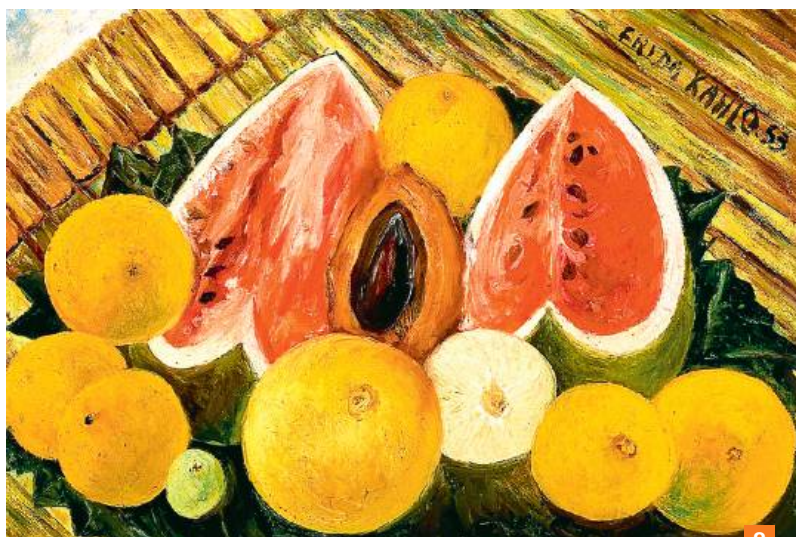
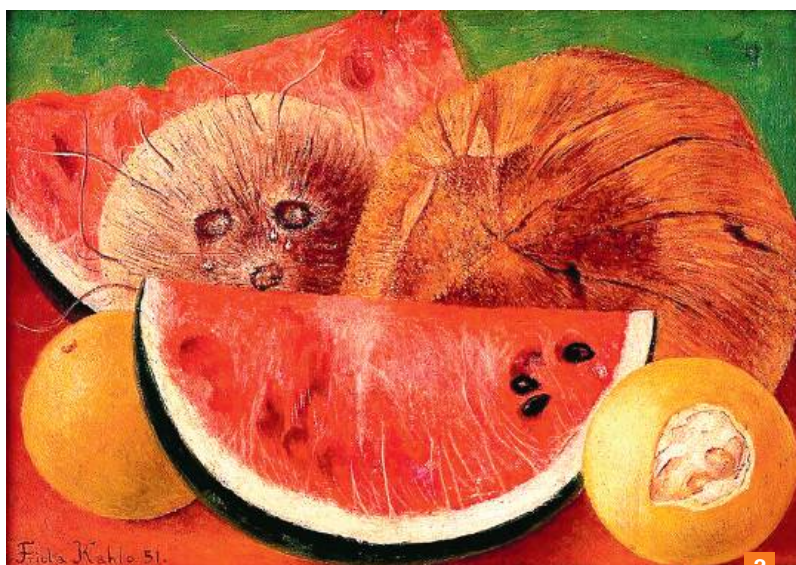
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Kolor życia Frida Kahlo



Twórczość Fridy Kahlo, jednej z najważniejszych i najciekawszych artystek XX w., przybliży wystawa w Łazienkach. Do wyjątkowego świata meksykańskiej malarki wprowadzają nas kolory, obrazy, archiwalne zdjęcia oraz plenerowa instalacja nawiązująca do słynnego Niebieskiego Domu, La Casa Azul. W Podchorążówce zobaczyć można trzy obrazy: „Tam wisi moja sukienka”, „Kokosy” i „Martwą naturę z arbuzami”. Dwa ostatnie dzieła artystka namalowała krótko przed śmiercią, gdy mimo złego stanu zdrowia starała się pozostać wierna swojemu stylowi życia, a siłę czerpała również z bliskości z naturą. Ekspozycję wzbogaca film dokumentalny z 1941 r. nakręcony przez amerykańskiego fotografa Nickolasa Muraya, przyjaciela Fridy Kahlo i autora wielu jej zdjęć.

**Łazienki Królewskie
– Podchorążówka
Warszawa, ul. Agrykola 1
do 3 września**

1. Tam wisi moja sukienka, 1933
2. Kokosy, 1951
3. Martwa natura z arbuzami, 1953

78

4-12.
08.
2023

MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL CHOPINOWSKI
DUSZNIKI-ZDRÓJ
DUSZNIKI INTERNATIONAL
CHOPIN PIANO FESTIVAL



WYSTAWA

Międzynarodowy Festiwal Chopinowski
Duszniki-Zdrój

Organizator
Międzynarodowy Festiwal Chopinowski

www.duszniki.pl

D

Via Duszniki

WYSTAWA

FUNDACJA
KGHM
PILCZAKI

ENTRÉE
LIBRE

STEFAN & SONS

KAWAI

PIRCEL

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

WYSTAWA

eprasa.pl 9b4a35243d

nowy film reżysera przeboju „Właściciele”



oparty na prawdziwej historii

sytuacja awaryjna

reżyseria
Jiří Havelka

absurdalnie śmieszna czeska komedia

w kinach od 7 lipca

